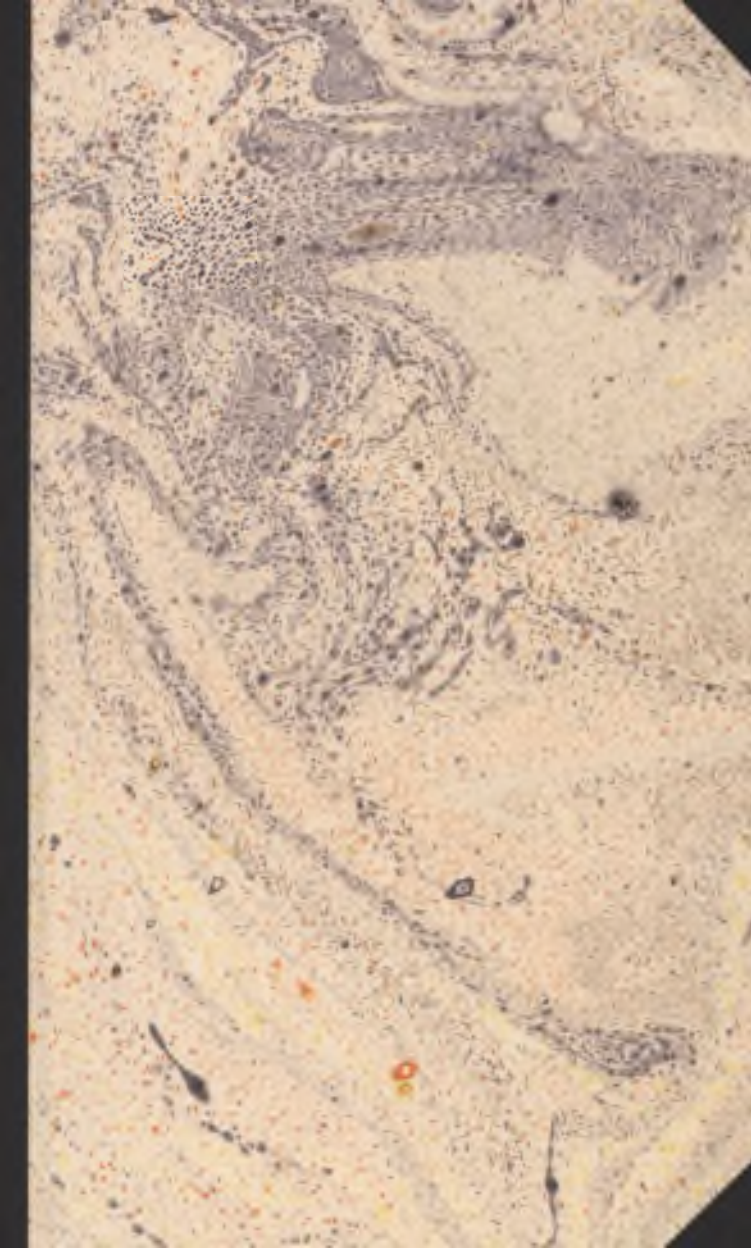




JERZY BANDROWSKI

CZERWONA RAKIETA

POWIEŚĆ

1—5 TYSIĄC



LWÓW-POZNAŃ 1921
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO



CM 314524

W SZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Rozdział I.

O BOWIĄZEK SZCZĘŚCIA.

— Co ty tak ciągle czytasz?

Niwiński spojrzal na żonę, położył książkę na kolanach, przeciągnął się zlekka i dyskretnie ziewnął.

Hela stała za stołem, zajęta przygotowywaniem podwieczorku. Jak przez fioletową mgłę widział Niwiński jej smagłą, okrągłą, dziewczęcą twarz ze spuszczo-nemi oczami, wynurzającą się z poza wielkiego bu-kietu bzu.

— Co czytam? Dobrą książkę starego Fenimora Coopera. Opowieść o rozbitku, który, wylądowawszy na gołym, skalistym kraterze, gdzie nawet trawy nie było, zmienił go w raj.

— Znowu jakiś Robinson Cruzoe?

— Każdy jest sobie Robinsonem Cruzoe i każdy, jak on, ma koło siebie swą ukochaną papugę.

— No, no! — pogroziła mu młoda kobieta.

— Pomyśl jednak, co za niezwykła historia! Po pewnym czasie wulkan zaczyna działać, przychodzi trzęsienie, nie tyle ziemi ile morza, uważasz? I otóż z tego morza, spienionego jak woda w balji, wylania się nowy ląd, wyspa nowa, urodzajna, żyzna. A kiedy się wszystko już uspokoiło, rozbiitek pewnego pięknego, słonecznego poranku idzie obejrzyć swoje nowe kró-lestwo, jeszcze ociekające wodą morską. Dziewiczy ląd! Ach, co za rozkosz, co za raj!

Patrzyła na niego zaniepokojonemi, podejrzliwymi oczami.

Nie zauważył tego.

— Doprawdy, chciałbym być świadkiem narodzin nowej ziemi — mówił.

Rozgłośnie „uraaah!“, tysiącem głosów rzucone w niebo, rozsypało się migotliwym pyłem radości w powietrzu.

Młoda kobieta wzdrygnęła się.

— Czegóż się lękasz? — uspokajał Niwiński żonę, zauważywszy ten jej odruch. — To wolność śpiewa! Wyzwoleni niewolnicy wznoszą wdzięczne okrzyki na cześć życia i szczęścia. Cóż za cudne czasy! Złotemi głoskami zapisze historia wiosnę 1917-go roku...

— Mnie się zdaje, że ta wolność niekiedy trochę zanadto hałasuje...

— A no, rozumie się, wołałabyś taką grzeczną rewolucję, malutką, dobrze ubraną, z czerwoną kokardką na głowie i deklamującą z laurką w ręczce słodkie wierszyki. Tak nie może być. Rewolucja ma prawo hałasować i krzyczeć i musi głośno krzyczeć... Ale to zdrowo...

— Może ona da ci sposobność oglądania „narodzin nowej ziemi?“

— „Nowej ziemi?“ Masz słuszość o tyle, że mimo wszystko, mimo, że to dotychczas tak gładko idzie, żyjemy na wulkanie, który lada dzień może wybuchnąć...

Westchnął.

— Ale żeby rewolucja mogła mi dać tę „nową ziemię“ — nie wierzę. Człowiek się powtarza — nie rodzi się nowy. „Nowa ziemia?“ A jeśli z chaosu i odmętów wyłoni się znów pogrzebana przed wiekami jakaś Atlantyda? Co ty tam właściwie robisz, Helenko?

— Truskawki dzieję — dla siebie i dla ciebie.

— Jak skrupulatnie, z jakim skupieniem na twarzy! Żeby tylko się nie pomylić i nie dać mi o trzy więcej. Łakomczuchu obrzydliwy!

Roześmiała się.

— Dlaczegoż mam być pokrzywdzona?

Podawała mu talerz wielkich, czerwonych truskawek, obsypanych cukrem i oblanych białą, gęstą śmietaną, a potem usiadła przy nim i jedząc pośpiesznie, jak chłopak, mówiła urywanemi zdaniem:

— Wojciechu... Wojtuś... nie gniewaj się... Wiesz co?... Ja myślę... że ty masz jakieś zmartwienie...

— Zmartwienie? Nie. Nie mam żadnych zmartwień. Przeciwnie. Dobrze mi jest z tobą.

— A mnie się zdaje, że się kwasisz wciąż ze mną w tym banalnym pokoju...

— Niech Bóg broni. Pokój jest jak pokój, głupi trochę, ale mniejsza z tem, a to podwórze lubię ogromnie... Typowo kijowskie!

Podwórze było istotnie prześliczne, olbrzymie, całe otoczone drzewami. W głębi, na małym wzgórzu, rosły trzy smukłe, gęsto liśćmi pokryte, jakby kosmate kaskady, teraz, w świetle popołudnia czerwcowego, podobne do rozgorzałych kolumn małachitowych. Nieraz wołała z ich gęstwiny zielonej kukulka, a wieczorami odzywał się puszczyk. Cudne były te drzewa w dzień, cudne w ciemnym szafirze wieczoru, gdy młody księżyc się o nie ocierał, a jak Szopenowski „Nokturn“ tajemnicze i żalobne w nocy, czarne i groźne na tle ścigających się, posępnych chmur. Najprzedziwniej wyglądały jednak nad ranem, zamyślane, patetyczne i smutne zarazem. Księżyc, uciekając przed dniem, chował się w ich konary, otulał liśćmi i zasypiał, przed zgaśnięciem

miotając dokoła siebie pęki białych promieni tak silnych, że Niwiński, który sypiał na balkonie na łóżku polowym, budził się z zalzawionemi oczami.

Helenka postawiła na stole talerz i oparłszy głowę o ramię męża przez chwilę patrzyła w złoto - zielone podwórze.

— Nie myśl, że ja znowu jestem taka głupia! — zaczęła po namyśle. — Wiem ja swoje... Cóż to są za marzenia o jakiejś wyspie dziewiczej, o rajcu... Rozumiem, domyślam się — że ty w ten sposób uciekasz gdzieś, gdzie jesteś sam... Od kogo możesz uciekać, od czego? Nie zdaje mi się, żebyś był stworzony do takiego wiecznego przesiadywania w pokoju.... Miałeś pewne ambicje, rwałeś się do czegoś, chciałeś coś zdobywać... Nie sądz, że zapomniałam... Kiedyśmy tu jechali, byłeś taki rozpromieniony, taki pewny siebie, prawie dumny, mówiłeś mi, że „zdobędziemy wszystko — widzisz? — pamiętam!

— O mój Boże! — westchnął młody człowiek. — Byłem dumny, szczęśliwy i promieniejący, ponieważ zdobyłem ciebie — to znaczy — cały świat. W pierwszej chwili zdawało mi się, że w posagu należy mi się jeszcze willa na jakiej gwieździe, ogród w Persji i połowa zapasu złota Rosji. Potem zrozumiałem, że to nieprawda, że w tobie jednej to wszystko jest. Nie masz pojęcia, jak cię kocham i jak mi z tobą dobrze.

— A ja mimo wszystko mam wrażenie, jak gdybyś się przezemnie marnował, jak gdybyś przezemnie coś stracił.

— Stałem się — jak to mówią — solidnym człowiekiem, a ty mnie takim nie widywałaś. Pamiętasz mnie człowiekiem rozbitym i przygnębionym, który z dna swej nędzy moralnej wzrokiem błagalnym przyzywał twoje

serce na pomoc. Dziś, kiedy przestałem być Łazarzem duchowym, a stałem się człowiekiem szczęśliwym, nie podobam ci się. Ładna historia!

— Słuchaj, Wojtuś... A może ty tylko dla mnie, dlatego, że jestem już...

Zmieszła się.

— Rozumie się! — odpowiedział zupełnie poważnie. — A cóż ja mam świętszego i ważniejszego na świecie?

— Kiedy dla mnie nie potrzeba, ja sobie sama wystarczę.

— Gadaj zdrowa!

Objął ją w pól i przycisnął do siebie.

— Zdobywać! Zdobywać! — mówił, głaszcząc ją po twarzy. — Jak kto ma na imię Wojciech, orłem z pewnością nie będzie! Więc niema co... tam, wielkich ambicji... Ot, trzeba żyć... A najtrudniej na świecie zdobyć sobie swego człowieka. I ten ukochany człowiek powinien to zrozumieć, cenić się. Wszak ty jesteś dziś dla mnie wszystkim, całym światem, moją Polską. Cóż ja prócz ciebie mam? Za nic mi ciebie oddać nie wolno. Przez ciebie i tobą ja żyję, przez ciebie i dzięki tobie wszystko w życiu mojem zaczyna nabierać jakiegoś sensu.

Mówił tak, a ona, uradowana i szczęśliwa, całowała go w szyję, poniżej ucha. A naraz uczuła, że się zmieształ i że głos mu drgnął, zmienił się, zachrypł zlekka. Jedną ręką rozpiął jej szlafrok i odkrył piersi. Chciała go odsunąć od siebie — nie dał się. Widziała, jak całując ją, zamyka oczy z dziwnie bolesnym, przemęczonym wyrazem, widziała, że się w pieszczotach zapamiętuje, że pieszcząc ją coraz wyrafinowaniej, szuka silnych wstrząśnień. Złękła się. Poznała, że on

chce w niej zginąć, że chce się przed czymś za nią schować. Pełna miłości i współczucia oddała mu bez zastrzeżeń całe swoje ciało, cały wstyd... Jęcząc zcicha obejmował ją ramionami, a ona czuła, że to nie jęk bólu rozkoszy. Żalność ją wielką zdjęła i litość, więc gdy uczuła jego wargi na swych ustach, oddała mu się tak, aby mógł o całym świecie zapomnieć.

W podwórzu ognistym rytmem huczała „Marsylianka.“

A potem rozmawiali leżąc koło siebie.

— Nie denerwuj się — mówiła do niego łagodnie. — Ja wiem, że się niepokoisz, ale wszystko będzie dobrze. Nie trzeba się zaraz tak przejmować...

Niwiński zapalił powoli papierosa.

Namyślał się.

— Byłem dziś w pewnej naszej instytucji wojskowej — opowiadał niechętnie, opornie. — Spotkałem tam jednego z naszych polskich generałów. Bardzo go cenią, bo dotychczas nikt nie wiedział, że on jest Polakiem... emeryt... Było więcej ludzi, jeden z naszych literatów, zecer w mundurze wojskowym, jakiś nieznajomy pan, jeszcze ktoś tam... Przedstawiono mnie temu panu generałowi. Zdzieciniały starzec, pocziwina, trapiiony niewraigją.czy czymś tam innym, lysy staruszek o przypłaszczonej, jakby przyklepanej czaszce — „dziecina“ i „pierzyna“ zarazem. Mówi rozwlekłe, bez sensu, bardzo złą polszczyzną. Widziałem też jego rękopis, a w nim słowa: „Do Polaków - żołnierzów.“ Wie, że po polsku nie umie, ale — wybacza to sobie z pełnem miłości pobłażaniem. Irytował się na tego literata o to, że on mu poprawił jego fatalny styl w odczwie, którą się właśnie miało oddać do drukarni. Mimo to starowina wyciągnął z kieszeni gruby skrypt, dalszy ciąg jakichś

tam „Gawęd starego żołnierza,” czy coś podobnego. „Kobyłę“ tę napisać — jak mówił — dlatego, że mu neuralgia spać nie dawała. Także konieczność pisania! Słoty jest grafoman. Nie omieszkaj też podać nam bardzo pochlebnej i wszechstronnej charakterystyki twórczości poetyckiej i rzekomo wybitnego talentu swej córki, trzynastoletniej poetki.

— Pocziwy jakiś staruszek! — łagodzą Hela.

— Takim ludziom w czasach rewolucji, w chwili tworzenia armji polskiej i szalonej kontragitacji niemieckiej i socjalistycznej powierzać — propagandę! Dziś, kiedy nie szkielety ożywiać trzeba, ale nowych ludzi tworzyć!

— Idź, wejdź między nich, mów prawdę.

— Cóż ja znaczę?

— Znajdzie się was więcej.

— Nie. Role rozdane już. Oni wszyscy wierzą, że Francja obejmie komendę nad tym frontem, a potem automatycznie przeleje wszystkich Polaków z wojsk rosyjskich do nowej armji polskiej. Jaka to ma być armja — nie myślą. Dla nich to mają być — pulki, oficerowie, generałowie. To już Francuzi robią. Kto mówi co innego — chce „zbolszewizować“ wojsko, oczywiście. Niema co!

Machnął ręką.

Milczał chwilę, zapatrzony w zielone podwórze.

— A pamiętasz wymarsz tego pułku dywizji polskiej z Kijowa? Jaki to był śliczny pułk, jakie rasowe chłopaki, jaki wytworny, sportowy styl w każdym poruszeniu! Nieśli stare bojowe sztandary...

Spojrzała na niego rozszerzonemi, pociemniałemi z niepokoju oczami.

— Co się z nimi stało? — spytała.

— Nie wiem, co się tym chłopcom stało, ale dowiedziałem się, że pono sprawdziły się pogłoski, donoszące, iż dywizja polska odmówiła posłuszeństwa i nie chciała iść na pozycję. Tłumaczono mi to tem, że w dywizji ma być do pięciu tysięcy katolików, którzy jednak nie tylko nie są Polakami, ale nawet odnoszą się wrogo do wszystkiego, co polskie. Przekonani, że pulki polskie nie pójdą na front, wstępowali do nich, żeby się „objąć!“ Prócz tego jeden z naszych własnych generałów miał tam nadsłać oficerów - agitatorów. Po ustąpieniu tego generała znaleziono w jego kancelarji mnóstwo zgłoszeń do wojska nie załatwionych, a nawet nie rozpieczętowanych.

— Czemuż to?

— Bo są ludzie, którzy tu wojska polskiego sobie nie życzą.

— Dlaczego?

— Zadużoby gadać. Potem byłem w redakcji. Tam też już wiadano o „buncie.“ Żebyś ty wiedziała, jak tam jeden z tych panów przytupywał nogami, z radością i ogniem w oczach naśladując mazurskie „Nie pójdziewa na Niemców, nie pójdziewa!“, jak zachwycił się tem, że podobno któryś Mazur zamachnął się na generała bagnietem! Prawdopodobnie jednak te Mazury mówiły rusko - litewskim akcentem!

Żartował ten pan z mego starego kapelusza. Powiedziałem mu, że nie chcę niepotrzebnie wyrzucać pieniędzy na głupstwa.

— Kup sobie nowy kapelusz! — oburzyła się Hela.

Niwiński, odpowiadając przeczącym ruchem głowy, mówił dalej:

— Na to on: — Mam w domu kask pruski, mogę panu ofiarować. Odpowiedziałem, że aczkolwiek kask

pruski wśród ukraińskich „żubrów“ uchodzi za coś w rodzaju konfederatki, ja nigdy nosić go nie będę.

— Doskonale! — roześmiała się Hela.

— A tymczasem zdarzył się taki fakt: „Pewien pan, człowiek poważny, dostał z frontu list od swego kuzyna, oficera. Kuzyn doniósł mu, iż w tych dniach między innymi przeszło na stronę rosyjską dwóch żołnierzy niemieckich, Polaków, obu z Sosnowca, gdzie pracowali w fabryce. Dezercerzy ci zeznali, że Niemcy wzięli z Sosnowca stu młodych ludzi, których, po trzymiesięcznej mustrze we Wrocławiu, po kilku wcielili do pułków, głównie na francuskim froncie. Widzisz!

— To bardzo smutne wszystko! — zasępiła się Hela. — Ale może istotnie wojsko po tej stronie jest niepotrzebne?

— Ja wciąż mam wrażenie, że przeciwnie, właśnie tu jest potrzebne! — odpowiedział Niwiński. — Z drugiej strony jednak pewny jestem, że Polska będzie tak czy siak! Wołałbym, żebyśmy sami ją zdobyli, ale wkońcu... Cóż poradzę? A widząc, że nie poradzę nic, nie chcę się do niczego mieszać i dbam tylko o własną małą łódkę na tych wzburzonych odmętach. Myślę o tobie, o tej dziecinie malej, o naszym szczęściu...

— Czy to wypada w takich czasach myśleć o własnym szczęściu?

— Będę się pytał! A kto ci powie, jak długo ono jeszcze potrwa, co potem przyjdzie? Kto zaręczy, że jutro cały Kijów nie stanie w ogniu? To wulkan przecie!...

— Jaki ty jesteś strasznie lekkomyślny! Cieszyć się szczęściem, gdy jutro może śmierć grozi!

— Ona grozi zawsze, tylko że w „normalnych“ czasach o tem się rzadko myśli. Rewolucja nauczyła mnie

żyć intensywniej. Doprawdy, czuć się dziś szczęśliwym, to istotnie trochę pikanina historia. A to jest psi obowiązek człowieka.

— Obowiązek?

— Rozumie się. Bez szczęścia żyć nie można. Szczęśliwi, lub ci, którzy mogą być szczęśliwymi bodaj na mgnienie oka, niech skwapliwie korzystają ze sposobności, bo w ten sposób potwierdzają rację życia, powiększają wspólny, sioneczny skarb. Ich szczęście daje wiarę drugim...

— Ale gdy potem przyjdą szare dni...

— One i tak przyjdą, lecz dla tego, który był szczęśliwy, nie są już takie szare... Ach, „Marsyljanka!“ Szalenie lubię „Marsyljanke!“ Tylko co ci Moskale z niej robią, to coś okropnego! Jakże można! Tu fanfara rycerska, strzeliste „aux armes, citoyens!“ — a tam — wstawaj, podymajsa, raboczij narod — tyle niepotrzebnego gadania.

Zerwał się i usiadł na kanapie.

— Wiesz? Chodź, przejdziemy się trochę. Pójdziemy kupić co na kolację, wina...

— Znowu wina?

— A dlaczego-ż-by nie? Znalazłem wspaniałe, kaukaskie. Dzikie trochę, ale ma taki mocny, korzenny zapach i taki ogień... Wieczór będzie piękny, siądziemy sobie na balkonie, będziemy gadali...

Westchnęła z cicha.

Rozdział II.

TAŃCZĄCY POSĄG.

Szli powoli stromym Zaulkiem Kreszczatyckim na Plac Dumski.

— O, a to co znowu? — zdziwiła się Helenka.

W mundurze wojskowym, w czapce zuchowato zsunętej na tył głowy i w spodniach krótkich do kolan, szła, prowadzona pod rękę przez kilka dziewcząt dziewczyna-żołnierz, nadająca sobie rubaszne ruchy starego wilka okopowego i z papierosem w ustach opowiadająca coś swym rozchichotanym przyjaciółkom. Błażeńsko odbijały od wojskowego munduru jej białe, jedwabne pończochy i półbuciki na wysokich korkach.

Przechodzący koło dziewcząt żołnierz stanął, obejrzał się za niemi, splunął i rzekł na cały głos:

— Sram! Czestnych ludiej tak pozorit!

— Co to za maskara? — pytała Hela.

— Kobięca gwardja Kiereńskiego. To jakiś ordynarny „gruchot,” ale naogół nie można mieć nic przeciw wojskom kobiecym. Mogą się przydać...

— Tam pewnie zgromadzenie na Dumskim placu. Tyle ludzi...

— Oczywiście mityng.

Zatrzymał ich zator ludzki, przez który żadną miarą nie można się było przebić. To śpiewali śpiewacy uliczni.

Powoli, coraz bardziej napierana przez nowych słuchaczy, młoda para przecisnęła się przez tłum i stanęła w pierwszym szeregu.

Tenor, ślepiec, wyblakły blondyn w czarnym habitu, w ciemno-zielonej „rubaszce,” przepasanej czarnym, jedwabnym sznurem, międlil w rękach harmonję i śpiewał pracowicie, jednym kątem wykrzywiając usta i wyginając się jak kot. „Ona,” maleńka, brzydka, drobna kobiecina, w czarnym „szarfiu” na głowie, patrzyła na ludzi żalosnym wzrokiem i z pewnem zażenowaniem. Śpiewacy to byli nieuczeni, tenorek słaby, zawodzący i sopran również słaby, lecz dość czysty i dźwięczny, a w wyższych tonach przejmująco jasnej barwy, prawie świecący. Mimo, iż słuchacze okrążyli śpiewaków kołem dość szerokim, od oddechów zwartego tłumu szło poprostu duszne gorąco, wytwarzające podniecającą, jakby gorączkową atmosferę. Atmosfera ta, zdaje się, działała na ślepcę, bo akompanjował na swej harmonji coraz karkołomniej i kunsztowniej i zmuszając swą towarzyszkę do coraz to nowych pieśni, jak gdyby zapamiętywał się w śpiewie. A w głosach tych artystów ulicznych był dziwny czar, bezpośrednia potęga poezji, zatrzymująca każdego i każąca słuchać pieśni wśród gwaru i huku wielkiego miasta.

Dokoła śpiewaków stał wielki tłum ludzki, milcząco, ze spuszczonei głowami, z nąpół przymkniętymi lub zapatrzonemi gdzieś w przestrzeń oczami, zamyślony, skupiony. Oficer przy chłopie, inteligient w czapce urzędniczej i okularach przy łobuzie ulicznym, dama w jedwabiach i z brylantami w uszach przy stróżce z miotłą w ręku. Dziewczęta, zapomniawszy o chłopcach i chichotaniu, nawet o „siemiaczkach,” wzięwszy się pod ręce, stały nieruchomo i wzdychały, bosy uliczni-

cy, przestępując z nogi na nogę, porobili wystraszone, nabożne miny i wyciągali z tłumu głowy, zaś ten i ów, człek prostoduszny a miękkiego serca, wzdychał głośno jak spracowany koń i pociągał nosem, albo też olbrzymim, czarnym kulakiem łzę na policzku miazdzył.

A śpiewacy śpiewali dumki ukraińskie, stare pieśni, nieledwie zapomniane, rozsypane po chatach i sadach wiecznie marzącej Ukrainy. Jakie w nich bóle grały, niewiadomo, ale smutek tych pieśni słodki i upajający, zakochany był w sobie, jakby świata poza sobą nie widział. W srebrną mgłę, w pianę śpiewającą rozbijała się tu dusza ludzka i naraz, wzlatując niespodziewanie na wyżyny, jęk jak gwiazdę rzuciła w powietrze.

Hela długo nie mogła oderwać się od śpiewaków, wreszcie rozczulona i wzruszona poszła za Niwińskim, który ją niecierpliwie ciągnął za rękaw.

— Ci ludzie są opętani przez szatana muzyki — rzekła, kiedy się wreszcie z tłumu wydostali. — Dumkami duszę z człowieka wywlec mogą. Nic dziwnego, że nasi poeci tak ukochali Ukrainę.

— Patrz, a tam istotnie mityng na Dumskim placu! — ciągnął ją mąż. — Dużo ten plac już widział i dużo pamięta, dużo słyszał przemówień rozmaitych i Bóg wie, co jeszcze usłyszy i zobaczy. Być może, znajdzie się na nim miejsce i na gilotynę. Wielki balkon gmachu Dumy jest dziś ludową trybuną rewolucyjną... Widzisz na nim żółto-błękitną flagę ukraińską między dwiema czerwonymi?

— Coś tu się na placu zmieniło — mówiła Hela. — Zawsze mi się zdaje, że tu czegoś brakuje, że tu było inaczej. Co znaczy ten niedokończony pomnik?

Wskazała głową piedestał i cokół pomnika Stolykina.

— Niedokończony? — uśmiechnął się Niwiński. On już jest najzupełniej dokończony. To były pomnik Stolypina.

— A prawda, przypominam sobie! Cóż się z nim stało?

— Nie wiesz? Zaraz w pierwszych dniach rewolucji pomnik zwalono. Dziś jest ten cokolwiek w rodzaju łoża dla żołnierzy i ciekawych, a także służy za trybunę podczas mniejszych zgromadzeń. Patrz, jak wszystkie jego stopnie gęsto oblepione są tłumem żołnierzy... Siedzą, kwadratowi i szarzy w swych szynelach, rzekłbym — granitowi i, wsparzy brody na pięściach, milczą, wydychają chmury łupinek „siemiaczek“ na głowy niżej siedzących i myślą...

— To ostatnie nie jest zupełnie pewne — wtrąciła Hela.

— Nie bój się, nie bój, oni z pewnością myślą, bądź pewna, i kto wie, czy z tego nieustającego mityngu na Dumskim placu nie powstanie jakiś terrorystyczny „Klub Cokołu.“

— O ile tego towarzystwa nie zamkną do jakiego kryminału, to bardzo być może...

— Stało tu dawniej napisane: — Wam nużny wielikija potrjasienja, nam wielikaja Rossija... Zobaczymy, kto miał słuszość.

— A ty jak myślisz?

— Ja nic nie myślę, ja się bawię.

— I dlaczego oni właśnie ten pomnik zdemolowali! — dziwiła się Hela.

— Bo był pod ręką. Zresztą — pomnik jak pomnik. Pomnik, który właściwie jest nagrobkiem przeszłości, a nie drogowskazem dla przyszłych pokoleń, zawsze

może być zdemolowany. A przyznasz, że figura Stoly-pina tym drogowskazem być nie mogła.

— Co ja tam wiem o Stolypinie! Wiem, że chodził w „anglezie,” bo tak był zrobiony na pomniku.

— Masz słuszość.

Usiedli obok siebie na ławce i w milczeniu przyglądali się tłumom, kipiącym nieustannie dokoła zdemolowanego pomnika. Było coś tragicznego w tym złomku posągowej sławy, otoczonym przez szare mnóstwo.

Hela z podziwem i lękiem przyglądała się silnym, kwadratowym „towariszczom” i ich ogorzałym, śmiałym, skupionym twarzom. Wszyscy byli do siebie podobni i Heli to zdawało się, że tego lub owego gdzieś już może widziała, mówiła z nim i poznaje go, to znów, że nie zna wśród nich nikogo. To z jednych i tych samych bark coraz to inna twarz wyskakiwała, to znowu jedna i tasama twarz przeskakiwała z barków na barki jak ptak z krzaka na krzak.

— Doprawdy, jak gdybyś widział falowanie duszy tego tłumu, jego odpływ i przypływ — mówiła Hela.

— Lecz gdzie są pobudki, gdzie księżyc, który te fale przyciąga i odtrąca? — pytał Niwiński.

— Cóż można wiedzieć! — szczerze westchnęła młoda kobieta.

Tłum rozpadał się na grupy, drobił się na małe grupki, jak rtęć, i znowu zlewał się w morze głów, w szarą, tajemniczą przy zapadającym zmroku, ruchliwą lawicę ciał, brzęczących głosami ludzkimi, echami śmiechów i sporów, a czasem wybuchającą niby fosforycznym blaskiem, wielkim, rozgłośnym okrzykiem.

W tem otoczeniu tragiczny, złamany pomnik zaczął nabierać nowych, dziwnych konturów. Cokół na tle szarych domów, czerwony w blaskach zachodzącego

słońca, wyglądał jak żywa piramida, coraz to zmieniająca kształty; to ruszały się głowy ożywionych słuchaczy, którzy jego stopnie obsiedli. I naraz zdemolowany pomnik zmienił się w coś w rodzaju piedestału zbudowanego z ludzi, a na którego szczycie cokół był niby ołtarzem, czekającym na ofiarę i ofiarnika. I w tej chwili na cokole zatajała ceglasto-czerwona sylwetka żołnierza w rozwianym płaszczu, narzuconym na ramiona. Żołnierz wyciągnął rękę nad głowami tłumu i uciszywszy go tem skinieniem, zaczął mówić.

Słów jego słyszeć nie było. Pochłaniał je i kruszył gwar miejski.

— Chodźmy! — prosiła Helenka, oszołomiona brutalnym zgielkiem.

Zaś kiedy po kolacji Niwiński ustawił na balkonie swoje łóżko polowe i wyciągnął się na niem, a żona podała mu szklankę czerwonego jak krew, południowego wina, wspominał:

— Pamiętasz tego żołnierza na cokole pomnika? Ilu ja ich już tam widziałem, ile mów wysłuchałem! O czem mówią? O tem, co ich boli, słusznie lub nie, jak każdy z nich to rozumie. Mniejsza z tem. Widziałem na tym cokole „piechotyńców“ takich jak ten, który tam stał niby z kamienia wyciosany, widziałem sylwetki kozaków, lewą ręką wspartych na rękojęści „szaszki“ i wymachujących nahajem, trzymanym w prawej ręce, widziałem robotników i inteligentów i mówię ci, co mi na widok tego wszystkiego przyszło na myśl:

— Wyobraź sobie urzędniczynę rosyjskiego, takiego maleńkiego, cichego i zrezygnowanego, jak ów Akakij Akakijewicz Baszmałow z „Szynela“ Gogola — a jest ich dużo w rosyjskiem społeczeństwie do dziś dnia i każdy z nas ich widział i każdy z nas ich zna. Pomyśl,

że czleczyzna ten, zapracowany i biedny, mógł sobie pozwolić na jedną jedyną rozkosz w swem życiu, a mianowicie na parę godzin wieczornego „soziercanja,” gapienia się na którejś z ławek na Dumskim placu. Do teatru nie chodził, bo się na tem nie znał, do szynku chodzić nie mógł, bo miał jakieś kamienie żółciowe, rodziny nie było... Więc przesiadywał na Dumskim placu. Na upartego, z wyjątkiem niewielu dni słotnych w jesieni, lub zbyt mroźnych wieczorów w zimie, mógł to uprawiać regularnie przez cały rok. Uzupełnij sobie sama charakterystykę publiczności, wyobraź sobie mijające pory roku, lata, różne sceny — tych ludzi, obsiadających ławki uliczne i tak obserwujących miasto jak z łoży — to już jest literatura, ornamentyka literacka.

Lecz oto zdarza się naraz, że na placu — jak gdyby sam Bóg naszemu Akakijowi Akakijewiczowi chciał zesłać jakąś rozrywkę — zaczynają stawiać pomnik. Komu? Wszystko jedno. Czyż Akakij Akakijewicz może ocenić i zrozumieć wielkość czyjejś zasługi? Czy wogóle w jego głowie wielkość może się pomieścić? Rozumie się, że człowiek, którego całą postać odlewa się w bronzie, musi być wielki. Tak więc staje on w wyprostowanej dumnie pozie przed Akakijem Akakijewiczem, a ten czci go za to, że go postawiono na cokole, że w nim uczczono cnotę i coś, czego Akakij Akakijewicz nie zna i nie rozumie, lecz kocha go za to wszystko, jak i zato, że on w jego oczach tu wyrósł, na tym jego placu, przed jego ławką.

Tak mijają lata, szare, ciężkie, niezmiennie. Aż naraż — płomień wybucha z serc ludzkich. Z trzaskiem wali się cały stary gmach życia, a ludzie nie tylko nie ratują, lecz śpieszą z siekierami i pochodniami, podpalają, tną i rąbią spróchniałe belki i cieszą się, radują.

Wali się gmach, chmury pyłu wzbijają się w powietrze, otwierają się niebu i światu czarne lochy — i na plac ten śpieszą tłumy, długie szeregi, okraszone metalowymi trąbami orkiestr, okraszone płomieniami męczeńskich czerwonych sztandarów, huczące wielkim, natchnionym hymnem, wyciągające dłonie do słońca i... Akakij Akakijewicz z niewypowiedzianem przerażeniem spostrzega, iż tłumy te jego śpiżowemu bohaterowi jak psu wścieklemu zarzucają na szyję sznury i — zachęcając się okrzykami, tak, jak to czyniły ongiś, gdy przy dźwiękach muzyki windowano posąg na cokół, ściągają go teraz z niego, aż kolos zachwiał się i z głuchym jękiem padł na ziemię. Cóż nasz Akakij Akakijewicz na to?

Oczywiście płakał rzewnymi łzami.

Rozumie się, że przez parę dni nie było go wieczorem na zwykłym miejscu — ale po jakimś czasie przyszedł i zobaczył zdemolowany pomnik takim, jakim dziś widzimy go my — obrosłym granitowymi postaciami żołnierzy, ludzi żywych, bez strachu zasiadających obok śpiżowych, czy granitowych figur alegorycznych, zdobiących piedestał posągu. Człowiek żywy ma dziś więcej treści niż alegorja. Zaś na cokół wspinali się mówcy, tacy, jak ten, któregośmy widzieli — dziś „piechoty-niec,” jutro kozak, pojutrze robotnik, potem przekupka z koszem pełnym bzu, dziewczyna z głową omotaną kraśnemi wstążkami, może nasz ułan, może Sart zadumany — a każdy z nich mówił szczerze do ludzi o swych ludzkich sprawach, apelując do serca, do duszy, do wszystkiego, co człowiekowi jest drogiem. Jużci niewłaściwem wydało się to w pierwszej chwili biednemu Akakijowi Akakijewiczowi, bowiem przywykł do tego, że na tem miejscu stał wyniosły i sztywny bronz — aż naraż zrozumiał i oczy mu się roześmiały radośnie i czoło

zmarszczone wypogodziło się, bo spostrzegł, iż zamiast surowego i niemego kawałka metalu, odlanego w pewną niezmienną formę, życie dało mu posąg żywy, śpiewający wiecznie inną muzyką duszy ludzkiej, wciąż inny, jak dni nigdy nie powracające — posąg o świecących oczach, posąg tańczący...

— Tak, dobrze, rozumiem cię — rzekła Hela. — Sądzisz, iż wskutek tego posąg stał się bardziej ludzkim, a człowiek bardziej posagowym...

— Czy się istotnie stał?

— To trudno wiedzieć... Stwierdzić można tylko, że te posągi są dziś nie tyle tańczące, ile gadające...

Niwiński uśmiechnął się.

— Moja żona zaczyna być dowcipna...

Rozdział III.

ISKRY.

Wracając nad wieczorem z miasta, Niwiński, który miał bardzo dobry wzrok, ujrzał w bramie swego domu oficera, dającego prawdopodobnie zlecenia swemu „dieńszczykowi,” który stał przed nim w pozycji swobodnej, lecz wyprostowany.

Oficer był młody, dość wysoki, wcięty w pasie, zgrabny; u boku miał na długich rzemiennych rapciach krótki, pozłocisty sztylet, na którym często kładł lewą rękę. Na różyczce czapki, zuchowato zsuniętej na prawe ucho, coś świeciło czerwono.

— Czech! — pomyślał Niwiński.

Tem uparciej zdaleka już przyglądał się oficerowi. Miał krewnych Czechów, a prócz tego, spędziwszy kilka lat w Pradze na uniwersytecie, znał tam dużo ludzi, miewał przyjaciół, dobrze mówił po czesku i zawsze chętnie z Czechami utrzymywał stosunki.

Przyjrzawszy się lepiej młodemu człowiekowi, aż zaklął pod nosem ze zdziwienia i przyśpieszył kroku. „Dieńszczyk” zasałutował i odszedł. Oficer stał chwilę na ulicy, jak gdyby nie wiedząc, co począć. Wahał się prawdopodobnie, czy iść do domu, czy też może ruszyć gdzie na miasto. Tak stanął przed bramą niezdecydowany, młodym, łakomym wzrokiem goniąc mijające go kobiety w jasnych, miękkich, ponętnych sukniach.

— Jak Boga kocham, to Miroslaw! — zdziwił się Niwiński.

Był to jego kuzyn, chłopak żywy, inteligentny, wiecznie „cupidus rerum novarum,” wiecznie neurastenicznie szukający nowych bogów, młodzieniec pełen temperamentu, szczery i miły. Niwiński często się z nim w Pradze spotykał i bardzo go lubiał.

Zbliżywszy się do niego, położył mu dłoń na ramieniu i spytał:

— Miroslaw Ryszan, czy tak?

Oficer spojrział na niego i krzyknął:

— Zismarjajozef! Wojciech!

I rzucił mu się w objęcia.

— Człowieku, co tu robisz? — wołał, puściwszy go wreszcie. — Myślałem, że jesteś w legionach, u pana Piłsudskiego, po tamtej stronie...

Słowa „w legionach, u pana Piłsudskiego” Czech podkreślił z ironiczną emfazą.

— Jak widzisz, jestem tutaj.

— Jako jeniec?

— Nic, jako „turysta.”

— Więc nie w wojsku, ty, taki gorący Polak?

— Właśnie. Ciebie nie potrzeba pytać. Jesteś oficerem brygady czeskiej.

— Dywizji!

— Tem lepiej. A, gratuluję, masz świętego Włodzimierza z mieczami i świętego Jerzego...

Ryszan zarumieniał się, jak dziewczyna.

— Cóż tak będziemy stali na ulicy! — zagadywał. Dokąd idziesz.

— Do domu. Ja tu mieszkam.

— W tym domu? Ja też dostałem tu kwaterę. Dziś przyjechałem z frontu, jechałem cztery dni, zmęczony

jestem. Właśnie posłałem Woborę po kolację i po wino. Chodź do mnie, porozmawiamy, wypijemy po szklance... Wino z oficerskiego składu, znakomite, krymskie, „Udzielnyje...”

— Z całą przyjemnością — zgodził się Niwiński, rad ze spotkania, a i z tego, że będzie się mógł dowiedzieć, co właściwie dzieje się na froncie. — Tylko pozwól, że skoczę na górę i dam znać żonie.

— Toś ty żonaty? — zdziwił się Ryszan. — Nie wiedziałem.

— Ożeniłem się przed kilku miesiącami.

— Z Rosjanką?

— Jeszcze czego! Z Polką, rozumie się.

A po chwili Niwiński już siedział w pokoju Ryszana.

— Więc tak mieszkasz! — mówił, rozglądając się po pokoiku bardzo skromnym i biedno umeblowanym. — Ha, żołnierz uczciwy jest zawsze biedny, jak poeta. Ale teraz chyba przestałeś pogardzać żołnierzami. Przypuszczam, że rozumiesz już i nasz „sen o kolorowym ułanie.”

Ale Ryszan zaprzeczył.

— Wojna to świństwo, które wszelkimi siłami należy zwalczać!

Niwiński roześmiał się na całe gardło.

— Lubisz ty „Powiastki Małostrańskie” — spytał naraz kuzyna.

— Jeszczeby też!

— Słuchaj-że, opowiem ci coś a propos. Jak wiesz, jako student długo mieszkałem na Malej Stronie, tuż na przeciw Hranczan. Sąsiadowałem z książętami Szwarzenbergami, to znaczy, mieszkałem w suterenie vis-à-vis ich pałacu. Rozumie się, miałem przyjaciół i przyjaciółki.

Raz — działo się to późną nocą lipcową na ławeczce pod akacjami, na jednym z tych cichych, mało-strańskich placyków, udało mi się uszczknąć od towarzyszącego mi dziewczątka dowód łaski i najwyższych względów. „Post coitum omne animal triste est“ — ale ta dziewczyna miała więcej szczerzej siły od ciebie, bo ona powiedziała: — Jest to wprawdzie świństwo, ale przyjemne!

Ryszan zmięszal się trochę. Na szczęście wszedł „dięszczyk“ z jedzeniem i winem i młody oficer zaczął przygotowywać kolację.

Zaś Niwiński z przyjemnością patrzył na jego silnie zarysowaną krótką, kocią twarz o szerokich szczękach i wystającym podbródku.

— To jest twarz, której jednym uderzeniem pięści szczęki nie złamie! — myślał z zadowoleniem, bo jako namiętny „sportsman“ nie lubiał ludzi słabych i degeneratów.

Ale ta twarz nie była brutalna. Czoło wysokie, gładkie i jasne, oczy szaro-zielone, silne, żywe i przenikliwe, cera oliwkowa z delikatnymi, młodocianymi rumieńcami, wreszcie dłonie, muskularne lecz długie i wąskie — wszystko świadczyło o inteligencji, kulturze i rasie.

— Pisujesz jeszcze? — spytał Niwiński.

— Czasem, piosenki dla żołnierzy — uśmiechnął się Ryszan. — Zresztą, literatura przeżywa dziwne czasy... Sama czuje, że się zestarzała, nie umie żyć dzisiejszą rzeczywistością... Nie kocha jej, gardzi nią. Literaci tkwią jeszcze w przeszłości. A ty — nie piszesz?

— Nie piszę — przyznał się Niwiński. — Nie dlatego, abym gardził dzisiejszą rzeczywistością, ale ponieważ — złapać jej nie mogę. Tak wszystko leci...

Ryszan, jak wszyscy Czesi, lubiał dobrze zjeść i wypić. Apetyt miał wilczy, jadł błyskawicznie.

— Znudził mi się kocioł wojskowy — mówił, jakby tłumacząc się. — Stęskniłem się za czymś przyzwoitszem i smaczniejszym...

— A co słyhać na froncie?

— Jeśli pójdziemy naprzód, rozwalimy front austro-niemiecki. Jeśli będziemy słabi, Niemcy nie będą potrzebowali ruszyć się ani na krok — front nasz ztaje jak śnieg.

— Jakże to?

Ryszan wypił duszkiem szklankę wina.

— To, widzisz, jest rewolucja, która... która wielu ludzi uszczęśliwiła! — mówił z błyszczącymi oczami. — Ja ci powiem: Chodziłem dziś po mieście, patrzyłem i nigdy jeszcze nie widziałem na ulicach tylu szczęśliwych ludzi, co teraz, od czasu wybuchu rewolucji. Zdaje się, że słońce jaśniej świeci, niż dawniej. — Pij, czemu nie pijesz. Wino dobre — a ja mam urlop.

Nalał sobie pełną szklankę i znowu wypił duszkiem.

— Lubię, wiesz, jak mną szarpnie. Lubię — pioruny. Dlatego lubię wino. Ach, jakie dobre! Otóż — okopy! Po rewolucji szczęście wielką burzliwą falą chlusnęło od ponurych okopów do wschodnich wybrzeży Azji. Kamień grobowy spadł Rosji z serca, a nam wszystkim też. Popatrz — jeden uczciwy wysiłek — i jakim ogromnym płomieniem natchnionej miłości w jednej chwili buchnęły miliony serc ludzkich. Jakże można kochać wojnę, gdy tak łatwo o szczęście, jeśli się zwrócić wprost do człowieka! A jaką potęgę ma to szczęście! Ja w dzień wybuchu rewolucji byłem na froncie i powiem ci: nasze zimne okopy stały się wówczas

naraz, jakby na skinienie wróżki, wielką, od morza do morza ciągnącą się rzeką ognia najszlachetniejszego zapalu. Szczęście wezbrało w nich, lawą chlusnęło przez płoty kolczaste ku okopom Niemców i przeraziło ich. Zamiast oczekiwanego złamania ducha nowy wybuch entuzjazmu! To było dla nich straszne. W tej chwili poculiśmy się niewzyciężonymi.

— Tak, moment był wielki i piękny — zgodził się Niwiński. — Czy jednak po nim przyjdzie czyn i co z tego wszystkiego wyniknie...

— Niedowierzajaco, a nawet mściwie patrzycie na rewolucję rosyjską, Polacy! — zapalał się Czech. — Przestrzegam cię przed tem! Trzeba wierzyć i pomagać, bo inaczej osłabia się rewolucję, a wraz z nią i wiarę w siebie narodu rosyjskiego. Jeśli zaś on teraz przestanie wierzyć w siebie, to nie tylko zejdzie z frontu, ale narobi takich strasznych historii, że świat się od nich może zawalić.

— A ty wierzysz?

— Czyż inaczej mógłbym być żołnierzem czeskim? O, gdybyś ty wiedział, jak niewielu było nas, Czechów, gdyśmy postanowili tę walkę! Walkę z czem? Z przemocą niemiecką? Nie, to za mało, to słowo nie wystarcza. Myśmy zdobyli się na wypowiedzenie wojny czemuś, co wiekowemi korzeniami wrósłszy aż do jądra ziemi, właśnie dziś prze najgwałtowniej, waląc za niewidzialnemi lecz potężnemi ramionami myśli, które już mackami polipa silnie uczepliły się przyszłości i zabarwiły ją swym jadem. Nawet zwyciężywszy — w co wierzę — wyjdziemy z walki zatruci. Ile w nas złości będzie, ile zepsutej krwi, ile gniewu i wzburzenia, jaka drażliwość zazdrosna, jaka podejrzliwość i niewiara do ludzi! My nie tylko przemoc złamać musimy, lecz unicestwić trzy-

sta lat rzeczywistości, odrobić, przebudować, inaczej ona swe ujemne rezultaty dać musi i mocą istnienia swego runąwszy na nas, zmiażdży wszystko. Karabiny nasze są celne, ale czyż można strzelać z nich do myśli, które wysoko w chmurach krążą nad nami, jak orły wiecznie drapieżne? Słuchaj, ziemia niepewna jest pod naszymi stopami i zdradza drutami telefonów polowych. Powietrze jest nam wrogie i rzucając w przestrzeń fontanny wstrząśnień, szumi zdradą i kracze o śmierć dla nas... Wszystkie siły trzeba było wyżyć...

Przysunął się do Niwińskiego i mówił, znizywszy głos:

— Dlaczegoż to rozsypani na małe patrole pracowaliśmy na całym froncie jako wywiadowcy? Prawda, zdarza się, że jedna jedyna nasza rota włada trzydziestu kilku językami, bo są u nas ludzie z całego świata — ale i w armji rosyjskiej ich nie brak! Widzisz, myśmy wiedzieli, co carscy jenerałowie robili z Łotyszami, jak ich wydawali Niemcom, jak ich ohydnie zdradzali. Ilu nas było? Około dwóch tysięcy — na kwadrans roboty dla niemieckich karabinów maszynowych w armji takiego Everta. Dlatego woleliśmy być podzieleni na małe grupki. A teraz nas, walczących o prawo do własnej ziemi, już zaczyna się uważać za „szowinistów nacjonalistycznych,” już „towariszczi“ mruczą na nas i dochodzi do bójek.

Nikt nas nie rozumie, nikt nas zrozumieć nie chce.

Szliśmy w bój z wielką nienawiścią, z wielką namiętnością, z tem wszystkim, co zbrodnię wojny usprawiedliwia, czyniąc ją świętą i nieuniknioną, szliśmy po śmierć, lub swe prawo do życia. Czy tak wojował naród rosyjski? Nie. Pracowaliśmy wśród „ziemlaków,” tych szarych, dobroduszych „mużyczków” i widzie-

liśmy, że oni idą umierać nic a nic nie rozumiejąc. Czu-
liśmy, że nie tylko za siebie, ale i za nich podjęliśmy tę
walkę. Wojowaliśmy nie tylko za królestwo z tego
świata — wojowaliśmy za prawdę.

— Pięknie mówisz! — wtrącił Niwiński.

— Mówię, jak czuję! — zapalił się Ryszan. — To
jest dziś wewnętrzna prawda moja. Odrzuć spekulację
polityczną, odwróć ją od ludzi stojących w polu z bronią
w ręku, bo to jest „boży sąd.“ Ja który znam trochę Po-
laków, nie mówię nigdy, iż wasze wojska po obu stro-
nach są asekuracją polityczną. Ja to nazywam jedną
partją wojenną, wśród której nastąpił rozłam — wojna
domowa...

— Więc mów dalej!

— No więc: Nareszcie — dzień przyszedł. Odwo-
lano się do skrytego w duszy ludzkiej promienia słońca
— i ten promień rozświetlił ciemności. Na wszystkich
piersiach, na wszystkich ziemistych, gliną upapranych
szynelach pojawiły się kokardy czerwone, róże wolności,
serca, które radość z piersi wysadziła — i wtenczas ba-
gnet przestał być kawałkiem stali zimnej, ale stał się ja-
snym promieniem, który poraża. Z morza krwi i łez,
z mgieł i ciemności uciśnienia, z więzień ponurych, ste-
pów żalosnych, z wielkich rzek, zawodzących żałobnymi
pieśniami „burlaków,“ wystrzelił duch, jasna kolumna
ognia, w pożarach i łunach gorejąca Wolność! Z naj-
tajniejszego łona ziemi rosyjskiej w czarne niebo łukiem
strzelistym trysnęła rakietą czerwona i rozsypała się
w deszcz gwiazd szkarłatnych, rozpoczynających nowy
taniec w chmurach.

A tego dnia ja zrobiłem „kawał“ Niemcom i zato
dostałem krzyż.

Zawstydzil się.

— Nie mówię tego, aby się chwalić! — tłumaczył.

— Ale chwal się, chwal!

— No, wysadziłem w powietrze „horn“ niemiecki i zająłem niemieckie okopy. Powiadam ci, jakby mnie kto miodem po sercu posmarował, kiedy ziemia pod nogami Niemców zadrżała, I wówczas stało mi się też jasnym, że jeśli tego trzeba będzie, potrafimy całą Austrię wysadzić w powietrze, z korzeniem wyrwać z ziemi, wykarczować, ponieważ Austria jest potworem moralnym, a świat właśnie przejrzał i na panowanie Minotaura nie pozwoli. Czerwona rakietą, to znak budzący śpiących z uśpienia. Nim minie noc — wszędzie na horyzoncie świata roziskrzą się czerwone rakiety i w chmurach czarnych stanie cały las czerwonych świateł. Oto widzisz, czem byliśmy my, garstka szaleńców, jak mi się czasem zdawało. Jak Łotysze, nie mając nic, szliśmy się bić o swoje, ale to nasze jest prawem wszystkich, prawem całego świata, który pojąć i zrozumieć nie chciał, że my — jak inni — musimy żyć. Dziś każdy pojąć to musi — życie samo przyznało nam słusność — a tedy my, czołgający się na zwiadach przed okopami niemieckimi i nocą szukający w nich miejsc słabych, szliśmy w przedniej straży wolności całego świata i ten świat zwyciężyliśmy, przełamaliśmy martwość wieków. Nasz młot rozbił bryłę.

— Bryła trzymała się już tylko błotem: — odezwał się Niwiński — i rozleciała się sama. Myśmy w nią kuli przeszło sto trzydzieści lat. Gdzie obalano trony tyranów, lub sadzono drzewa wolności, wszędzie byli nasi żołnierze, podczas gdy wy służyliście wiernie Habsburgom, lub witaliście owacyjnie Suworowa, ciągnącego przez Pragę.

-- Wojciechu, poco mamy wypominać sobie stare grzechy? Narody nasze szły odmiennemi drogami. Mamże mówić o tem, że kiedy podczas powstania węgierskiego Słowacy ze Szturem rzucili się na Węgrów, Bem bił się po stronie węgierskiej?

— Przeciw Austrii i tyranji!

— Lub że Mickiewicz, ten wielki prorok Słowiańszczyzny sztyftował wojska polskie przeciw Bułgarii i Serbji po stronie Turcji?

— Przeciw tyranji rosyjskiej!

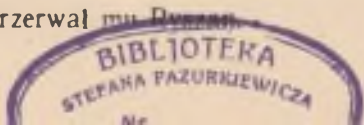
— Przeciwno Słowiańszczyźnie!

— Ta Słowiańszczyzna wówczas utożsamiała się z tyranją, caryzmem i najczarniejszą reakcją! — wybuchnął Niwiński. — Ta Słowiańszczyzna w milczeniu zgadzała się na śmierć Polski i lizła carskie buty! Słowiańszczyzny zjednoczonej w takim kulcie *my* nie uznajemy, *my*, którzyśmy kiedyś właśnie byli jednym z największych państw słowiańskich, dających równość i równouprawnienie wszystkim obywatelom.

— Nie, tak - byśmy się dogadać nie mogli.

— I tak się nigdy nie dogadamy, żebyś wiedział. Ty, będziesz mnie opowiadał o Słowiańszczyźnie, ale psychologja waszych rządzących ludzi jest zupełnie inna. Że chcecie istnieć, to rozumiem, ale słabymi będąc, nie mając wiary w odporność ducha, materialistycznie na świat patrzący kaczerze, nie wierzycie, że będziecie się mogli utrzymać sami i dlatego chcielibyście oprzeć się na Rosji. To nazywacie panslawizmem. Rozumie się, że wrogiem tej Słowiańszczyzny jest każdy, kto się na Rosję porywa choćby w obronie swych najświętszych praw. Ale ja się obawiam, że jak ta Rosja runie, to wy się oprzecie na Niemcach.

— Nigdy! — przerwał



— A upozorujecie to wówczas ideą braterstwa międzynarodowego, internacjonalizmem, który wśród was jest jeszcze silniejszy, niż panslawizm. Może nie?

Ryszan chciał coś powiedzieć, ale pomyślał chwilę, a potem roześmiał się głośno i rzekł:

— A wiesz, że to może być! Bądź co bądź polityka nie zna żadnych sentymentów, ani zasad niezłomnych, prócz korzyści.

Niwiński milczał.

— Ostatecznie sądzisz, że duch na froncie jest dobry, co?

— Z tymi ludźmi dziś wszystko możnaby zrobić. Rewolucja zasiała w nich ziarno entuzjazmu — Kiereński je rozdmuchuje. Nigdy jeszcze nie było na froncie tyle armat, broni, amunicji, ludzi. Jeśli kto pchnie naprzód tę lawinę, to ona pójdzie i zmiecie wszystko z drogi. Niemcy i Austriacy są na tym froncie słabi. Ale to trzeba iść naprzód i iść, bo lada zatrzymanie grozi nieobliczalnymi następstwami.

— Dlaczego?

— Nie masz pojęcia, jaki to ciemny żywioł i jaka jest wśród niego straszna agitacja bolszewicka. Te balwany istotnie wyobrażają sobie, że konstytucja to jest nowa carowa, a „respublikę“ tłomaczą jako „rież publiczną.“ Przykro opowiadać, bo to wszystko wchodzi w zakres nieprawdopodobnych, niewiarygodnych anegdot. Wszystko huczy tylko „bez aneksji i kontrybucji!“

— „precz z tajnymi pertrakcjami!“ — „precz z wojną!“

— Wszystko?

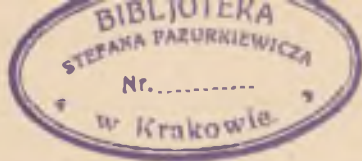
— Wszystko. Dziś tak, jutro inaczej. Dziś to nie jest niebezpieczne, bo odblask entuzjazmu rewolucyjnego w duszach został... Jedno zwycięstwo da tej armji

wiarę w siebie i dowódców i ochotę do czynów. Ale bez tego...

Dopił wina i silnie postawił szklankę na stole.

— Wszystko się rozlezie! Takiego bydła w życiu swoim nie widziałem! — dodał z pasją.

Niwiński uśmiechnął się.



Rozdział IV.

DRGNIENIA.

Choć niby pogodny wobec żony i niefrasobliwy, Niwiński trosk miał немало. Utrzymywał się z pośrednictwa handlowego, a mianowicie dostarczał prowiantów różnym konsumom, co się czasem nawet nie-
. żle opłacało, naogół jednak handlowych zdolności nie mając, nie mógł się pochwalić jakimiś szczególniejszemi zarobkami. Ot, utrzymywał siebie i żonę i z trwogą myślał o nieuniknionych, a wciąż rosnących wydatkach.

Wogóle — był pełen niepokoju i obaw. Bał się o żonę, bał się, że w spodziewanej prędzej czy później burzy, zginą oboje. Nie miał na to, aby ją wywieźć do Szwecji czy do Francji i przerażała go myśl, że jest przykuty do Rosji i będzie musiał przeżywać wszystkie fazy jej rewolucji, a obawiał się, że one mogą być bardzo nieprzyjemne. Nie wierzył, aby naród, zerwawszy się z obroży, nie zechciał po swojemu użyć wolności. I oto była przyczyna, dla której coraz żywiej — wbrew temu, co mówił żonie — zajmował się wojną, rewolucją i zagadnieniami politycznemi. Teraz, kiedy mu przyszło myśleć co najmniej na miesiące naprzód, kiedy oprócz siebie i swego kuferka czuł na swych barkach brzemie odpowiedzialności za szczęście i życie ukochanej kobiety, rozumiał, że wszystkie te sprawy nie są

czemś teoretycznem i oderwanem, ale na każdym kroku wiążą się z życiem i stanowią o niem.

Rewolucja rosyjska, jak dotychczas, wyglądała dość niewinnie i ozdobnie. Na każdym kroku stawiała „tańczące i gadające“ posągi. Niwiński jednak tym pozorom nie wierzył. Ani chwili nie wątpił, że prędzej czy później musi tu dojść do strasznych jatek, że musi wybuchnąć tu krwawa zawierucha, która może zmieść wszystko. A jemu właśnie bardzo a bardzo zależało na uratowaniu swoich i siebie z pogromu. Nie chciał ginąć w Rosji.

— Taką awanturę przeżyć i wyjść z niej cało, to sztuka nielada! — myślał nieraz.

Z początku wierzył w możliwość natychmiastowej, druzgocącej ofensywy rosyjskiej, — ofensywy rewolucyjnej, niosącej istotnie zwycięstwo i wolność całemu światu. W tych cudnych czasach można było ludzić się tak pięknie. Zwycięskie rewolucyjne wojska rosyjskie niosące wolność Polsce — to tylko zupełnie logiczna satysfakcja dziejowa, ostateczne spełnienie wszystkich prorocत्व pansławistycznych. Rozumie się, że wówczas, w cieniu czy w blasku tych zwycięskich a rewolucyjnych sztandarów staje olbrzymia armia polska — i wszystko jest, jak może być najlepiej.

Oczekiwania te zawiodły. O ofensywie dużo mówiono, ale jakoś wciąż jej jeszcze nie było, o wielkiej armji polskiej nikt poważnie nie myślał. Rosjanie kręcili — Polacy albo przeszkadzali sobie wzajemnie, albo niezbyt w możliwość stworzenia armji polskiej wierzyli.

Co będzie dalej?

Zaczną się rozmaite wojny domowe, potworzą się prywatne republiki, rozpocznie się rżnięcie żydów, różne strzelaniny, a w końcu na to wszystko wlezą Nie-

mcy! Tu jeszcze po staremu Turcy i Tatarzy zaczęą urządzić najazdy, a kto wie, może Polowcy i Pieczniegi zmartwychwstaną! Co począć?

Niwiński wstawał przeważnie bardzo wcześnie, nieledwie o świcie już jeździł na drugi brzeg Dniepru, na Słobódkę, gdzie robił przeróżne zakupy i załatwiał interesy. Potem miał zwykle parę godzin wolnego czasu, który spędzał na werandzie kawiarni Udziałowej na czytaniu dzienników, plotkach i rozmowie ze znajomymi sobie nieznajomymi.

Siedział tak raz, czekając na Ryszana. Jeden ze znajomych nieznajomych, wychylony przez żelazne sztachety, kupował papierosy od ulicznego przekupnia.

— Macie papierosy „Ekstra?” — pytał!

— Nie budiet! — kiwał „sprzedawczyk” przecząco głową.

— No, to już dajcie jakie macie! — zniecierpliwił się kupujący.

„Sprzedawczyk” pogmerał w skrzynce i podał mu pudełko papierosów „Ekstra.”

— Patrzcie, co za naród! — oburzył się „znajomy nieznajomy.” — Im się nawet sprzedawać już nie chce.

— Przyjmij pan raczej, że ten handlowiec nie umie czytać, więc nie wiedział, że ma „Ekstra.”

— Może to być w tym wypadku — odezwał się drugi „znajomy nieznajomy,” — naogół jednak oni już nie chcą pracować. Na przykład ja brałem stale w jednym sklepie pewien gatunek papierosów. W tych dniach przychodzę — niema papierosów. Czemu? Nikt robić nie chce — powiada mi kupiec.

— Im się zupełnie w głowach poprzewracało — rzekł trzeci. — Idę rano, widzę, zapalek nie mam. Na-przeciw mnie szedł właśnie inwalida jakiś z zapalkami.

Wszyscy przekupnie uliczni z zarobkiem sprzedają pu-
delko zapalek po siedem kop, ten zażądał odemnie dzie-
sięć. — Dlaczego? — pytam go się. — Ja jestem inwa-
lida — powiada — muszę zarobić! Uważacie panowie,
on to nazywa zarobkiem!

— A jakże! Zebranina to dziś najintratniejsze rze-
miosło! Znacie panowie tę sparaliżowaną żebraczkę, wa-
lającą się stale na ziemi, na „Kreszczu.“ Na własne
oczy kiedyś tu widziałem: Przechodził koło niej Chiń-
czyk z papierowymi wachlarzykami — baba uznała za
stosowne kupić od niego wachlarzyk za pół rubla i tak
wachlowała się, leżąc w lachmanach na bruku i żebrząc.

— Bardzo mądra inwestycja kapitału!

— Panowie, cóż dziś znaczy pół rubla! Drożyzna
z każdym dniem większa — a jeść trzeba. Przynajmniej
ja zjeść muszę, niedużo bo niedużo, ot tę kawę, tę bułkę
z masłem, cobądź, ale muszę zjeść — a to kosztuje stra-
szone pieniądze.

— Zwłaszcza, że kradną. Przed półgodziną zlapa-
łem garsona — fałszywie rachuje. Uważacie, panowie,
obywatele, napiwków nie biorą, bo im to ubliża, tylko
procenty — ale kradną po staremu i to im nie ubliża!
Oto — rewolucja!

— A cóż pan myśli? Na tem cała ich rewolucja
polega! Na froncie kradną jak kruki! I to chce robić
ofensywę na Niemców!

— A niech robią, prędzej w skórę dostaną i raz
wreszcie się ta komedja skończy!

— E, tak się to mówi! A ilu naszych w ich wojsku
służy!

— Co? To nic nie znaczy. Ja synowi swemu po-
wiedziałem wyraźnie: Hańbą się okryjesz, jeśli zabijesz
choć jednego Niemca!

— No to jakże pan sobie wyobraża sprawę polską?

— E, moi panowie, co tu dużo gadać! Choćby nam nawet dali Galicję, Królestwo Polskie, a bodaj i Poznańskie, zawsze będziemy między dwoma olbrzymami kamieniami młyńskimi, między Rosją a Niemcami.

— To już najlepiej chyba byłoby powiesić się! — warknął ktoś.

— Nie. Iść do Austrii.

Przyszedł Ryszan, dumny, promieniejący.

— Wojciechu, mamy już na froncie własny odcinek! Jest czeski front!

— Gdzie?

— Kolo Zborowa, w Galicji. Cała dywizja jest na froncie, pierwszy i trzeci pułk w okopach, drugi w rezerwie.

— Dywizja mocna? Ile ma ludzi?

Ryszan zawahał się.

— Nie powiesz nikomu?

— Słowo honoru!

Młody człowiek pochylił się ku Niwińskiemu.

— Niewiele więcej ponad cztery tysiące bagnatów.

— Mało. A co nowego w polityce?

— Masaryk przyjeżdża do Kijowa. Znasz go?

— Pamiętam z uniwersytetu.

— Podobno istotnie mamy się przenieść na front francuski.

— To fatalnie! — zląkł się Niwiński. — To-by znaczyło, że on już w Rosję nie wierzy, czyli — że tu nic nie da się zrobić, że on przewiduje awanturę. A co? Nie mówiłem ci? Jak tylko w „matuszce Rossii“ zaczyna śmierdzieć — koniec słowiańskiemu braterstwu i jazda do Francji! Rozumie się!

— Wojciechu, dywizja jest na froncie!

— Ach, czyż ja wam to biorę za złe! — podrażnionym tonem mówił Niwiński. — Zazdroszczę wam tylko, że tak łatwo was wszystkich przenieść z jednego końca Europy na drugi. Z nami trochę trudniej. Nas jakby kto chciał stąd przenieść, toby i szmat Ukrainy z ziemi wyrwać musiał! Nie to mnie zajmuje, ale to, że jeśli Masaryk chce was stąd przenieść, to znaczy, że istotnie niema tu już nic do roboty!

Wracając koło południa do domu ujrzał Niwiński jakiś ogromny pochód, który, zatrzymany prawdopodobnie Niagarą wymowy koło byłego pomnika Stołypina, tkwił na środku Kreszczatyku. Niwiński, zły i podrażniony, przez długi czas przyglądał się ludziom, niosącym mnóstwo czerwonych chorągwi. Orkiestry wojskowe grały niemieckie marsze i Marsyljanekę, nad głowami ludzkimi łopotały czerwone chorągwie ze złotymi napisami. Co krok uderzało słowo „mir“ (pokój), „precz z wojną“, „Bez aneksji i kontrybucji“, „Dość krwi, dajcie chleba“ i inne humanitarne hasła. Śpiewano pieśni rewolucyjne, „Dubinuskę“, „Marsyljanekę.“ Szli robotnicy, żołnierze, rzemieślnicy, różne organizacje, inwalidzi, mnóstwo stowarzyszeń kobiecych, nawet szkoły. Nad głowami tłumu kołysały się tablice z różnymi napisami, gęsto żydowskimi, a żydzi szli zwartą masą, energicznie, z wielkim gwałtem i ożywieniem niezgodnymi głosami i rękami śpiewając swój „majufes“ i niosąc trzy sztandary, jeden czarny z białym hebrajskim napisem, a dwa białe - błękitne ze srebrnymi gwiazdami syońskimi.

— Demonstracja przeciw ofensywie — rzekł do Niwińskiego Ryszan, który go odprowadzał.

— A przypatrz - że się temu! To ci jest przecie rzecz, którejby najgienjniejszy satyryk nie wymyślił!

Szła szkoła jakaś, kilkadziesiąt małych dziewczynek, nabożnie śpiewających „Dubinuskę.“ Przodem odwrócony do dzieci, w orzechowym paltocie — bo dzień był wietrzny choć pogodny — prowadził je wysoki, chudy i przygarbiony nauczyciel, z tępo fanatyczną, gliniano-żółtą twarzą, na której ponuro błyszczały czarne okulary — zaś takt swym wychowankom dawał tęgą szpicrutą, z zawiązaną na końcu czerwoną kokardką.

— Czy można lepiej przedstawić rewolucję? Tłum — i harap fanatycznego doktrynera z czerwoną kokardką. Przyznam ci się, że mnie ten widok napawa wielkim niepokojem. O, a to co znowu?

• Niesiono wielki sztandar amarantowy z napisem P. P. S. Za sztandarem szła garstka ludzi, śpiewających „Czerwony Sztandar.“ Kiedy mijali Niwińskiego, słychać było, jak fałszywie, ochryplemi głosami wywozili: „Sędziami wówczas będziemy my!“

— No, ładny - by to był trybunał! — mruknął Niwiński, patrząc na pospolite, mało inteligentne twarze. — Więc i ci mają już „dość wojny...“

— Nie truj się tem! — pocieszał go Ryszan. — Wśród nas jest też dość takich „pacyfistów“, płatnych przez „bolszewików“, lub przez Niemców, co zresztą podobno na jedno wychodzi. Ale nic sobie z tego nie rób. Ofensywa i tak będzie!

Rozdział V.

W PUSZCZY.

Zwykle nad wieczorem, kiedy się już robiło chłodniej, Niwiński wychodził z Helą na miasto, przyjrzeć się trochę życiu i ludziom.

Choć bywała najwyżej godzina szósta i dzień jeszcze jasny, spieszenie zamykano wszystkie sklepy, prócz spożywczych. Zamierał wieczorny ruch handlowy w sklepach, których okna wystawowe, dawniej jaskrawo oświetlone i pełne towarów, teraz ślepy i powlekały się szarem bielmem blaszanych rolet.

Widok tych sklepów, w biały dzień zamkniętych, nadawał ulicy wygląd jakby świąteczny, martwością swą odbijający dziwnie od żywego ruchu ulicznego, a zwłaszcza od rozpierającego się wszędzie ulicznego handlu i zebractwa. Na źle zamiecionych brukach, zaśmieconych proklamacjami, niedopałkami z papierosów i „siemiaczkami,” na rogach ulic i pod ścianami domów, przekupki i przekupnie uliczni porozkładali swe towary — kosze pełne owoców, czerwonych raków, kwiatów, całe kramy przenośne z koronkami, guziczkami i różnem innem „dobrem,” i opluwając się lupinkami „siemiaczek,” żartowali i „piererugiwaliś” wzajemnie, lub z klientami, doprowadzonymi do rozpaczki przez bezczelne podnoszenie cen.

Na stopniach domów, zdala od innych przekupniów, siedzieli w zmroku milczący i zadumani Japończycy w niezgrabnych, ale nowych ubraniach europejskich, w twardych, czarnych kapeluszach i z martwemi uśmiechami na żółtych twarzach. Koło nich leżało trochę towaru galanteryjnego, który uprzejmie pozwalali brać do rąk i oglądać, opędzając się tylko mężnie bosonogim malcom, z miną znawców pragnącym sprawdzić firmę japońskich, lub angielskich perfum, by zniknąć z nimi w tłumie.

— Wiesz? — przyznała się mężowi Hela. — Chciałam raz kupić od takiego Japończyka flakonik perfum. Myślałam, że będą tańsze niż w sklepach galanteryjnych, bo zawsze to przecie handlarz uliczny...

— No?

— Wcale nie tańsze. Znacznie droższe. Ciekawa jestem, jakie oni mają obliczenie?

— Tacy to i kupcy! — odpowiedział Niwiński. — Popatrz, wszyscy mają zupełnie takie same kuferki, takiego samego kształtu, wielkości, koloru. Jak gdyby je dla nich „en masse“ kupiono od jakiejś fabryki i rozdano im je...

— A któżby to mógł zrobić?

— Ten, kto ich tu wysłał.

— Co tam za zgromadzenie na środku chodnika?

— To „indywiduum w mundurze wojskowym“ — jak delikatnie pisze się o bandytach - żołnierzach — zgromadziło dokoła siebie tłum amatorów okazijnego kupna. Co za kieszenie musi mieć ten człowiek! Patrz, ile on z nich wyciąga rewolwerów, zegarków i lornetek!

Dalej znów młodzi obywatele sprzedawali pieśni rewolucyjne i podobizny Szewczenki i Kiereńskiego, podczas gdy kobiety wiejskie przemykały się wśród publi-

czności z wielkimi kosztami „bublików“ i białego chleba, chroniąc go bacznie przed okiem dość sparaliżowanej władzy, reprezentowanej przez niepewnych siebie milicjantów.

Tu i owdzie jakiś śmielszy stróż porządku i bezpieczeństwa puszczał się w pogoń za babą, lub próbował usunąć z bruku przekupki, zbyt hałaśliwie i bezwzględnie sadowiące się w najmniej odpowiednich miejscach, w tej chwili jednak otaczał go gęsty tłum, przypominający mu w sposób bardzo stanowczy, że „tępieć swoboda“ i grożący samosądem. Milicjant zmykał, a baby, tryumfalnie umacniając się na zdobytych stanowiskach, przez długi jeszcze czas sypały w stronę milicjanta salwy mocnych wyzwisk, co wyglądało, jak gdyby lżyły przechodzącą koło nich wyparadowaną i uśmiechniętą publiczność. Czasami jednak zdarzało się, iż ktoś kłótsliwszy, słysząc „silne słowa,“ a nie widząc adresata, brał je do siebie i rozpoczynał z babami szermierkę słowną, mogącą w osłupienie wprowadzić bohaterów Homera.

Wśród tłumu krążyły małe Chinki w granatowych bluzach, błękitnych szarawarach i w czarnych pantofelkach na małych nóżkach i krzywiąc kwaśno swe cytrynowe twarze o czarnych, robaczywych zębach, podsuwały kosze, pełne subtelnych fraszek z bibułki, podobnych do nigdy nie widzianych kwiatów fantastycznych, w bladych, pięknie i wykwiśniętych barwach.

— Popatrz, jaki dziś nieporządek na ulicach — narzekała Hlenka.

— O, wielkie rzeczy! — wzruszył Niwiński ramionami. — Straciło moc parę przepisów, które miały na względzie wyłącznie wygodę, tak zwanej „czystej publiczności

ści.“ To jeszcze nie jest żadna klęska. Za to o ile tu teraz żywiej, weselej! Przyjrzyj się tym żebrakom — co to za typy!

Usadowili się oni na widocznych miejscach, lecz zdala od przekupniów. Więc w jednym miejscu pod wysoką bramą wielkiego domu z szarego granitu stał jakiś ślepiec wysoki, w długim, zapiętym surducie czarnym, z przedziwnie uśmiechniętą, bladą, workową twarzą, okoloną białą brodą. Milcząc i jakby zgięty w lekkim, wyczekującym półukłonie salonowym, starzec stał nieruchomo, dłoń wyciągniętą po datek trzymając na wysokości serca. Gdy jaki przechodzień wsunął mu w rękę papierową markę, starzec pół-ciałem pochyłał się jeszcze bardziej, szybkim ruchem wkładał w zanadrze otrzymaną jałmużnę i powracał znowu do swego martwego półukłonu. Wyglądał istotnie poważnie i godnie.

— To musi być Polak — rzekła Hela, przyjrzawszy się mu.

— To jest żyd — odpowiedział Niwiński. — Ale wygląda stylowo i imponująco. Ja go przeważem hrabią Respektem. Tak wyglądałby hrabia Respekt, gdyby poszedł z harfą w ręce na dziady...

Trochę dalej siedział w kuczki na ziemi ślepiec, ospowaty, z ogoloną głową, otulony żółtym „armiakiem,” który rozkładał się dokoła niego, jak płaszcz tybetańskiego mnicha. Na kolanach miał rozłożoną wielką księgę, której wypukłe litery czytał palcami, w głos odmawiając modlitwy. Otaczało go i szczerze podziwiała wielu, kręcących głowami nad tem, że ślepiec czyta, gdy oni, bystroocy, sztuki tej osiąść nie zdołali. A dalej gąsienicowym ruchem czołgał się po bruku kaleka bez rąk i nóg, jeszcze inny tarzał się, podcinając sobą nogi nieuważnym przechodniom, podczas gdy jakaś

dziewczynka z uschłemi nogami, do kłębka lachmanów i śmieci podobna, staczała się z chodnika do rynsztoku i znowu wędrowała z powrotem, piszcząc żalonym głosem i klócąc się z ulicznikami, którzy jej dokuczali. To znów na środku chodnika kięczał niewidomy wyrostek, z dziadowskim patosem wykrzykujący wielkiem tragicznem „tremolando.“

— Gaas-pa-da-lubiez-nyje, paa-mi-lujtie kaleku niewidiaszczawo!

— To przecież jest wstrętne, chyba nie zaprzeczysz, ty, któremu się wszystko podoba — skrzywiła się młoda kobieta.

— Tak. Widok niezapreczenie żalony.

— Ale? Bo ty zawsze musisz mieć jakieś „ale...”

— Na dworach monarchów bizantyjskich był zwyczaj, że pobitym i wziętym do niewoli królom obcinano uszy, ręce i nogi, oślepiano ich i tak oni podczas wielkich przyjęć dworskich, lub w cyrku wili się, robactwu ziemnemu podobni, pod stopami cesarza w szkarłacie i złocie. Otóż tu widzę tych zeszpeconych królów w prochu, u stóp tronu...

— A cesarz w purpurze i złocie gdzie?

— Życie! Spójrz w ulicę! Nie świeci szkarłatem i złotem?

Istotnie, w zachodzącem słońcu gęste okna domów lśniły jak złote łuski pancerza.

— Wtem Hela szarpnęła się w bok.

— Co się dzieje? — spytał Niwiński.

— Patrz, co on robi! Warjat jakiś!

— Nie warjat, nie bój się! — roześmiał się Niwiński. — Nie uciekaj.

Żołnierz z czerwoną, jedwabną przepaską na ramieniu — prawdopodobnie deputowany pułkowy, —

ujrzawszy niewidomego stanął, rozpiął spodnie i wsadził w nie głęboko rękę; pogrzebawszy, wyjął z nich wielką, srebrną papierośnicę, nabitą zmiętymi banknotami, z których jeden wetknął w łapę ślepcowi.

— Dobry człowiek, widzisz — śmiał się Niwiński.

— A ty zaraz: Co on robi! Warjat jakiś! — Pieniędzy szukał.

— Także schówek! — dąsała się Hela.

— Delikatny! — przyznał mąż.

Co rusz to napotykało się nieskończenie długie — „ogonki,” to u przystanków tramwajowych, to przed kinematografami, piekarniami lub sklepami z tytoniem. Na rogach ulic niezmiernie długie „chwosty” zcierały się, zczepiały, krzyżowały niejednokrotnie. Ludzie stojący w nich rozmawiali lub czytali gazety, nierzadko książki. Największe zatory handlu ulicznego i żebraków tworzyły się oczywiście w przejściach i na rogach ulic, gdzie tłok panował taki, iż trudno się było przez gęstwę ludzką przecisnąć. Koło kiosków z „kwasami” owocowymi tłoczyły się gromady ludzi, zmęczonych i znudzonych długim czekaniem i grymaśnie żądających różnych napojów, a przede wszystkim tych, których nie było.

— A cóż to znowu za aptekarz! — zwróciła Hela uwagę mężowi, naciskając mu ramię.

Na brzegu trotuaru, snąc czekając na kogoś, stał młody żołnierz z wyszytą na lewym ramieniu w błękitnej tarczy trupa czaszką wśród skrzyżowanych piszczeli.

— To „udarnik” Kornilowa — objaśnił Niwiński.

— Wygląda jak butelka z trucizną na szczury — śmiała się Hela. — A jaką minę ma przerażoną.

— Patrz, jest dla nas miejsce na ławce — propono-

wał Niwiński. — Może siądziemy na chwilę. Strasznie lubię tę ulicę i ten ruch...

Usiedli.

— Co za bajeczny kinematograf! — mówił, zapalając papierosa. — Przyjrzyj się temu widowisku dobrze, bo to nie tylko zabawne i zajmujące — to zginie!

— Jakto — zginie? Cóż się stanie z tymi ludźmi?

— Widzisz — moment jest przejściowy i minie. Ci ludzie się rozejdą, rozlecą, przyjdą nowi, inni... kto wie, jacy... To jest Kijów w początkach rewolucji...

Szedł Ukrainiec w papasze z białego baranka, w koszuli sutej, białej, bogato haftowanej, w szarawarach błękitnych, przepasanych czerwonym, lub zielonym pasem z pozłocistemi frendzlami, a na pół metra szerokim, w skrzypiących, wysokich butach lakierowanych. Wyglądałby jak żywcem wycięty z noweli Gogola, gdyby nie twarz bezwąsa, po aktorsku wygolona, fajka angielska w zębach plombowanych złotem i pince - nez w czarnej oprawie na nosie. Za nim wyprostowany dumnie sunął biurokrata rosyjski w wiśniowej, jedwabnej rubaszce, w czapce płaskiej z urzędniczą kokardą i z „hemoroidalnym wyrazem twarzy“ oliwkowej, nadętej, a sennej. Za nimi kilku posępnych Tatarów w czarnych, długich surdutach i w czarnych, wysokich skopkach na głowach. Tuż ogorzali kozacy dońscy z bujnemi złotemi „oseledcami,“ wyglądającymi z pod furażek. Idą, niezgrabnie zginając w kolanach nogi przywykłe do siodła, długie szabliska otlukują im łydki, a u ramion latają żółte, lub czerwone „baszłyki.“ A dalej śniady, czarno-oki oficer rumuński strzela słodkimi spojrzeniami w stronę wyelegantowanych i obwieszonych brylantami żydówek. za którymi ciągną się odurzające pasma sil-

nych, zmysłowych perfum. Pociągła, smagła twarz „udarnika“ w szarym hełmie na głowie, z czerwono-czarną naszywką na rękawie — i szwaczki czy panienki sklepowe w jaskrawych „szarfach“, z podkrążonemi, świecącemi oczami i uróżowanemi ustami, w lekkich i krótkich sukienkach z świecącej tafty, z pod których widać drobne nóżki w pantofelkach, stukających po bruku niesłychanie wysokiemu korkami — to znów brunatni Gruzini, strojni, kędzierzawi, pachnący oliwą i baranią skórą — i wyniośle niosący się przez ulicę, ubrany „à quatre épingles“, chłodny, dystyngowany kornet ulanów polskich w granatowej czapce z amarantową obwódką... A teraz znowu olbrzymi, w „khaki“ mundurach monterzy angielscy o silnych szczękach i wielkich dłoniach, przysadkowaci Belgowie w czerwono - czarnych „calotte'ach“, nerwowi Francuzi w błękitnych, świetnie skrojonych mundurach, żołnierze czescy, ostro przykładający w wojskowym ukłonie ręce do czapek, ozdobionych białą-czerwoną różyczką — kulisi chińscy — i wszędzie śmiech, może nerwowy, może histeryczny czasem, lecz łatwy — i wszędzie zgłębiony dźwięczny i żywy głosów, blask słów zlewający się w jeden żar z blaskiem oczu i drogich kamieni, woń perfum i kwiatów i owoców i wyziewy ulicy i ryk pędzących samochodów, turkot wozów tramwajowych oblepionych ludźmi, huczące głucho dysputami „latające mityngi“, echo pieśni ulicznych i Marsyljanki — a nad wszystkim dogasający na niebie czerwonym dzień, przez gwiazdy srebrne z wielkim księżycem na czele odprowadzany cicho w przeszłość bezpowrotną.

— Uważasz, jaki dziwny charakter ma teraz ulica?
— odezwiała się Hela.

— Trochę rozhukany, jakby rozwiązły, podniecony

i gorączkowy, ale to jeszcze nic niebezpiecznego — rzekł Niwiński, własnym myśłom odpowiadając.

— Ni eo tem myślałam... Ale inteligencji jak gdyby mniej... Przycichła, pochowała się, nie rzuca się tak w oczy... Kobiety stroją się po dawnemu, ale mężczyzn-elegantów prawie nie widać, prócz wojskowych i to głównie cudzoziemców. W modę wchodzi „zaszczytny“ kolor i ubranie sportowe albo monterskie...

— Prawo mimikry...

— Każdy chciałby wyglądać jak najskromniej i jak najmniej odbijać od otoczenia... Ton miastu nadają dziś żołnierze.

Istotnie, gdzie okiem rzucić, wszędzie widać było grubo ciosane, mocne postacie, idące z rozmachem w narzuconych na ramiona, żółtych, grubych szynelach. Może nie było ich o wiele więcej niż dawniej, a tylko z jednej strony inteligencja zachowywała się wobec nich nieśmiało i nawet oficerowie, jenerałów nie wyjmując usuwali się na drugi plan, gdy żołnierze, nie zwracając najmniejszej uwagi na przełożonych, wybijali się na plan pierwszy śmiałem, swobodnem i wyzywającym zachowaniem się. Na pierwszy rzut oka poznać można było, że już uważają się za przyszłych panów miasta i sytuacji. Wraz z tem i masy miejskiego proletariatu ośmieliły się i podniosły głowę, szczególnie zadzierzystą i zaczepną postawę przybierając wobec inteligencji. Niwiński rzucił okiem na jadące ulicą dorożki — były one zajęte przeważnie przez żołnierzy i pospólstwo. Leciały platformy samochodowe, naładowane zbrojnymi ludźmi, w samochodach siedzieli żołnierze z czerwonymi odznakami i przepaskami na ramionach, a w jakimś eleganckim kabrioletu, zaprzężonym w przepyszne karego „rysaka“ pędziło dwóch młodych ludzi, z których jeden,

najwyraźniej jegomość z dalekiego przedmieścia, grał na czerwonej harmonji, i nie zważając na huk miejski, z dowcipną miną śpiewał coś do ucha powożącemu.

— A wiesz ty co ?— odezwał się nagle do żony Niwiński.

Spojrzała na niego pytająco.

— Pamiętasz w „Ogniem i Mieczem“ pożegnanie z Zaćwilichowskim Skrzetuskiego, jadącego na Zaporozie?

— Pamiętam.

— Otóż widok dzisiejszego Kreszczatyku nastrojem przypomina mi — czechryński rynek...



Rozdział VI.

PIERWSZE KROKI.

W parę dni później Niwiński siedział w kawiarni Udziałowej wśród swych znajomych nieznajomych i tryumfował.

Ofensywa rewolucyjnych wojsk rosyjskich rozpoczęła się na dobre. Odznaczyli się też Czesi, którzy na swym odcinku pod Zborowem wzięli przeszło trzy tysiące pięćset jeńców i piętnaście dział.

— Ale i owszem, niech robią ofensywę — śmiał się ironicznie któryś ze znajomych nieznajomych. — Gdyby siedzieli cicho, Niemcy dałiby im spokój, a tak to za dziesięć dni będą w Kijowie.

— Chwała Bogu! — dodał drugi.

Ryszan dumny i szczęśliwy, opowiadał szczegóły bitwy pod Zborowem. Przyjechali już pierwsi ranni z frontu, przywieźli wiadomości. Znajomi nieznajomi obsiedli stolik Niwińskiego i Ryszana.

— A jak pan sądzi, ofensywa może się dalej rozwijać? — pytał jeden.

— Według tego, co słyszałem od kolegów — tak. Linji obronnej tak jakby nie było. Austriacy są strasznie

osłabieni — najlepszym dowodem, że zostawili na placu 30.05 ct. moździerze, sprzęt bardzo drogi, mający specjalny swój oddział i specjalne samochody do przewożenia. Niema też koni.

— A w jakim kierunku pójdzie ofensywa, jak się panu zdaje?

— Ja mam wrażenie, że „kierunek lwowski“ jest finta — odpowiedział Ryszan. — Cios będzie wymierzony, zdaje się, z frontu rumuńskiego, gdzie armja zachowana jest kompletnie, a prócz tego bije się też trzydziestotysięczny ochotniczy korpus rumuński pod komendą byłych oficerów austriackich.

— Tak niby lekceważycie tę armję austriacką — mówił z ironicznym uśmiechem jeden ze słuchaczy — a jak co do czego przyjdzie — to za zaletę oddziału uważa się, że jest pod komendą byłych oficerów austriackich...

— A bo to są doskonali oficerowie — odpowiedział Ryszan — ale tylko wówczas, kiedy się biją przeciw Austrii.

— A o „naszych“ pan tam nic nie słyszał? Bo to, panie, cała dywizja na froncie, nie żarty, chłopcy na schwał, panie... Jak tu, panie, karabiny wzięli na ramię — jeden błysk, panie, aż radość była popatrzeć...

— Ja mówiłem tylko z ludźmi z naszego odcinku. Ci nic nie wiedzą.

— Nie może być! Musieliście coś słyszeć.

— Dajże pan spokój! — zniecierpliwił się Niwiński. — Ja istotnie coś słyszałem, ale nawet powtarzać nie chcę...

— Co? Co takiego?

— Mówią, że dywizja odmówiła posłuszeństwa.

— To wszystko jedno! — tłumaczył rozpromieniony Ryszan. — Byle zacząć w jednym punkcie, wszystko

pójdzie naprzód! Kiereńskij zyska tem sobie wielką sławę i popularność, bo jeśli ofensywa się uda, to to jego zasługa.

— Posąg gadający! — skrzywił się niechętnie Niwiński.

— To blazen! — zirytował się któryś ze znajomych nieznajomych. Ja znałem jego teścia, generała Baranowskiego. Ten zawsze nazywał go durniem, histerykiem i człowiekiem do głębi duszy niemoralnym.

Wieczorem tegoż dnia był Niwiński na zaproszenie Ryszana na mityngu czeskim urządzonym dla uczczenia rocznicy spalenia Husa. Mityng odbył się w podwórzu uniwersytetu kijowskiego, gdzie w r. 1914-tym rozkwatowane były pierwsze rotty pierwszego czeskiego bataljonu. Wieczór był zimny, wietrzny, ale parę tysięcy Czechów uważnie i w skupieniu wysłuchało mów, a potem ustawivszy się w czwórki, poszło z muzyką przez miasto demonstrować pod gmachem Dumy miejskiej. Oficerowie i kozacy na ich widok powiewali czapkami i wołali „Sława, bratja Czechy!“ ale pod Dumą jakiś bolszewik rosyjski zrobił skandal, nawołując do pokoju i braterstwa ze wszystkimi narodami.

Cokół byłego pomnika Stolypina był, jak zwykle, oblepiony zamysłonemi, milczącemi postaciami żołnierzy. Tylko, że figury te w zmierzchu ciemnego, chmurnego wieczoru, były czarne i złowrogo posępne.

Wracając późnym wieczorem do domu Niwiński spotkał znajomego Lwowianina, od którego dowiedział się — ku wielkiej swojej radości — iż dywizja polska nie odmówiła posłuszeństwa i w ofensywie udział brała. Wiadomości o „buntach“ jej są znacznie przesadzone przez ludzi sprawie wojska polskiego nieprzychylnych.

Odetchnął.

A nagle ofensywa stanęła.

Zacięła się.

Pisma uderzyły na alarm, a proletarjat śmiał się i drwił z własnych oficerów i żołnierzy.

Niwiński — poza domem — pienił się z wściekłości. Formalnie patrzeć nie mógł na Rosjan.

Aż jednego dnia ujrzał zajeżdżające przed Dumę miejską cztery platformy samochodowe pełne inwalidów i kaleków. Na piersiach ich lśniły liczne krzyże i medale św. Jerzego. Byli to wszystko ludzie młodzi, a polamani i potrzaskani, świadkowie wielkich wał w Prusach Wschodnich, nad Bzurą i Rawką, pod Erzerum na armeńskich wyżynach. Niosąc czerwone sztandary wielkim głosem wzywali lud do walki o zwycięstwo, oświadczając, że wszyscy dobrowolnie idą na front.

— Są jeszcze w Rosji ludzie! — pomyślał, patrząc na tych bohaterów, Niwiński.

Ofensywa znów poszła naprzód.

Donoszono o bardzo głębokim przerwaniu frontu austro-niemieckiego, o panicznej ucieczce Austriaków, o wzięciu Kalusza i Ialicza.

Zaś wieczorem ktoś z obleśną miną opowiadał Niwińskiemu, iż pułk ułanów im. Księcia Józefa został strasznie schlastany. Ułani, obrażeni na buntującą się ponoś dywizję, na złość poszli się bić. Rzucono ich w jakąś łukę, ponieważ jednak wojska rosyjskie ich nie poparły, wojska niemieckie za nimi się zamknęły i wybiły ich. Wróciło wszystkiego 15—10%.

— Dzielni ludzie! — westchnął Niwiński. — Jeśli tak było jak pan mówi, nie zdobyli wprawdzie Somo-sierry, ale uratowali honor żołnierza polskiego.

— Co nam z tego? — płaczliwie skarżył się Kijowianin. — Tylu młodych chłopców zginęło!

Tej nocy spał Niwiński bardzo źle. Śniło mu się, że słyszy ryk bataljonów niemieckich, lecących na rozproszonych, napół wystrzelanych ulanów. Sen był tak przykry, że Niwiński zbudził się.

Ryki rozlegały się na pobliskim placu Dumskim.

— Samosąd!

Na drugi dzień straty ulanów im. Księcia Józefa zmalały do 50%. Mówiono też, że dywizja bardzo dobrze stawiała, a tylko jeden pułk uzależnił swe wystąpienie od uchwały Zjazdu w Piotrogradzie, w czym można było dopatrzeć się ręki oficerów-agitatorów, bo żołnierze mało się tym zjazdem zajmowali.

— Cóż to? Oficerowie bawiliby się w takie igranie z ogniem? — zaniepokoił się Niwiński. — I to polscy oficerowie? Niepodobna.

Podrażniony, zaczął po mieście szukać kogoś, od kogo możnaby się czegoś pewnego dowiedzieć. Postanowił bezwarunkowo dojść, ile na tem wszystkim jest prawdy. Nie było to łatwe.

W polskich kołach wojskowych w Kijowie albo nie wiedzano, albo nie chciano mówić. Ryszan, który miał dużo stosunków z wojskowymi, wyjechał do Piotrogradu. Trzeba było samemu latać po różnych instytucjach polskich i podstępnie wyludzać informacje, lub też okruciny prawdy wylawiać z opowiadań oficerów czeskich, powracających z frontu, a z którymi się Niwiński zaznajamiał „na dachu,” w kawiarni hotelu „Praga.”

Było to jakoś w początkach lipca.

Niwiński przypadkowo zasnął, więc ubierał się szybko, bo miał w „Udziałowej” dwie „randki,” jedną w sprawie pewnej dostawy drzewa, drugą z komisarzem czeskim, który właśnie wrócił był z frontu i widział woj-

sko polskie. Myjąc się w łazience słyszał, jak służąca, opowiadając coś Heli, mówiła:

— Milicję rozbroili, źle jest na ulicach, powinni sprowadzić kozaków z Piotrogradu dla uśmierzenia...

To głupie zdanie tak go zirytowało, że choć był ciekawy, co się tam znowu stało, o nic już nie pytał, tylko ubrawszy się, zjadł prędko śniadanie, pożegnał się z żoną i wyszedł.

Dzień był bardzo piękny, ulica ruchliwa, ale o normalnym wyglądzie. Koło poczty stał silny posterunek, złożony z kilkunastu „Bohdanowców,” żołnierzy ukraińskiego pułku Bohdana Chmielnickiego, czemu się Niwiński nie dziwił, bo skoro pułk taki istniał w Kijowie, mógł pełnić służbę wartowniczą. Przemknęło też przez Kreszczatyn kilka platform i samochodów pełnych ludzi i najeżonych bagnetami — rzecz również naturalna w czasach tak niespokojnych, zwłaszcza, że poprzedniego dnia przebąkiwano coś o rozruchach w Piotrogradzie. Wszystko to jednak nie wyglądało niebezpiecznie.

Kawiarnia była jeszcze pusta — tylko jakiś wysoki, kościsty drab z długą woskową gębą i fryzjerskim rozdziałem na środku czoła, mocował się ze stolkami, z wielkim hukiem i gwałtem ustawiając je jak żołnierzy przed przegładem, i szukając idealnego „krycia” i „równania.” Po chwili przyszedł komisarz czeski.

Rozmowa z nim do najwyższego stopnia podrażniła Niwińskiego. Szarży ulanów pod Krechowcami Czech nie widział, przyznawał jednak możliwość jej i wiarygodność komunikatu, donoszącego o sforsowaniu przez konnicę polską siedmiu linii okopów niemieckich. Zapytany o dywizję, odpowiedział:

— Właściwie to było tak: Jakiś oddział rosyjski otrzymał rozkaz rozbrojenia Polaków, których broń

i rysztynek miano oddać Czechom. Oficer rosyjski dowodzący oddziałem, mającym Polaków rozbroić, polecił Czechom samym sobie rysztynek odebrać, kiedy jednak nasi przyszli, rysztyнку ani broni już tam nie było.

— Gdzież się broń podziła? — spytał Niwiński.

— Polacy porzucali broń na kupę i podpalili. To coś okropnego, co się z tymi ludźmi działo.

— Pierwsze słyszę — zdziwił się Niwiński. — Mnie mówiono, że coś tylko około siedmiuset ludzi przeszło na drugą stronę...

— Przeszło ich znacznie więcej, bo więcej niż połowa dywizji. Tylko jeden pułk wiernie siedział w okopach. Tam była straszliwa agitacja; podobno Polacy rosyjscy w tem zawinili. Jest mi to zupełnie niezrozumiałe. To coś wręcz przeciwnego, niż w Królestwie Polskiem, gdzie nastrój jest dla okupantów wrogi. Nasi ludzie też wśród Polaków agitowali, starali się ich powstrzymać, ale na nic się nie zdało. W wagonach oficerowie rosyjscy tylko o tem mówią... Szowinizm antypolski rośnie dzięki temu...

— Słuchajcie! O was przecie pod Zborowem mówiono, że jesteście zamaskowanymi Niemcami...

— Ja nie wątpię, że jest tu w grze intryga...

— Kiereńskijski...

— Może być, że i Kiereńskijski... Ale przedewszystkiem wy między sobą macie wrogów własnego wojska i oni psują... Bo jednakże was chciano rozbrajać... Któż do tego doprowadził?

— Przyznam się, że w to „rozbrojenie“ nie bardzo wierzę...

— Sam widziałem rozkaz do naszych wojsk objęcia broni i rysztyнку po was...

— W głowie mi się pomieścić nie może...

Niwiński oparł głowę na dłoni i odwróciwszy się od Czecha, zapatrzył się, zamyślony, w Funduklejewską ulicę. Kipiało w nim. Niezupełnie wierzył Czechowi, ale nie wątpił, że musi być na tem coś prawdy; uważano go trochę jakby za Czecha, miano do niego zaufanie, nie było przyczyny, dla której komisarz miałby zmyślać.

Jak trudno było wyłowić z odmętów zgnilego morza rosyjskiego tę garść uczciwych Polaków, zdolnych dać życie za prawdę polską! Jak niezmiernie ostrożnie trzeba było z nimi postępować, by ich uchować jako małą komórkę wielkiego przyszłego organizmu! Niech się kłócą politycy o rację lub nie-rację, ale to przecie było polskie wojsko, naprzód ten legion nieszczęsny, który tyle krwi przelał, później brygada, ledwo wlokąca swą egzystencję na tyłach, wreszcie dywizja... I jakieś ręce złe, ręce szatańskie, wciąż płaczą nici, wciąż psują wszystko i niweczą i chcą utopić w błocie... Swoje własne, sprzedajne, podle ręce...

— Do diabła, co to dziś jest z temi samochodami — przerwał naraz Czech milczenie.

— Albo co?

— Uganiają jak w Piotrogradzie w pierwszych dniach rewolucji... Czy się tu na jakiś zamach stanu nie zbiera?

— Ktoby tu robił zamach stanu!

— Podobno w Pitrze wystąpili bolszewicy... Patrzcie... Znowu kupy wojska, kawalerja spieszona, bandy jakieś... O, gruzowiki pędzą z Bohdanowcami... Wielki wojskowy ruch... Ej, czy to nie jakiś zamach ukraiński... A co tam, panie, co ludzie mówią? — zwrócił się do garsona, który właśnie wrócił z werandy. — Idzie to wojsko idzie?

— Bóg ich tam wie, co plotą. Mówią, że się junkry zbuntowały! — rzucił garson niechętnie.

— A co to jest za obdarte towarzystwo z temi palaszami, w nieoczyszczonych butach?

— Wolne kozactwo.

— No, serwus! To tu będziemy mieć wnet „Ogniem i mieczem.“

— Wy jakoś niebardzo sprzyjacie Ukraińcom! — zauważył Niwiński.

— Rosja bez Ukrainy jest nie do pomyślenia — odpowiedział Czech — i Rosjanie do jej oderwania się od Rosji nigdy nie dopuszczą i dopuścić nie mogą. Ukraińcy wiedzą o tem, a tedy opierają się w swych separatystycznych dążeniach na Niemcach. Powstanie wolnej Ukrainy zadałoby śmiertelny cios naszej sprawie.

— Dziwna rzecz! — rzekł po namyśle Niwiński. — A przecie wy szliście zwykle z Ukraińcami przeciw nam!

— To było na gruncie parlamentaryzmu austriackiego w czasach przedwojennych!

— Nie darmo jesteście członkiem partji „realistycznej“ — pokręcił głową Niwiński.

— Panta rej! — odpowiedział komisarz, który w czasie pokoju był profesorem gmnazjalnym. — Nie trzeba zapominać o tem, co jest pod nosem: Seperatystyczny ruch na Ukrainie wywoła w Rosji wojnę domową, to znaczy, zniesie front rosyjski i rozwiąże Niemcom ręce. Bądźcie pewni, że państwa contralne ruch ten podniecają, a zatem w tej formie i w tej chwili nie mamy tu do czynienia z Ukrainą, lecz z intrygą niemiecką.

— Bardzo być może! — zgodził się Niwiński.

Kiedy wracał do domu, poczta obsadzona już była przez junkrów.

Dopiero popołudniu dowiedziano się czegoś pozytywnego, o ile komunikaty urzędowe zasługiwały na nazwę informacji pozytywnych.

Oto we wsi Hrusza koło Światoszyna pod Kijowem, rozkwaterowany był dziwny jakiś pułk ukraiński im. hetmana Połubotka. Pułku tego nie uznał ani rząd rosyjski, ani ukraińska Centralna Rada — wobec czego i intendatura nie chciała o nim słyszeć. Zniecierpliwieni rzekomo głodem i niedostatkiem żołnierze wtargnęli w nocy do Kijowa i zajęli, lub próbowali zająć, gmachy i instytucje rządowe, jak pocztę, bank państwa itp. Poaresztowano różne osobistości, między nieni komendanta miasta i komendanta milicji, rozbijano milicję, której rewiry zajęto, uniesiono z magazynów broni pięć tysięcy karabinów z amunicją, rozgromiono lkał sztabu i mieszkanie prywatne komendanta okręgu Ijowskiego. Dopiero „Bohdanowcy,” wystąpiwszy przeciw „Połubotkowcom,” przywrócili porządek.

— Tam do djabła! — wykrzyknął przeczytawszy te wiadomości Niwiński. — Głodni „Połubotkowcy” chcieli zająć pocztę?

Na Hruszę i Połubotkowców popołudniutegoż dnia wspólnemi siłami urządzono wyprawę. Posli junkrzy, kirasjerzy i „Bohdanowcy.” „Połubotkowcy” trasznie się obrazili i kategorycznie zażądali, aby im ra dano spokój, bo inaczej naprawdę „wystąpią.”

Miasto śmiało się z tego wszystkiego. Dla nikogo nie było tajem, że zamach wyszedł z łona „samostijników” czyli Rady Centralnej.

Już na drugi dzień zapomniano o tem.

—————

Rozdział VII.

WIRY.

Zabłądziwszy raz w czasie swych wędrówek do kawiarni w hotelu „Praga,” Niwiński zaczął tam chodzić codziennie.

Kawiarnia urządzona była na dachu, na siódmym piętrze i przed wojną uchodziła za jeden z najprzyzwoitszych lokali w Kijowie. Wojna i rewolucja obniżyła trochę jej poziom kulturalny, aczkolwiek obsługa, spoczywająca w rękach kilku złotowłosych, różowych Łotewek, była w dalszym ciągu w wielkim stylu, zła, opieszała i niedbała. Ponieważ kawiarnia należała do Czecha, schodzili się w niej na knedle ze śliwkami i szachy miejscowi Czesi, przemysłowcy i fabrykanci, wszyscy gwałtownie politykujący. Prócz nich widać tu było też licznych oficerów i żołnierzy dywizji czeskiej, spędzających w Kijowie swe urlopy.

Rosjanie zaglądali „na dach” coraz rzadziej, zato częściej pokazywali się tu Polacy, zwłaszcza ci, którzy już pragnęli spokoju i samotności. Bo ludzie byli już pomęczeni i coraz częściej odczuwali potrzebę skupienia

w ciszy i milczeniu. A tu istotnie było cicho. Czasem tylko pokłócili się Czesi przy szachach, lub zaświergotała coś po lotewsku któraś z dziewcząt. Zresztą wiatr wyl monotonna, glusząc nawet te odgłosy miasta, które mogłyby się dostać na tę wysokość.

Czerwone, trzcinowe fotele były wygodne, widok zgóry na miasto nie nazbyt wprowadzie ozdobny, lecz miły. Widziało się Kijów przez gęstą białą sieć sztachet żelaznych, po których pelzły jakieś czerwono kwitnące pnące. Widziane zgóry miasto nie robiło wielkomiejskiego wrażenia. Dużo bardzo zieleni — również dachy kryte przeważnie zieloną blachą, rzadziej ciemno-czerwoną, domy przeważnie z żółtej cegły, jasne, z wysoka białawe, podwórza wielkie jak ogrody — a na widnokręgu rozproszone wieże i dzwonnice cerkiewne w złotych czapkach.

Niwiński spotkał tam kilku swych dawnych znajomych, między nimi Ziembę, człowieka na śmierć zapolitowanego i Szydłowskiego, profesora matematyki, z zawodu astronoma. Szydłowski chudy, wysoki, z małą, siwiejącą już jasną bródką, odznaczał się encyklopedycznym prawie wykształceniem, bardzo pocziwemi, niebieskimi oczami, wielkim spokojem i darem milczenia. Ziemba, człowiek szeroki, tęgi i mocny mimo dobrze przekroczonej piędziesiątki, był dość tępy, ale dużo widział i przeżył i znał różne tajemnice polityki, w której żywy brał udział.

Od niego dowiedział się też mniej więcej pozytywnie, co było właściwie z dywizją polską na froncie. Oto pierwszy, trzeci i czwarty pułk był w okopach, drugi w rezerwie. Linje były niedaleko siebie, zarosłe trawą. Zaczęły się rozmowy. Wolano: — Co będziecie się bili z tymi, którzy Polskę zrobili? Chodźcie do nas, to was

zaraz wysłemy do Warszawy i jutro już będziecie na miejscu, na nabożeństwie, a jeśli nie pójdziecie, to was gazami wydusimy, bo wiemy, że masek nie macie. — I istotnie, zaczęto strzelać pociskami gazowymi, a wówczas siedmiuset ludzi przeszło na stronę niemiecką, ale reszta wiernie wytrzymała.

— To by się do pewnego stopnia zgadzało z memi informacjami — mówił Niwiński. — Szukając jakiegoś rozumnego świadka, znalazłem wczoraj w szpitalu na Funduklejewskiej pewnego „udarnika“, który mi mniej więcej to samo opowiadał. Podobno buntów żadnych nie było. Kiedy któryś tam pułk iść nie chciał, drugi dobrowolnie miał go zastąpić. Ten „udarnik“ mówił mi, że doktor nie chciał puścić dywizji na front, ponieważ masek nie było, ale oto nie dbano, jako że rosyjskie pułki mogły to inaczej wykladać, więc szło o honor; pułki z całą świadomością poszły i istotnie zostały ostrzelane gazem. Ludzie, którzy mieli za sobą gaz, nie mogli iść, jak tylko naprzód, więc poszli i nie wrócili — podają siedmset ludzi. Co do Czechów to możliwe jest, że coś po dywizji odbierali, ale to dlatego, że postanowiono formować korpus polski i dywizję przeniesiono do Witebska. Więc broń oddawano, bo nie była potrzebna. Mówią też, że dywizja miała wskazówki od Piłsudskiego, który jakoby kazał Niemców bić jak najsilniej.

— Że panu się chce zajmować temi wszystkimi plotkami! — wzruszył ramionami Ziemia.

— A niby cóż może być ważniejszego? — spytał Niwiński. — Zdaje mi się, że obecnie od nas zależy wszystko. Piłsudski złożył broń, to znaczy, że pozostawił nam co najmniej wolną rękę. Ja rozumiem, że przez to on mówi: — Teraz kolej na was. — Niby o to

wojsko dobijaliśmy się od samego początku — mieliśmy coś niecoś, ale to było sporne. Mniejsza z tem, kto miał rację. Dziś już spornem nie będzie...

— No i cóż pan zrobisz z tem wojskiem? — lekceważąco pytał Ziemba.

— Front wschodni my możemy uratować! Pokażemy, że jesteśmy na wschodzie Europy czynnikiem dedującym. Łotysze mają dwie dywizje, Czesi formują korpus, my możemy postawić dwa-trzy korpusy, to jest — armję, rozumie pan, staną przy nas kozacy, „udarne“ bataljony, różne ochotnicze formacje, co przyzwoitsze pułki — i utrzymamy front i swój jakiś pas ziemi, gdzieby ludzie mogli żyć po ludzku — przedewszystkiem zaś Ukrainy Niemcom nie damy.

— To się robi, słyszałeś pan o korpusie, który się formować w Witebsku, ale do akcji wojskowej nie można przywiązywać większego znaczenia...

— Dlaczego? — zdumiał się Niwiński.

— Bo to bardzo trudna rzecz.

— Aha! Trudna rzecz! — uniósł się młody człowiek. — A toś pan chciał robić same łatwe rzeczy?

— Nie gadajże pan głupstw! — zachnął się polityk. — Pan wiesz, że rząd rosyjski utrzymywał tylko brygadę i dopiero Milukow pozwolił na dywizję...

— Ale przez cały ten czas można było organizować i trzymać w pogotowiu na wszelki wypadek jeńców — dziesiątki tysięcy ideowych żołnierzy, którzy zgłaszali się i czekają na wezwanie do wojska od lat.

— Poco? Żeby ci ludzie do domu potem wrócić nie mogli?

— Otóż odpowiedź! Dąbrowski we Włoszech o to nie dbał, jeńców wcielał do swych legjonów bez pytania

i agitacji i nie zawodził się na nich. Ale jakże wy możecie zdobyć się na tę odwagę i energję, skoro, wojując niby z Austro-Niemcami, nie wierzycie w zwycięstwo!

— Wierz-że pan! A ja panu powiem, że Moskale znowu dostali w skórę! I cała ich zwycięska ofensywa to żydowski humbug!

— Może być, a ja mimo to w zwycięstwo wierzę!

— Pan mówisz jak dziecko!

— Dajno pan spokój — wniósł się do rozmowy Szydłowski. — Niwiński ma słuszość. Sprawa wcale nie jest przegrana i Rosjanom dotychczas nic zarzucić nie można. Oni eksperymentują, ale widać, że czegoś chcą. Jak dotąd — nie zdradzili nikogo i można iść z nimi razem...

-- Szydło! Pan niewiesz, jakie to jest trudne! Żołnierzy z armji rosyjskiej oni do polskiej nie puszczą, nie mogą puścić!

— Rozumie się, boby im to zdemontowało armję, ale jeńcy, jeńcy!

— Kiedy bo wy patrzycie na sprawę polską przez czeskie okulary!

— Ee, bo pan wygaduje brednie! — zirytował się Szydłowski. — Popatrz-że pan na korpus rumuński, na Serbów... Najpewniejsze dziś wojska... Niewątpliwie i my moglibyśmy dużo zrobić, ale trzeba robić, organizować, agitować, a nie siedzieć i narzekać...

— Będiesz pan jeździł po obozach, po całej Syberji?

— Nie potrzebuję jeździć! — odezwał się znów Niwiński. — Czesi od lat już prowadzą w obozach agitację, wiedzą, gdzie co jest...

— A pan im oczywiście wierzysz!

— Mój panie! Mają do wyboru albo stać na tym froncie wobec najospalszych pułków austro-niemieckich i blisko domu, albo jechać do Francji.

— Gdzie w przeciągu dwóch miesięcy pod jakimś Verdun strzepy z nich tylko zostaną! — pokiwał głową Ziemba.

— Właśnie. Więc czy utrzymanie frontu wschodniego nie leży w ich własnym interesie?

— Łatwo wam gadać!

Ziemba zirytował się i odszedł obrażony.

A już na drugi dzień przyszły straszne wiadomości o wielkiem przerwaniu frontu rosyjskiego pod Brzeżanami i zupełnym rozkładzie armji.

Niemców puściła gwardja.

Przyjeżdżający do Kijowa oficerowie czescy opowiadali o panice, jaka wybuchła w dywizji czeskiej. Kryli się z tem, ale przecie Niwiński domyślił się, w czem rzecz, gdy dwóch rannych oficerów żaliło mu się, że im przepadła bielizna, całe wyekwipowanie, aparaty fotograficzne i zbiory. Jeden z pułków spalił swe archiwum, mówiono też o dwóch spalonych sztandarach. Na wypadek zupełnej klęski Czesi zakopywali na terytorjum galicyjskiem amunicję i granaty ręczne dla przyszłej „irredenty“ czeskiej. Ciężko ranni ochotnicy czescy zabijali się bombami. Z drugiego pułku miały zostać wszystkiego dwie słabe „roty.“ Żydzi w Tarnopolu obrzucali Czechów granatami ręcznymi. Z pasją opowiadał któryś z oficerów, jak gdzieś pod Tarnopolem Czesi obstrzeliwali piechotę rosyjską.

— Czemu do nas strzelacie? — wołali Moskale.

— A ho za wami idą Niemcy! — krzyczeli Czesi.

Potwierdziły się wiadomości o ułanach ks. Józefa — istotnie sześć razy atakowali Niemców. Bili się też ko-

zacy, bataliony szturmowe, artylerja — legja Boczkarewy, kobiecy „bataljon śmierci,” który kilkakrotnie szedł do kontrataku i miał duże straty. Pod Tarnopolem dywizja polska wraz z Dońcami podobno tak uśmierzała jakąś zbuntowaną dywizję rosyjską, że z niej ledwo dwa bataliony zostały. Niwiński widział też list jednego z oficerów ułanów polskich, donoszący o „większych bojach z piechotą rosyjską w Tarnopolu.“

Równocześnie straszne rzeczy opowiadano sobie o dzikich wybuchach buntu wśród rozbestwionych żołnierzy rosyjskich. Żołnierze jakiegoś pułku zatłukli swego komendanta kijami, gdzieindziej znów zastrzelono komisarza, którego ciało stłuczono kijami i rozdeptano, to znów masy żołnierskie rzuciły się na wieś i miasteczka, wyrzynając ludność, gwałcąc nawet nieletnie dziewczęta, rabując wszystko.

Zaś jednego dnia spotkał Niwiński Kleczka, dawnego znajomego z wygnańczej kolonji pod Charkowem, teraz chorążego wojsk polskich. Kleczek przygnębiony i prawie chory z irytacji, wyznał, że z dywizji polskiej zostało zaledwie około czterech tysięcy ludzi. Reszta się rozbiegła.

A równocześnie pisma przyniosły wieść o aresztowaniu przez Niemców Piłsudskiego.

Teraz już Niwiński zupełnie nie wiedział, co o tem wszystkim myśleć. Tam nic — i tu nic! Gdzież jest owo „o wojnę za wolność ludów prosimy Cię, Panie, o broń i znaki polskie prosimy Cię, Panie, o śmierć na polu bitwy prosimy Cię?...“ Czyż wszystko tak bezgranicznie spodłalo i ten naród nie jest już zdolny do wielkiego wysiłku? Więc jakże? Z tego wszystkiego nie będzie nic?

Uciekając od ludzi zmykał „na dach“ i krył się tam w jednej z czterech oszklonych łóż, oddzielonych od sie-

bie zielenią i kwiatami. W łóżach tych siadali często oficerowie francuscy lub rumuńscy z pięknymi kobietami i Niwiński rad był, że nie słyszał języka rosyjskiego. Różowa Łotewka o lniano - złotych włosach i ze złotym puszkciem nad czerwonymi wargami stawiała przed nim szklankę czarnej kawy, zaś on, oparłszy głowę na dłoni, siedział i patrzył wdół, na wysadzaną drzewami, prostą, szeroką i długą ulicę Włodzimierską, na czarną, brudną, płaską kopułę Muzeum Pedagogicznego, podobną do zaplamionego kałamarza, na podobne do złotych jaj kopułki cerkwi św. Włodzimierza, poza którymi widać było smukłą sylwetkę nowego kościoła polskiego z gotycką wieżą. Siedział tak, nie tyle patrząc, ile gapiąc się bezmyślnie i słuchając pogwizdywania wiatru między szybami.

Czuł, że mu się grunt z pod nóg usuwa. Coraz jaśniej zaczynał rozumieć, że bez Polski nie może być ani miłości, ani rodziny, ani przyszłości. Jasne mu się stało, że jeśli straci wiarę i nadzieję, przestanie pracować, a wraz z tem przestanie żyć. W głowie mu się pomieścić nie mogło, aby kilkunastu panów, myślących wyłącznie o uratowaniu swych dóbr i stęsknionych do austriackiej Izby Panów, mogło narodowi przeszkodzić w odwaleniu kamienia z grobu, w którym go zamknięto — a widział, że tak robią. Z tyłu ludźmi mówił — i wszyscy chcieli Polski, a jednak nie umieli się zdobyć na ostateczny, jedyny wysilek. Niewątpliwie dużo robiono — organizowano w nadzwyczajny sposób szkolnictwo, lud polski, rzemieślników, stworzono szkołę polską, rozrzucano setki tysięcy podręczników, elementarzy i książeczek do nabożeństwa, ale o tym czynie najprostszym i najjaśniejszym wciąż jeszcze nie chciano mówić poważnie.

Nie wierzono weń...

Tłomaczyło się to poniekąd niewiarą w Rosję, słuszną niewiarą, uzasadnioną. Lecz czy z Rosją, toczoną już przez anarchję, należało się jeszcze liczyć jako z siłą? Wszakże ci sami ludzie, kiedy mówili o ofensywie rosyjskiej, śmiali się. Jakżeż tedy mieli się liczyć z siłą, w którą nie wierzyli?

Czy to raczej nie była niewiara we własne siły?

Toby było najstraszniejsze, bo naród, który nie wierzy w siebie, przestaje żyć.

Przychodził codziennie Szydłowski i rozmawiał o tem wszystkim z Niwińskim.

— Ludzi pan nie zbierze nigdy dokoła hasła — mówił — tylko dokoła człowieka. Bolszewicka pyroksylina dawno leżała w książkach Marksa i innych, a przecie nie stała się „Torą“ rewolucji. Dopiero Lenin, człowiek żywy, gramofon rewolucyjny, zebrał ludzi dokoła siebie. To samo z Kiereńskim. On wiedział, że rewolucji nie wystarczają rozkazy i dekrety, że ona musi mieć swego człowieka, swe wcielenie. To właśnie — wytworzenie najdoskonalszego człowieka — jest główną podstawą wszelkiego mesjanizmu i idea ta jest zdrowa, bo prowadzi ku dążeniu do jakiegoś człowieka idealnego. Darmo szukać dla wojska generałów, darmo ich odkrywać! Wojsko i wodzowie tworzą się wzajemnie i wzajemnie się uzupełniają. Tu niema wodza. Kogóż pan postawisz na czele dywizji, Ziembę?

— Pewnie, że nie.

— Tu wszelkimi siłami próbowano stworzyć odpowiednie dla formowania wojska warunki polityczne, w przekonaniu, że potem wszystko samo pójdzie. Dywizja z pewnością nie rozleciałaby się, gdyby więcej dbano o ideowe wykształcenie oficerów i żołnierzy, bo przecie

to musiały być typy zupełnie nowe, nieprzeciętne, niezawodne we wszystkich możliwych i anormalnych sytuacjach. Te komitety pułkowe i rady różne to jest niezawodnie śmierć armji rosyjskiej i wogóle każdej armji na świecie — a polski żołnierz w dzisiejszych czasach powinien być wychowany tak, aby nawet te szkodliwe bzdurstwa nie mogły mu zaszkodzić.

— Rozumie się! Trzeba było stworzyć kadry ideowe, zdolne do utrzymania na pewnym poziomie mas, które się w nie wleje w danej chwili. Ale cóż, kiedy oni liczyli na automatyczne wydzielenie żołnierza polskiego z armji rosyjskiej i przetasowanie go w pułki polskie pod komendą byłych oficerów rosyjskich. Teraz dopiero widzą, że ten żołnierz jest nie mniej zdemoralizowany od żołnierza rosyjskiego...

— Zaczekaj pan. Jeszcze nie koniec tej zabawy, mamy czas.

— Pan myśli, że Rosja nie zawrze z Niemcami pokoju?

— Zawrzeć to ona może wkońcu i zawrze, ale czy ten pokój będzie dużo wart, to znowu co innego. Rewolucja się dopiero zaczęła, zobaczymy, jak się jeszcze warunki ułożą...

— Dlaczegoż nie chcecie mi tu dać wina do tego szaszłyku! — przerwał im czyjś opryskliwy głos. — Nie wolno! Gadanie, że nie wolno! A w separacie mi dacie! Cóż to za głupie komedje!

Łotewka obrażona uciekła. Odczwał się drugi, kobiecy głos, mitygujący, ale ktoś, niewidzialny za żywopłotem łoży, wołał na cały głos:

— Podły naród, zalgany, zgnily, musi upaść, musi być parjasem wszystkich narodów, ja mam dla niego

najwyższą pogardę, wszystko zdradził, własnych sojuszników zdradził, własną ojczyznę zdradził!

Wykrzykiwał tak jakiś pan, wparty w kąt łoża, przechylony ku ścianie i oparty na ręce cienkiej w przegubie, o dłoni długiej i wąskiej. Siedząca naprzeciw niego żona starała się go uspokoić.

— Nie mityguj mnie! — krzyknął na nią porywczo. — Ja się nikogo nie boję! Owszem, niech słyszą, z pewnością nikt nie zaprotestuje. Jeszcze raz powtarzam: Podły naród!

A Niwińskiemu przypomniało się, jak w małej restauracji, w której jadał z żoną obiady, służąca-Polka pokłóciwszy się o coś z gościem, na cały głos się odezwała:

— Nie było w Rosji prawdy i nie będzie!

Rozdział VIII.

NA WODZIE PISANE.

— Wygląda to bardzo marnie — opowiadał Ryszard Niwińskiemu. — Chleba niema, tylko na kartki i to mało, w restauracjach drożyzna szalona, na mieście nie dostaniesz nic prócz konserw z papryki...

— Więc w Piotrogradzie tak źle?

— Bardzo źle.

— A zbrojną demonstrację bolszewików widziałeś?

— Widziałem.

— Cóż to było?...

— Ano, z jakiegoś krążownika wysiadła kupa hooloty... Marynarze, saldaci, cywile, wśród nich dziewczki, baby z karabinami... Poszło to wszystko na Newski, ze strachem... Sześć samochodów z karabinami maszynowymi jeździło przed nimi tam i nazad, a w pewnej chwili któryś z samochodów zaczął strzelać i „trrrr“ wystrzelił wszystkie szyby pierwszego piętra w całej ulicy... Czort znajeł, czto takojce...

— A cóż Lenin i te inne żydy, przysłane przez Niemców...

— Zupełnie wyraźna agitacja niemiecka. Całą parą idą przeciw wojnie z Niemcami. Dlatego zbrojną demonstrację zrobili zaraz po wybuchu ofensywy... Dy-

wersja wewnętrzna. Na mityngach pełno Niemców, którzy przemawiają po niemiecku i nikomu ani na myśl nie przyjdzie, że to są ajenci wojującego państwa...

— Jakże myślisz, co z tego będzie?...

— Jeśli sojusznicy nie wezmą Rosji dobrze za pysk, to niema o czym gadać. Co będzie z bolszewikami, tego nie wiem, na tem się nie rozumiem, ale że z wojną wówczas koniec, to pewne. Francuzi nie powinni na to pozwolić, bo zginą...

— Psiakrew, więc po czterech latach wojny stoimy znowu tam, skąd-eśmy wyszli! Wciąż jeszcze wisi nad światem hegemonja Niemców...

Stali przed bramą swego domu w zaułku Kreszcza-tyckim.

— Idziesz do domu? — spytał Niwiński Ryszana.

— Nie, pójdę na miasto.

— No, to do widzenia, bo ja mam wyjść z żoną.

— Na zdar!

Niwiński pobiegł na górę, zaś młody oficer wyszedł na Kreszczatyk i ruszył ku Dnieprowi.

Był tak podniecony, że przez pewien czas nie wiedział, co się koło niego działo. Widział czerwieniejący już złębka blask słoneczny i słyszał szum niby fal morskich, szum, który po jakimś czasie zmienił się w niski, dźwięczny, basowy ton, dzwoniący mu nad głową. Machinalnie spojrział w górę i ujrzał nad sobą, w głębi lazuruwo-złotej toni nieba aeroplan, zataczający łuk nad miastem. Motor huczał — naraz umilkł i aeroplan runął wdół, lecz po chwili osiadł na falach powietrza jakby na wodzie i, zakreśliwszy krągły łuk, zaczął się znowu piąć na wysokości.

— Ach, jaki człowiek jest piękny! — pomyślał z entuzjazmem Ryszana.

Przechodził koło parku, na którym widać było czarny aeroplan niby znaczek wyhaftowany na złotogłowie. Wyaluminiowane skrzydła aparatu połyskiwały srebrem. Tłumy jasno ubranych ludzi szły zwoina ku parkowi, tonąc w jego cienistej głębi.

Skręcił w stronę Padolu.

Zrobiło się ciemniej, jakby mroczniej. Ulicami ciągnęły długie szeregi „rozwalni.“ Z wozów wzbijały się chmury pyłu, wirujące w powietrzu i zapalające się czerwonym blaskiem od tryskających tu i owdzie z boku promieni słonecznych. Złote kopuły cerkiewne gorzały jak dojrzałe pomarańcze.

Ale oto wionęło chłodem i Ryszan spostrzegł srebrzysto-błękitną powierzchnię Dniepru.

— Dobra rzeka, pocziwa rzeka! — myślał o niej z wdzięcznością.

Dala mu tyle, tyle szczęścia! Przygarnęła go do siebie i z niewolnika przedzierzgnęła w żołnierza, z taką radością bijącego się o swoje szczęście. Dala mu wielkie nadzieje i wielkie, ogniste marzenia, dala mu ukojenie i kwiaty i radość życia...

Ludzie śpieszyli na parowce, przewożące na drugą stronę Dniepru. „Ogonki“ huczały pod kasami, małe parowczyki nabite ludźmi, brzęczały, jak ule, brzegi pełne były kąpiących się, śmiechy, „macierzyńskie słowa“ i dźwięki „harmoniki“ krzyżowały się w powietrzu.

Ryszan najął łódkę, wsiadł, pochylił się nad łodzią i silnie pociągnął wiosłami.

Z pod jednego wiosła bryznął mu jasny snop migotliwych, ciepłych kropli.

Zaklął przez zęby, zrównał wiosła i ruszył.

Dużo łódek tańczyło owego dnia na ciepłych falach Dniepru, niosących oderwane akordy harmonji, zawo-

dzenia piskliwe „bałabajek,” urywki pieśni — niby strzępy wianków, lub rzucone na wodę kiście kwiatów. Gorzały na połyskliwo-modrej wstędze rzeki płomieniste, szkarłatne i purpurowe „rubachy,” świeciły żywymi kolorami suknie kobiet, jak osiadające na wodzie bańki mydlane tęczowemi blaskami grały parasolki — ale Ryszan, choć wymijał zręcznie wszystkie te przeszkody, nie widział ich. Jak gdyby się po duszy jego rozlał jakiś wszystko obejmujący i ogarniający błękit — przez chwilę widział wszystko błękitnym cieniem podobne. Zwolna błękit ten zciął się w dwie wielkie, świecące gwiazdy błękitne, w gwiazdy-oczy, głaszczące przedziwnie słodką pieszczotą, tryskającą niby z dwóch bezdennych studni modrego szczęścia, złotemi ramami ujętych. A potem jak gdyby barwy z niebios ptakom podobne, na duszę jego zlatywały — w powietrzu zaczął mu się mieszać róż z pyłem jaśminowym i złotym i oto oczy błękitne już pały z twarzy panińskiej, świeżej, słońcem pięknie zciemnionej... Jak księżyc trysnęło niepokalanie białe czoło wśród gęstych, czarnych włosów... I znowu wszystko znikło, a z chaosu błękitu, złota, płynnego srebra i pieśni wykwitły cudownie szkarłatne, spragnione i odane usta kobiece.

Ryszan wstrząsnął się i podniósł głowę.

— Nie trzeba się tak poddawać! — postanowił sobie w duchu.

Ale właśnie zapomnienie uniesienia stanowiło całe piękno tego snu miłosnego. Gdyby na myśl o oczach i ustach Niny nie zapominał o całym świecie, czyż mógłby zdać się tak na łaskę i niełaskę przygody, drwiącej z wszelkiego zdrowego sensu, czyż mógłby do spółki z podstępłą kochanką oszukiwać jej rodziców, wkradać się w ich dom, wogóle — wierzyć zakłębciom, pocalunkom,

swemu szczęściu i swej miłości? Gdyby chciał swój stosunek z Niną zmierzyć jej lub swoją rzeczywistością, czyż czar jego nie prysnąłby mu w oczy gryzącą mydliną kłamsiwa? Cóż jest bardziej rzeczywistem — powszedniość dnia czy też jego marzenie o szczęściu? Wzruszając ramionami myślał nieraz o całej tej swej przygodzie miłosnej jak o komedji, której ludzie wierzą dlatego, iż jest pisana pięknym wierszem, deklamowanym przez znakomitych aktorów — a przecie czuł, że jeśli nawet jest aktorem, nie kłamie ani swego pożądanja, ani radości, ani spokoju, jakiego doznaje przy boku tej cudnej dziewczyny, którą — kto wie — wolalby może mieć siostrą niż kochanką.

Fale mknęły szybko jedna za drugą, ta ciemno-zielona, ta szafirem połyskująca, tamta skrząca głębokim fioletem przetkanym srebrem, ta znów jak gdyby ulana z granatu zmieszanego ze szmaragdem. Mknęły szybko, szepcąc coś cicho — i zdawało się, że myśl płynie po moście z pawich piór utkanym. W jednej chwili dusza żołnierza spłynęła w jakąś mgłę nieodgadnioną, w której znikło wszystko, aby wskrzesnąć w innym, dziwnie słodkim szumie. Co to szumi? Woda przelewa się srebrno-złota przez kamienie, migotliwym, dźwięcznym pancerzem je pokrywając, i gra, huczy, śpiewa, szumi... Kto to? Co to? Szumi jak pod królewskimi młynami, szumi jak na rzece świętej, siedmiu białymi mostami jak kłamrami świętej, upstrzonej szmaragdami wysp zielonych, dzwoniących złotą muzyką na sławę starym murem iskrzącym brylantowemi oknami, na sławę tym dwom wieżom białym, do dwóch mniszek cichych podobnym, na sławę królewskiemu majestatowi katedry...

— Bieregiś! — ozwał się głos i łódka jakaś, prawie otarłszy się o łódź Ryszana, pomknęła z wodą.

Oficer podniósł głowę, przez chwilę rozglądał się, jak ze snu zbudzony, aż wreszcie westchnął i uważnie już wiosłował dalej.

Stała przed nim gibka, młoda, smukła, z temi swemi oczyma lśnjącemi jak dwa modre słońca. Była w ukraińskim stroju ludowym, świecąca jak tęcza żywemi kolorami, ze sznurami koralu i bursztynów na szyji. Wiatr szeleścił pękami wpiecionych w warkocz różnobarwnych wstążek jedwabnych i omotywał niemi jej głowę tak, że błękitne jej oczy patrzyły chwilami jakby przez mgłę wielobarwną. To znów z pod wstążek witać było tylko usta czerwone, zmysłowe, łakome, rozchylone. I rzekł-abyś wówczas, że to wstyd zapamiętania tęczą przesłaniał jej twarz.

Rozmawiali w małym ogródku, otoczonym gęstym, wonnym, zielonym żywopłotem. Ogródek nie był porządnie utrzymany, ale przecie wśród ciemno-zielonych trawników rosło kilka krzaków różanych, a otoczona kilku liljami, piwonja świeciła wielkimi, czerwonymi kwiatami. Domek — lichy zbudowana „dacza“ podmiejska — skryty był wśród drzew, których gałęzie przesłaniały okna.

Panowała tu dziwna cisza, cisza jakaś mała, cisza obojętności życiowej i pustki uporządkowanej, bezgłosie kąta nie mogącego odrzucać żadnych ech, cisza życiowego ubóstwa. Ryszanowi zdawało się, iż ta cisza cięży w powietrzu, zcinając w zakrzeply kształt każde słowo i każdą myśl. Pod wpływem tego ciśnienia i on sam tłumil swój głos i swoje ruchy, nie z szacunku dla ciszy, ale jak gdyby bojąc się, że żywszem słowem rozbić coś

może. Nina była mu w tem otoczeniu niby promień słoneczny, wdzierający się do mrocznej szopy przez szparę w ścianie, była wyjątkowym i krótkim błyskiem w zmroku, błyskiem, który zgaśnie nic nie sprawiwszy, niczego nie dokonawszy.

Pociągala go swą egzotycznością. Była piękna a może i dobra jak anioł, ale Ryszan nie wiedział, w której części jej serca jest ta dobroć schowana i w jaką słodczy się zcina. Nina podobała mu się — nie wiedział, co się jej w nim podobało. Nie знаła go i nie pytała o nic. Kochał w niej swój blysk szczęścia, swoje powodzenie, a zarazem czuł, że ona kocha w nim jego obcość, jego nierealność, jego przemijającą i krótkotrwałą tymczasowość. Kiedy trzymając jego głowę w swych dloniach, całowała go w usta, miał wrażenie, że dla niej cały jest tylko jakąś głową, która popiersiem tajemniczem zawisła w powietrzu, wystąpiwszy z jej nieodgadnionych snów, a kiedy patrzyła mu w oczy śwemi rozszerzonymi źrenicami, czuł, że wzrokiem na dnie jego oczu szuka jakichś oczu innych. Wieszając mu się na szyji chwytala się nieświadomego, obejmowała nieznane...

Wieczorem wyszli z ogrodu i wsiadłszy w łódkę wyjechali na środek Dniepru. Na migotliwym gościńcu wodnym ruch wciąż był żywy i jeszcze bardziej rozśpiewany, jakby taneczny. Czerwień na niebie już zgasła, nad Kijowem wschodził wielki, żółty księżyc, z rzeki zrywały się lekkie mgły. Z głębin niebios występowały jasne gwiazdy.

Ryszan, syt pocalunków i spokojny, wiosłował powoli i równo, szelestem wody i rytmem wiosel kolysząc znużone nerwy. Szeroko otwartemi oczami patrzył w rozsrebrzoną przestrzeń, w której wieńcem jasnym wirowały akordy orkiestry, grającej w Kupieckim Ogrodzie. Gdzieś

daleko widział jakąś jak gdyby płomienisto-czerwoną kulę, tańczącą na falach — to ktoś płynął z przywieszonym do łodzi płomienisto-czerwonym lampionem.

Ale rozmowa z młodą dziewczyną — jak zwykle — nie kleiła się. Z ogromnym zapalem, patetycznie, gwałtownie, a bez wszelkiej perspektywy logicznej dowodziła swych paradoksów naiwnych, prymitywnie dzikich, a przewrotnie i sofistycznie zakładanych — i tego jej chaotycznego myślenia on bał się prawie, widząc ją w niem więcej dziką niż w wybuchach zmysłowości. Nina stała na stopie wojennej ze światem — ale Ryszan nadaremnie szukał w niej „casus belli.“ Była wciąż obrażona i urażona jakimś uciskiem, wzruszała się jakąś abstrakcyjną krzywdą, podczas gdy w gruncie rzeczy z nikim i z niczem się nie liczyła, kierując się wyłącznie własnymi porywami. Parę razy Ryszan próbował polemizować z nią — ale jej sposób dyskusowania był — według jego określenia — tatarski. Widząc, iż atakowane przez niego zdanie nie może się oprzeć jego krytyce, opuszczała je natychmiast, rzucając mu w oczy nowy jakiś sofizm — i tak obskakiwała go, krążąc wciąż dokola, jak kiedyś w stepach Tatar obskakiwał kozaka, rażąc go zdaleka strzałami.

Teraz, zapatrzona w gwiazdy i blada od ich brylantowego migotania, siedziała pochylona nieco naprzód na tyle łodzi, trzymając w rękach sznurki od steru. Szarpane wiatrem wstążki jedwabne głośno furczały i trzepotały u jej uszu, jak gdyby głowa jej była ocieniona różnobarwnymi skrzydłami. A czasami znów wstążki podobne były płomieniom, tryskającym jej ze skroni. Patrzyła wdał, przed siebie.

Po niejakim czasie zaczęła śpiewać, zrazu półgłosem, lecz gdy fale ustokrotniły dźwięki jej głosu niby

gęś! krystalowa, Ninę opanowało uniesienie, w którym o wszystkim zapomniała. Śpiewała pełną piersią wdół rzeki, jak gdyby głosem chciała dogonić fale uciekające, jak gdyby ślała im słowa pożegnalne czy wskazania siostrzane. Zapomniawszy o sterze osunęła się na kolana i trzymając się białymi dłońmi brzegów łódki, z twarzą podniesioną ku księżycowi, oczami pijąc wyiskrzony blask nieba — pieśnią modliła się nocy.

Ryszan, zasluchany w jej śpiew, wiosłował coraz wolniej, wreszcie puścił wiosła i gładząc ciepłą wodę dłońmi, milczał i słuchał, zapatrzony w iskry błękitno-srebrne na falach. Woda płynęła i płynęła, powoli, nieznacznie, lecz niewstrzymana niczem w swoim odwiecznym krążeniu. Jej żywiołowy, migotliwy ruch oczarował i oszłomił Ryszana, zmył z jego duszy wszelką doczesność, wciągnął go w swój rytm cichy i niezwykły.

Nina przestała śpiewać. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się Ryszanowi, siedzącemu nieruchomo w łodzi, z rękami opuszczonemi w rzekę. Zrazu, kiedy tak zastygł w tej napół sennej pozycji, była pewna, iż to śpiew jej zrobił na nim tak silne wrażenie. Ale śpiew umilkł, a czar ten jakiś trwał wciąż.

— Mirosław Francewicz! — zbudziła go sucho.
Ocknął się.

Rozprysnęła się srebrna piana mgieł śpiewających marzeniem.

— O czym myślałeś, miły?

Zmieszał się i machnął niewyraźnie ręką.

— To trudno powiedzieć...

Siedziała pochylona na ławeczce, z głową wyciągniętą ku niemu tak, iż zdawało się, że rzucić chce się na

niego. Coś w jej oczach i twarzy całej grało złego i okrutnego.

Uśmiechnął się.

Zmieszala się, chwyciła się dłońmi za ramiona, jak gdyby, nagłym chłodem zdjęta, chciała otulić się chustką i spytała obcesowo:

— Czy ty mnie kochasz?

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem, powoli rozglądał się dokoła, znowu objął oczami twarz jej, postać, uśmiechnął się i zaczął mówić:

— Jakżeż-bym ja mógł cię nie kochać? Widzę cię tak na tle tej rzeki srebrnej i jesteś mi, jak gdyby whaftowana brylantami w srebrno-szafirową wstęgę — wszyta w księżycowe promienie — cudna, jak noc ukraińska. Słucham twych pieśni — i marzę przy nich o epopei słępów, o pożarach i walkach o wolność, o pułkach husarii polskiej i czambulach tatarskich pod zieloną chorągwią Mahometa. Pod tchnieniem tej nocy ukraińskiej rozkwita mi więcej baśni, niż ich opowiedziała Szeherazada przez tysiąc i jedną noc przy akompanjamencie słowika, rozkochanego w róży. I czerwone są te baśnie ukraińskie i jęczące i nożem dźgające powietrze jak kurhanne widma. Taką ty jesteś dla mnie — tajemniczą i straszną, jak po bitwie rozbrzmiewający jękami las, pełen trupów i rannych i oszalałych, ciemny i pachnący krwią...

Zapatrzył się w księżyc i mówił jakby do siebie:

— Kiedy tam, w mieście, przypominę sobie ciebie, jest mi zawsze, jak gdybym westchnął w duchu, jak gdybym myśl swą skąpał w rosie chłodnej, o północy zebranej z róż drzemiących. Oczy twoje wrosły mi w duszę jak dwa błękitne korale i żarzą się w niej blaskiem tak jasnym, że, kiedy zasnę, budzą mnie niby gwiazdy, łechcące swymi promieniami sklezione snem powieki. Jesteś

mi zawsze cała w woniach, kwiatach i blasku księżyca, a cała w pieśni zarazem — jak krzak jaśminu, w którym zagnieździł się słowik. Ja, żołnierz, nie byłbym bez ciebie pełnym człowiekiem, bo nie wiedziałbym, co znaczy miłość, a jakżeż można być bez miłości? Ty jesteś poezją mej walki, ty moja cudna ukraińska nocy...

I kocham cię za to jeszcze, że w twe dłonie białe i ciepłe wysypać mogłem, jak jagody czerwone, jak paciorki świecące, wszystkie swe sny i tęsknoty. Stroiłś się w nie na chwilę, jak rusalka przymierzająca nowe świecidelka... Ach, nie, to już nie świecidelka! W sznury bursztynów bałtyckich i czarnomorskich paciorków tureckich wplotłaś już nitkę krwawych granatów czeskich, nanizane na nić wspomnienia czerwone krople gorącej krwi żołnierza czeskiego, której z rąk swych nigdy już nie zmyjesz. Pocałunki twoje przekazemy z pokolenia w pokolenie, a kiedy naród nasz rozpocznie śpiewać bohaterką pieśń swych zwycięskich walk o wolność, odrodzi się w niej ten księżyc i blask gwiazd ukraińskich i szmer fal Dnieprowych i uroczysta muzyka dzwonów cerkiewnych, śpiewających na kopułach jasnych i migotliwych, jak gdyby je z fal dźwiękowych zbudowano. Jakżebym ja mógł nie kochać ciebie, o ty, siostró mej walki, marząca wiecznie o wolności?

Lecz pomyśl ty, która na duszę swoją jak na motek nawijasz cały świat niby złotą nić śpiewną, iż tam daleko, za ogniami i dymami wojny, ma się urodzić wolna ojczyzna moja! Ona umarła dawno i pędziła straszne życie upiorów, błakających się pokutniczo wśród grobów. Widziałem ją zasnutą całunem, ze znamionami śmierci na czole, z pajakiem gnieźdzącym się w zapadłych oczodołach — i taką pokrzywdzoną i zamordowaną ukochałem nad wszystko w świecie. Jej oddałem siebie, swą

mlodość. Ja cały jestem w niej i wszystko, czem była bogata dusza moja — jest w niej. A dziś już rumieniec występuje na jej lica, oczy otwierają się i świecą życiem, ręce pulsują krwią, pierś dyszy tchnieniem... Jeszcze ona leży powalona na swem łożu, lecz wstanie... Wschód słońca bliski, rakiety jego czerwone lada chwila strzelą na horyzoncie... Jakżeż ja mogę? Żali ja wiem, co Zmartwychwstała każe mi kochać? A jej wola musi być święta...

Opuścił głowę na piersi, zamknął oczy i przesłonił je dłonią.

Ręka jego, zanurzona w wodzie, była mokra i posrebrzyła jego twarz, jak łzami.

— Słopa wygnańca, aczkolwiek uginającego się pod brzemieniem bólu, jest lekka i nie pozostawia śladów nawet na mokrym piasku! — wykrzyknął. — Marzenie i tęsknota jedynym łodem jego, on zaś sam, żyjąc wśród obcych, jeno widnem bezcielesnem... Jeśli ulica, którą idzie, naraz zamieni się w wąwóz skalny, jeśli góry, wśród których błądzi, nagle zamienią się w śpiewające pałace, śmiejące się oświetlonemi oknami — nie zdziwi się wygnaniec, nie ucieszy, nie złęknie, albowiem wszystko to są tylko cienie cieniów i ich sny pierzchliwe.

Zawtórował mu jęk jakiś głuchy, ale żołnierz zapętrzony w głąb swej duszy, nie zauważył go i śnił dalej na jawie:

— Widziałem ponure, smętne stepy Azji — lecz zaiste, dziś już nie wiem, czy żółte ich piaski i krwawosine skały widziałem na jawie, czy też we śnie tylko. Karawany wielbłądów, falujące obładowanemi garbami, szły czarne w purpurowy krąg zachodzącego słońca — ale nic mi one nie niosły i nic mi nie wzięły. Czy mnie bojało co? Nie pomnę bólu... Zapewne, że musiało coś

boleć, inaczej-bym nie żył — ale ja — nie pamiętam. Wiedziałem na podwórzku „khanu,” wśród psów bijących się o kości, nieruchomo siedzących mullów w zielonych turbanach nad partją szachów, ciągnącą się od wschodu do zachodu słońca — ale nie przysięgłbym, czy to nie przyśnili mi się dwaj moi znajomi w tych fantastycznych ubiorach... Przez lata całe — cień smutny — chodziłem i błądziłem wśród cieniów, żyjąc jedynie tęskniącą wolą, która mnie wiedzie do rajy mej duszy, do ziemi mojej... Tam jest życie moje i tam jest ognisko miłości mojej... Obsypana kwieciami jabłonka mej ojczyzny jest dla mnie piękniejsza od wszystkich cudów świata. Kochać — chcę, pragnę, muszę kochać, ale oblubienicę może mi dać tylko moja ojczyzna.

Gwałtownym ruchem zakrył twarz dłońmi.

— Marzyć nawet nie śmiem o tem, jak piękną i jak słodką ona będzie...

Więc jakże... jakże ja mógłbym dziś kochać!

Jakże mi wydać duszę swą ceniom, które nie znają ni drogi do niej ni hasła? I czyż świat ten nie jest ogrojem cieniów, jak długo moja prawda leży przywalona kamieniem grobowym? Widziadło senne, majaczące wśród fal przemijania, jakimże prawem wyciągasz ku mnie ręce z poświaty księżycowej uwite? Pieśni rozteśkniona, zali jesteś czemś więcej od westchnienia?

— Zaczem obizajesz? — przerwał mu bólem i urazą nabrzmiały głos Niny.

Wzdrygnął się i spojrzał jej w twarz.

Wielkie jej jasne oczy lśniły łzami.

— Ninoczka!

Wzruszyła ramionami.

— Ostaw! Razwie ja nie panimaju! — łamała się

z płaczem. — A tolko... Niet, małczy, niczewo už nie nada, małczy-że!

I odwróciwszy się od niego, z pod zmarszczonych brwi patrzyła w księżyc, wędrujący wysoko nad miastem.

Ryszan chciał jeszcze coś mówić, lecz brakło mu sił i odwagi. Zakłopotany i milczący opuścił ręce w wodę, ruszając niemi, jakby je płukał.

Rzeka zносиła ich łódź, a za łodzią ciągnęły się wymykające się z pod rąk Ryszana srebrne zygzaki i kręgi, niby obcem pismem słowa pisane na wodzie...

Rozdział IX.

Z ZASADNICZEGO PUNKTU WIDZENIA.

Miastem wstrząsały wciąż strajki.

Zdawało się, jakby ukryty gdzieś głęboko, mściwy, kretnio-złośliwy mózg przemyślał tylko nad tem, aby ludziom uniemożliwić życie na świecie.

Strajkowali kelnerzy, tramwajarze, zecerzy, robotnicy różnych zakładów miejskich — czasem wszyscy razem, czasami poszczególne grupy — ale wiecznie gdzieś była jakaś luka, jakiś niedostatek. Jedno ustalo — drugie się zaczynało — jak gdyby organizm żarły wszy lub liszaje.

Z początku zdawało się, że ma się do czynienia z szantażem, korzystającym ze sposobności. Wreszcie — czasy były szczerze demokratyczne — więc mówiono o krzywdzie społecznej, o jej wyrównaniu i wynagrodzeniu i życzliwie patrzono na energiczne dążenia proletariatu do wyrobienia sobie jakiegoś stanowiska i do zdobycia pewnych wpływów.

Wkrótce jednak strajki, osiągnąwszy wszystkie bliższe cele, przeszły w zakres ideowy, zasadniczy.

Przyszły strajki polityczne, demonstracyjne, protestujące, prowokacyjne — jakie kto chciał. Ludzie pracowali — naraz zjawiał się ktoś, poszeptał coś —

i wszystko się rozchodziło.

— Czemu?

— Na znak protestu z powodu zawieszenia „Izwie-
stji“ robotników w fabryce Kalinkina...

— Ależ fabryka Kalinkina jest w Moskwie!

— Nam wsio rawno!

I szli.

Lub też:

— Proszę płacić, bo za pół godziny zamykamy.

— Dlaczego?

— Strajk.

— O co?

— Albo ja wiem.

— No to czemuż strajkujecie do cholery jasnej!

— Więc cóż zrobić? Przyjdą tu, szyby powybijają,
bić się z nimi będziemy?

Korzystano z każdego pozoru i strajkowano wciąż.
W kawiarniach goście obsługiwali się sami, w restaura-
cjach też.

— Ostatecznie bez obsługi moglibyśmy się dosko-
nale obejść! — stwierdzał gość, niosąc sobie ostrożnie
czarną kawę.

— Proponowałbym wogóle otworzenie kawiarni dla
inteligencji, gdzieby się ludzie sami obsługiwali.

— Rozumie się... Korzystanie z obsługi to rzecz
niemoralna...

— Wcale nie dlatego, ale dlatego, żeby się człowiek,
który chce przyjść wypocząć, nie irytował. Zamówisz
pan czarną kawę, on panu przyniesie białą, zamówisz
pan gorącą da panu zimną... a to czekanie, a płacenie...
i za to wszystko jeszcze procent!

— Ale jaki cel mają te strajki?

— Wypróbowanie, jak daleko sięga bezsilność i niedołęstwo inteligencji.

— Sterroryzowanie społeczeństwa.

— Zdemontowanie organizacji życia.

— A panowie wiecie, że żołnierze weneryczni, znajdujący się w jednym z punktów relacyjnych, przedłożyli „sowieciowi soldackich i oficerskich deputatów“ żądanie, aby do dwudziestu czterech godzin usunięto lekarzy i pozwolono chorym leczyć się według sposobu żołnierza Baranowa?

— Bardzo słusznie. Niech się leczą. Będą ładnie wyglądali.

Wybuchł też strajk stróżów i zamiataczy ulicznych.

Stały wszystkie windy, domy i ulice zmieniły się w cuchnące śmietniska. Że jednak było ciepło i pięknie, więc kobiety stroiły się w lekkie, białe, nieraz przejryste sukienki i wytworne, jasne, naperfumowane, paradowały wśród niechlujstwa, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak komicznie w tym otoczeniu wyglądają.

— Co za bydlę! — irytował się w kawiarni Niwiński. — Nie mogą się to zebrać sami lokatorzy, pozamiatać sobie podwórza, schodów i ulicy i złożyć śmieci na jakąś kupę, bodaj prowizorycznie deskami szalowaną!

— Pan myślisz, że stróże pozwolą? — kręcił głową znajomy nieznajomy.

— Stu lokatorów miałoby się bać jednego lub dwóch stróżów! Tożby im można urządzić taką noc św. Bartłomieja....

Ale tymczasem noc św. Bartłomieja zdawała się zagrażać nie stróżom, lecz lokatorom. Najsilniejszym punktem strajku stróżów było — zostawianie na noc otworem bram, których za nic w świecie zamykać nie pozwalali. Że zaś równocześnie z powodu strajku robotników miej-

skich zupełnie nie było oświetlenia, a po mieście wałęsało się mnóstwo zdemobilizowanych lecz nie rozbrojo-
żabów, więc ludzie żyli w nieustannej trwodze.

— Na rzeź nas wydają! — mówili lokatorzy o stró-
zach, spoglądających na nich z zimną, pełną nienawiści
pogardą.

W niektórych domach organizowano komitety domo-
we, które w nocy obejmowały kontrolę nad całym domem,
sprawowały straż w bramach, rewidowały pasporty,
wreszcie zaczęły odgrywać rolę rządu jakiegoś, mikro-
skopijnego rządu autonomicznej republiki. Ale gdzie-
indziej chwymano się prostszych sposobów. Oto najmo-
wano parę „indywiduów w mundurach“ i powierzano im
czuwanie nad domem. Czy to było celowe, to inna rzecz
— bo „indywidua w mundurach“ brały pieniądze, kładły
się gdziebądź w podwórzu i chrapały przez całą noc jak
zabite i bardzo wątpliwem było, czy chciałoby im się
wstać w razie jakiejś awantury — jednakże lokatorzy na
tem poprzestawali.

Niwiński nie bardzo się tem wszystkiem niepokoił.
Zauważył, że kradziono bardzo dużo, ale napady zda-
wały się rzadko. Jego kamienica — duża, pełna lokato-
rów — stała w śródmieściu. Prócz tego tuż obok niego
mieszkał oficer rosyjski, potężny, olbrzymi niedźwiedź,
na parterze miał swą kwaterę Ryszan z dięszczykiem
Voborą, do którego teraz sprowadził się jeszcze jeden
ochotnik czeski — a ci ludzie z pewnością nie byli bez-
bronni.

Nie troszcząc się tedy o nic, nawet o kilku chrapią-
cych zwykle na płaskim dachu jakiejś szopy, wynajętych
obrońców w szarych szynelach, sypiał po staremu na bal-
konie, wychodzącym na podwórze. Przywykł do tej cu-
dowej sypialni. Mieszkał na pierwszym piętrze, a tuż

pod balkonem szumiała zcicha gęsta korona kasztana, okołonego kolistą ławeczką. Niedaleko, prawie na długość ręki, była ściana, wysoko zarosła dzikiem winem — kobierzec tchnący chłodną, rosną świeżością, miły w czas upałów, wzruszający swem tragicznem zaniepokojeniem i łkającym szumem w wietrzne, chinurne noce. A w górze niebo, czasem przeczyście głęboko-szafirowe z jasnemi, jakby fosforyzującemi smugami, czasem chinurne i pełne groźnych trosk, jak zasępione czoło, czasem znów wyiskrzzone gwiazdami — a to był boski widok i nic nie dorównywało rozkoszy usypiania z oczami kąpiocemi się w migocącym srebrnym pyle. A kiedy tak Niwiński całą swą zmęczoną i stroskaną biedną duszą ludzką ssal z brylantowych kwiatów szafirowego przestworza ukojenie wielkiej kosmicznej harmonji i spokój nieśmiertelnej równowagi, do uszu jego dolatywały okrzyki i głośnie, z dźwiękami „Marsyljanki“ zmięszane „uraaa“ szumiących tłumów, czasem ryki jakiegoś pościgu, często i coraz częściej strzały karabinowe, coraz liczniejsze, coraz upartsze, a nieraz głuszone dopiero groźnem warczeniem karabinu maszynowego — albowiem nocami rozgrywały się jakieś boje, jakieś walki zażarte między poszczególnymi pułkami, oddziałami, nieznanemi nikomu formacjami, jakieś ataki, pościgi i odwroty, tajemne ruchy niewidocznych sił wrogich, działających w ukryciu.

Często gwiazdy, wielkie, lśniące i drżące jak lzy, zawisłe u rzęsy, zrywały się i padały w otchłań, świecącą smugę zostawiając na niebie. Przypominały się młodemu człowiekowi legendy o nieszczęściach, jakie gwiazdy spadające wróżą, o tem, że są to dusze ludzi w tej właśnie chwili konających. A zaiste, w owe noce śmierć wiele dusz rogatych, bujnych i zawziętych wywlekała z ciał, chłodnących na przedmieściach. Ale Niwiński wiedział,

ze gwiazd to nie przeraża! Patrzyły one spokojnie na piramidy sypane z głów uciętych, co im do kilku opętańców, zabitych za rogatekami! Roześmiane, strojne w blask swego majestалу, stadem srebrnem leciały dalej ku swym nieznanym celom, tesame iskry błękitne niecąc w kałużach i zdrojach czystych, w nieprzytomnych szaleństwach żrenicach kochanków i w szeroko otwartych, szklanych oczach trupa, co z rozkrzyżowanymi rękami rozciągnął się na swym szarym, lepkiem od krwi szynelu w koniczu przydrożnym... Co gwiazdom do nieśczęścia, co gwiazdom do śmierci...

Wczesnym rankiem budziły go rozhowory ptasie lub brutalne, niemiłe krzyki kawek. Budził się, kłął przez sen, otwierał oczy — i zastygł w podziw i uwielbieniu. Bo oto podwórze pyszniło się tysiącem kras — jak przemienione. Pełne światel różowych i błękitnawych cieniów, wykładane złotem słonecznem i blaskiem piasku żółtego, haftowanego świeżą zielenią traw, podobne było misie z masy perłowej, iskrzącej i świecącej tęczowymi błyskami. To znów Niwiński budził się, sądząc, że bąk jakiś krąży mu nad głową — a otwarłszy powieki leżał nieruchomo, z oczami wlepionymi w błękit jaśniejący bosko-promienną światłością, grający purpurowymi i czerwono-złotymi płomieniami, rumieniący się precudownie i śpiewający sławną, dźwięczną mocną pieśnią kilku aeroplanów. Były to przeważnie aparaty lotników francuskich, którzy wczesnym rankiem wylatywali z aerodromu w Darnicy. Niwiński z zachwytem wpatrywał się w żelazne baki, z miłością śledząc ich lot ku złoto-szkarłatnym zorzom i marząc o tryumfie nowej poezji. Bez ruchu, uśmiechnięty i pełen podziwu, przyglądał się śmiałym ewolucjom lotników, to wspinających się na wysokości, to płynnie ślizgających się na przeźroczystych

falach słonecznych, to znów lecących wdół — i słuchał, jak wszystkie podwórza, okna, wklęsłości i załamania murów miejskich modulowały basowy, tęgi śpizowy ton hymnu napowietrznego, nabrzmiewający coraz to dojrzałą siłą, przenikający wszystko swą wibracją. Aparaty kąpały się w słońcu, a miasto, wpatrzone w nie lśnięciami oczami okien, pełnemi blasku nieba, śpiewało im wielogłosowy, potężny kanon pochwalny.

Były i inne noce, czarne, ciemne, zasępione. Zrywał się naraz wiatr chłodny i zaczynał szarpać dzikim winem, pnącym się po murach. Podwórze napelniało się zaniepokojonym szelestem. Ktoś biegł z kąta w kąt, ktoś krył się, trząsł drzewami, wzdychał, zaszlochał czasem. Więc Niwiński podnosił głowę i wpatrywał się w ciemności. Z pokoju słyszał oddech śpiącej żony. Myślał o jej oczach uczciwych, o jej ustach kochanych, o jej dobroci i o tajemnicy, jaką ze sobą nosi — już matka. Myślał o tem, co będzie, liczył miesiące — obmyślał drogi tej strasznej, czerwonej grozy, która mogła zmiażdżyć wszystko. Te czarne noce były ciche — a jednak strach szedł z nich, bo one knuły i śniły mord i krew...

Było to raz, późną już godziną, w nocy nie księżycowej, ale jasnej. Niwiński nie spał. Leżał, patrząc w niebo i słuchając, jak obozujący na płaskim dachu jakiejś szopy saldacii, wynajęci do pilnowania domu, barszkowali zcicha z dwiema dziewczynami, które do nich wlażyły po drabince. Zdołu, przez otwarte okna, dolaływał grzmot chrapania Ryszana i jego dwóch „dzieńszczyków.“

Wtem w podwórzu pojawiła się jakaś ciemna figura, olbrzymi, szeroki cień. Cień ten podniósł głowę do góry i przez chwilę przypatrywał się czemuś, a potem,

mrucnąwszy „wot i charaszo,“ rozglądnął się po podwórzu, ujrzawszy drabinę, wziął ją, przystawił do balkonu sąsiadującego z balkonem Niwińskiego i zaczął próbować, czy się nie osunie.

Żołnierze, usłyszawszy śnać te szmery, kroki i odgłosy, popodnosili głowy i wraz z dziewczętami przyglądali się, co będzie dalej. Przez chwilę było zupełnie cicho w podwórzu, tylko chrapanie Czechów grało, jak bas. Cień stał, mruczał, mruczał, wreszcie zaczął ostrożnie i powoli spinać się na drabinę. Kiedy był w środku drabiny, na wysokości połowy pierwszego piętra, żołnierze zeskoczyli z szopy i rzucili się ku drabinie.

— Slezaj takoj-to sia-koj-to! — posypały się wyzwiska żołnierza, który równocześnie zaczął trząść drabiną.

— Towariszczi, ja wied' w swoju komnatku idu! — wołał błagalnie cień.

Niwiński poznał w nim swego sąsiada, grubego olbrzyma, oficera.

— Ja ci dam komnatku, ty złodzieju jeden! złaź!

— Po mordzie go!

— Na ziemię zrzucić!

— Towariszczi! Ja nie złodziej, ja oficer, porucznik...

— Czasy takie, że i porucznikowi mordę rozbić można!

— Mało to waszych braci, oficerów, kradnie! Złaź zaraz!

— Towariszczi, zmiłujcie się, zbudźcie stróża, on wam powie! — błagał oficer.

— Dość tego. Odsuń drabinę.

Żołnierz szarpnął drabinę i olbrzym z głośnym krzykiem runął na ziemię. Któraś z dziewcząt, przyglą-

dających się z dachu tej scenie, pisnęła głośno. Ale olbrzymowi śnać nic się nie stało, bo dźwignął się natychmiast. Żołnierze rzucili się na niego i zaczęli go bić i szarpać.

— Po mordzie go! W uczastok!

Olbrzym ryczał, żołnierze klęli, dziewczęta coś piskliwymi głosami doradzały z dachu. Nie wiadomo, czemu się to wszystko skończyło, gdyby naraz nie wyskoczył przez okno napół ubrany Ryszan z rewolwerem w ręce, zaś za nim jego dwaj żołnierze z gołymi tasakami austriackimi. Czesi z furją wpadli na bijących się, rozerwali ich, roztrącili, rozdali kilka potężnych policzków i uspokoiwszy w ten sposób „publiczność“ na miejscu rozpoczęli śledztwo.

Pokazało się, że porucznik Gornostajew zapomniał klucz w drzwiach swego pokoju. Nie mogąc drzwi w żaden sposób otworzyć, postanowił spróbować, czy mu się nie uda wejść przez okno, lub przez balkon. Drzwi od balkonu były otwarte, niedaleko stała oparta o szopę drabina — więc porucznik użył jej, aby się dostać do domu.

— A oto moja legitymacja! — mówił, podając swe papiery.

— Nie potrzeba, ja was znam z widzenia — słychać było głos Ryszana. — A wy czemu bijecie, nie wiedząc, z kim macie do czynienia i czego człowiek chce?

— Drabinę mi z pod nóg wyrwali!

— Zabić mogliście człowieka niewinnego, swolócz! Widzicie, że oficer i bijecie! Naumyślnie, dlatego, że oficer!

Sypiąc mocnymi słowami Ryszan zwymyślał wartowników i kazawszy im trzymać drabinę, wskazał ją porucznikowi.

— Idźcież!

— Balszoje spasibo wam, golubczik! Gdyby nie wy możeby mnie zabili. Ja wejdę, a wy poczekajcie na mnie chwileczkę. Zejdę do was.

— Ładno!

Olbrzym wdrapał się na balkon i zniknął, wartownicy, mrucząc coś między sobą, wyleźli znowu na dach szopy, do swych dziewcząt, Czesi czekali. Po chwili w podwórzu pojawił się porucznik Gornostajew — z butelką koniaku.

— Wdzięczność wam chcę okazać, a i samemu dobrze robi napić się po tej emocji. O mały włos nie zabili, sukinsyny... Ja ciężki bardzo jestem... Wy, zdaje się, oficer... Łotysz?

Ryszan przedstawił się.

Vobora przyniósł kieliszki, oficerowie usiedli na ławeczce pod kasztanem i zaczęli popijać, rozmawiając.

— Więc wy Czech? Bardzo przyjemnie. Z czesko-słowackiej drużyny....

— Z dywizji — poprawił Ryszan.

— A, u was już cała dywizja jest? — zdziwił się Rosjanin. — Bardzo przyjemnie. Podziwu godne. Gdzieś na froncie Czesi dobrze się bili. Bardzo dobrze się bili. Jeszcze po jednym wypijmy — noc ciepła, z dobrym towarzyszem przyjemnie wypić... Spać nie chce się... Uch, jak boli... Rękę wykręcili, czorty... Oto zapalki, u mnie są, proszę... Więc cała dywizja... Dziwna rzecz, skąd was się tyle w Rosji wzięło. Ja Wołyń znam, ale nie myślałem, żeby tam tak dużo Czechów było...

— Ja przecież nie jestem wołyński Czech!

— A wy skąd?

— No, jakże wam to powiedzieć... Ja jestem Czech z Czechji...



— Z Czechji? -- zdziwił się znowu Rosjanin. --
A jakimże sposobem wyście się do nas dostali?

— Poprostu — w plen — a potem z obozu jeńców wojennych jako chotnik...

— To wy jesteście jeńiec wojenny?

— Byłem jeńcem, teraz jestem oficerem... Przecież dywizja składa się głównie z ochotników byłych jeńców...

— Wot, intieriesno! — wykrzyknął Rosjanin. —
I ich na front posłali! A oni nie przejdą do Awstrijców?

— I dlaczego mieliby przechodzić? Przecie my chcemy się z nimi bić! My chcemy rozbić Austrię...

— A czy to nie jest zdrada? Przecie Czesi — to Awstrijcy, mówiący po czesku, czyż nie?

— Słuchajcie, poruczniku, my przecie jesteśmy Słowianie!

— A jakiego wyznania?

— Katolicy!

— Więc jakżeż Słowianie? Wsio rawno, jerunda, plewať, wyście mi życie uratowali, a to zabiliby może, chalera! Wypijmy jeszcze po jednym... Da... Dobry koniak! Grzeje... A wiecie co? Wy z zasadniczego punktu widzenia nie mieliście prawa bić tych żołnierzy i grozić im rewolwerem... Po pierwsze wy jesteście jeńcem wojennym.

— Oficerem jestem!

— A mimo to i jeńcem wolennym! Bo gdybyście nie byli jeńcem, nie bylibyście oficerem czesko-słowackim. A powtóre ci ludzie mieli słuszość. Widzą — złodziej idzie po drabinie — chce przez okno wleźć — więc łapaj złodzieja! Z zasadniczego punktu widzenia.

— Przecie wy nie jesteście złodziejem.

— A mimo to z zasadniczego punktu widzenia rzecz biorąc, oni postąpili uczciwie. Mogli spać, nie wi-

dzieć, a oni nie pilnują. A gdybym ja był złodziejem, gdybym tak nożem dźgnął, albo z rewolweru... Ryzykowali! A wy im za to po mordzie i od sukinych synów skłęliście...

— Oficera bili!

-- A skąd oni mogli wiedzieć, że to prawdziwy oficer? Po drabinie lezie, przez okno — więc z zasadniczego punktu widzenia bić takiego trzeba... Tymczasem wy — pozwólcie, że wam to powiem — postąpiliście ordynarnie, po niemiecku... Zaraz bij...

— Taż oni was po mordzie łupali, Gornostajew, zrozumieście...

— Z zasadniczego punktu widzenia mieli słuszość...

— To z zasadniczego punktu widzenia będą mieli słuszość, jeśli was wszystkich wytną! — zirytował się Ryszan.

— Dlaczego?

— Bo z zasadniczego punktu widzenia dlaczego nie wyciąć, jeśli można wyciąć? A was wyciąć można!

— Powiedzmy, że można. Choć nie wszystkich — ale można.

— To i powinni to zrobić, wiecie? z zasadniczego punktu widzenia...

-- Czort znajet! A my wypijmy jeszcze po kieliszeczku...

Rozdział X.

W ROZSYPCIE.

Był względny spokój.

Z frontu przychodziły wieści stale złe, do czego, jak wiadomo, wkońcu człowiek się przyzwyczaja. W kraju nic nadzwyczajnego się nie działo.

Jednakże — nie trzeba było proroka na to, aby odgadnąć, że jestto cisza przed burzą.

— Dobrze się to skończyć nie może — myślał Niwiński. — Wszystko idzie ku gorszemu. Co z tego wyniknie? Czy ludzie przygotowują się do jakiego czynu, do obrony?

Zdania sprzeczne krzyżowały się; trudno było wyłowić z tych sprzeczności błysk jasnej, stanowczej woli.

Raz poszedł Niwiński na jakieś zebranie. Zgromadzenie odbywało się popołudniu w mrocznej sali małego teatrzyku. Tłum zrobił ją w przeciągu kilku minut duszną, tchnącą atmosferą poczekalni kolejowej, lub komisarjatu policyjnego.

Posiedzenie „zagaił“ starszy pan, chudy, wysoki, z siwą, ostrą bródką i z miną Don Kichota, który, poznawszy się na swej wartości, z naiwnego stał się rafinowanym. Mówił przez kwadrans tak pięknie o sobie, że wybrano go jednomyślnie do prezydjum.

A potem wystąpił z referatem główny „champion,” mąż w eleganckim, czarnym garniturze, znakomicie uwydatniającym jego szeroką pierś i muskularną figurę. W twarzy dużej, o śniadej, o mocnych, szerokich szczękach i czarnym zaroście, miał coś z wielkiej jakiejś małpy, a coś z boksera.

— Ten się w kaszy zjeść nie da! — myślał sobie Niwiński, patrząc na jego szerokie ramiona, mocną czaszkę i arogancką, zuchwałą, lecz spokojną twarz.

„Champion” mówił. Mówił polszczyzną niedobłą, trywialną, kuchenno-lokajską, a pomięszaną z frazesami francuskimi, żywcem tłumaczonemi na język polski. Krótko — mówił, jak hrabia. Mimo to w tem jego na pozór nieścisłem gadaniu był jakiś sens, w nadętości była pewność siebie, silna, niezłomna, posługująca się zamiast mądrości podstępna, przebiegła chytryością.

— Nadęty megaloman — oceniał go Niwiński — ale mocny, przebiegły, sprytny. Cóż — czy istotnie tylko święci garnki lepią? Taki się też może przydać!

Nagle — coś niedobrze, niewyraźnie błysnęło w długich, zawitych wywodach mówcy. Audytorjum przycichło i w milczącym skupieniu słuchało uważnie. A po chwili Niwiński klasnął z cicha językiem i z niezadowoleniem pokręcił głową.

Mówca — prezes organizacji, prężąc całą siłą do akcji wojskowej, tłumaczył się, dlaczego wysłany przezeń na Zjazd Piotrogrodzki Polaków wyjskowych telegram przeciw tej akcji się zastrzegał.

I tu zaczął forsownie kłamać, z całą perfidją, z całą bezczelnością człowieka pewnego, że jest mądrzejszy od drugih.

Obelgiwane cynicznie audytorjum siedziało w pośpym milczeniu. Niwiński skrzywił się pogardliwie.

A potem zaczęła się zabawa — interpelacje. Cała falanga młodych, lecz wprawnych już mowców wiecowych ruszyła do skombinowanego ataku. Sieć kłamstw prezesa prysła, ale na tem nikt nie chciał poprzestać. Zgrabnie podając sobie łgacza z rąk do rąk, interpelanci zasypywali go, grzebali, kopali, ośmieszali, wyciągali na sprzeczności, które w mgnieniu oka przerabiali na niedorzeczności.

Ten atak przez chwilę Niwińskiego bawił, wkrótce jednak zirytował go.

— W piłkę nożną grają czy w „cricketa?“ — myślał z oburzeniem. — To jest sport, a nie prowadzenie poważnej akcji. Im nie zależy na tem, aby naprawić to, co tamten zepsuł, lecz żeby go „ubrać...“

Uciekł.

Było mu bardzo smutno.

Zbolały tułał się samotnie po ulicach, nie zważając, którądy, ani dokąd idzie. Chodził jakimiś ulicami, między rzędami wysokich, ciemnych domów, mijając wrzaskliwe gromady dzieci, bawiących się na bruku. Wreszcie, nie wiedząc jak, znowu znalazł się w kawiarni.

Przysiadł się do niego któryś ze znajomych nieznanomych.

— Znowu w kawiarence? — mówił. — Wy, Galicjanie, pół życia spędzacie w kawiarni...

Niwiński uśmiechnął się lekceważąco, ale potem postanowił „uderzyć bez kija.“

— Myli się pan — odrzekł łagodnie.

— Spotykamy się tu ze trzy razy dziennie...

Niwiński puścił płazem znakomitą sposobność do „riposty,“ a zaczął mówić jakby z ukrytym żalem:

— Niechże pan zrozumie, drogi panie, że ja tu jestem na wygnaniu. Pracuję — ale potrzebuję też odpo-

czynku, ludzi. A to miasto dla mnie zupełnie obce, zaś ludzie? Gdzież ja zobaczę ludzi? Ot, rozmawiam tu na przykład z panem. Znajomość przelotna — mówiąc szczerze — ale przecie znajomość. Przynajmniej parę słów zamienimy. Bo — widzi pan — trzeci rok jestem już w Rosji i w Kijowie nieraz bywałem i znajomości kawiarnianych nie brak mi, a czy pan przypuści — nie wiem, jak tutaj dom polski wygląda...

— Jakto — dom polski...

— Wnętrze domu polskiego... Nikt mnie nigdy bodaj na szklankę herbaty nie zaprosił, nikt mi się nie spytał, jak żyję, czy mam tu kogo czy nie... Jestem zupełnie, jak na obczyźnie, a przecie tu tyle Polaków!

— To zbieg okoliczności...

— Nie, nie żaden zbieg okoliczności. Mam wielu znajomych wśród uchodźców i tym również nie lepiej odemnie się poszczęściło...

— Ale przecie ja sam znam domy, w których Galicjanie bywają...

— Galicjanie! Zakładnicy — tak, ludzie pewnego sposobu myślenia...

Znajomy nieznajomy zmieszał się.

— No tak, ja o tem wiem, to wszystko stało się — wskutek waszej orjentacji...

— Otóż, otóż, widzi pan, jakie to są dziwne sprawy... Bo przecie w 905-ym Galicja wcale nie stała po stronie bojówek PPS, a mimo to nie odmawiała gościnności nikomu... Otóż to, drogi panie, że wy w ten sposób nie postępujecie... A teraz...

Przysunął się bliżej do znajomego nieznajomego i mówił, patrząc mu w oczy:

— Na ten przykład, serdeńko, ja nie jestem tu sam. Mam ze sobą żonę, rozumie pan? I ona jest — przy na-

dzieci. Czy sądzi pan, że ktokolwiek objawił chęć zajęcia się nią? Pan wie — w tym stanie nerwy grają w człowieku — więc bodaj odrobina rozrywki, towarzystwa... A może trzeba pomocy? No, cóż, to chodzi po ludziach... A tu — nic! Jak pośród obcych... Ze nas wojna z kraju wygnała — to nic. Cierpimy i wierzymy, że cierpimy za Polskę... Ale żeście wy nas tu do swych serc nie przypuścili — to dopiero uczyniło nam tę ziemię ziemią wygnania... I dlatego, pojmij pan, chodzę do kawiarni...

— Nikt emigracji nie przewidywał i to jeszcze w takich rozmiarach — tłumaczył się znajomy nieznajomy, uśmiechając się z zakłopotaniem...

— Mniejsza z tem, panie! — kończył Niwiński. — Ja to już przeboleiałem... Przeboleiałem, bo mimo wszystko postawiliśmy na swoim...

— To jest — na czem?

— Spójrz pan tylko uważniej. — Ile to na wygnaniu w Rosji powstało pism, ile szkół polskich, ile organizacji, jak całemi falami biją w was broszury, książki, podręczniki szkolne.... To wszystko, mój panie, to są dary wygnańców — za gościnę...

I istotnie Niwiński nie mylił się. Emigracja pracowała na Rusi bardzo energicznie i z wielkiem powodzeniem. Wprawni i doświadczeni agitatorzy docierali do najodleglejszych, zapomnianych zakątków, budząc lud... Dziesiątki tysięcy dzieci uczyły się na polskich elementarzach, zakładano gimnazja, zorganizowano coś w rodzaju zawiązu uniwersytetu, organizowano rzemieślników... W Piotrogradzie, w Moskwie, Kijowie i Charkowie grały teatry polskie... Organizacja wojska szła opornie, za to żywioł polski, tężejąc i krzepnąc, coraz głębiej zapuszczał korzenie i rozkwitał — zdawało się — na wieki...

Żaś wieczorem uciekał Niwiński do kawiarni, „na dach,” gdzie rozmawiał z Ziembą, lub przysłuchiwał się, co oficerowie czescy opowiadali. Między innymi poznał też Czeczka, który kierował akcją dywizji czeskiej pod Zborowem. Był to niski, szeroki w ramionach mężczyzna, w furażce, z wielką fantazją zsuniętej na tył głowy, a ocieniającej twarz szeroką, miedzianą od słońca i błyskającą złotymi zębami. Elastyczny i mocny, z szerokim: tasakiem austriackim u boku, wesoły i skłonny do śmiechu, oficer ten sprawiał sympatyczne wrażenie. Lat mógł mieć ze trzydzieści, a choć był w randze porucznika, już miał i pułk swój i komenderował dywizją. Na jego piersi widać było wszystkie odznaki św. Jerzego i biały krzyż oficerski. Mówił żywo, chętnie używając słów rosyjskich, które fatalnie akcentował i wymawiał.

— Czestnoje slowo, powiadam wam, zupełnie nie rozumiem, co się z tym żołnierzem dzieje... Był to przecie żołnierz do niedawna sławny, bagatyr! A teraz — trus, haniebný trus i nic więcej... Czort znajet, niczewo w etom diele nie razbieriosz...

— Żeby to tylko tchórz — wtrącił któryś z oficerów — ależ oni dziś własnych oficerów mordują. Żołnierze jednego pułku pułkownika kijami zatłukli...

— Swołocz!

— I poco my tu siedzimy! Lepiej do Francji jechać. Tu z tego wszystkiego już-nic nie będzie.

Niwińskiego dotknęło to nieprzyjemnie. Prawie z trwogą myślał o tem, że zwolna wszyscy „porządniejsi ludzie“ mogą Rosję opuścić, a wtenczas on tu zostanie sam ze swą żoną, bezbronny...

Więc się zachnął:

— Nie, teraz właśnie Rosji opuszczać nie można. Właśnie teraz nie! Ostatecznie — Rosji dotychczas nie

zarzucić nie można. Rosjanie zachowują się zupełnie dobrze. Rewolucja jest rewolucją, naród eksperymentuje, próbuje, ale widać po nim, że czegoś chce. Sami musicie przyznać, są tu już rzeczy zupełnie nowe, prawie że niebywale... Na przykład kobiecy bataljon śmierci Boczkarewy... To przecie objaw wspaniały, to jest nowe... Tu życie wchodzi w nową fazę...

— Słuchajcie! — przerwał mu oficer, który właśnie czytał „Poslednije Nowosti.“ — Przy jakimś szewcu zabitym na bazarze, znaleziono — osiemdziesiąt tysięcy rubli! To je bajeczne... Gdzież się podzieli biedni szewcy z powieści Dostojewskiego!

— W polu kobieta dużo nie wskóra — mówił po namyśle Czecek. — Do garnizonowej służby, do wartowniczej — dobra.

— Patrzcie! Czecek za emancypacją!...

— A czemuż-by nie! — zapalił się oficer. — Ja jestem za zupełnem zrównaniem kobiet z mężczyznami.

— To i generałem kobietę-byś zrobił?

— Rozumi se! A procz by ne? — zapalał się Czecek coraz więcej.

I z miejsca wybuchł namiętny, gwałtowny spór, prowadzony z charakterystycznie czeską niechęcią do tradycji i skłonnością do rzeczy nowych.

A kiedy tak oficerowie w łóżach swarzyli się i jeździli wzajemnie po sobie, używając w dyskusji słów mocnych i jak najprostszych, gdzieś za słupkiem wadzili się szachiści:

— Tego wam nie wolno!

— Będę się was pytał, co?

— Idźcież! Tu koń mój stał i wy pionka z miejsca ruszać nie powinniście byli.

— Jaki koń, gdzie stał, kiedy?

— Wždyt' wam powidam!

— Czlowieczce, zbraznil ste se? Jaki koń, jaki pionek...

— Žiszmarjajozef! Z wami się o wszystko trzeba kłócić!...

— Pewnego wieczoru siedział Niwiński „na dachu“ z paru wybitniejszymi członkami organizacji czeskiej, rozmawiając, jak zwykle, o położeniu na froncie i o tem, co z tego wyniknie. Wtem „na dach“ weszło dwóch panów, jeden wysoki, chudy, z twarzą zgonionego charta, drugi niski, młody, krępy, czarniawy, wesoly, chytrze uśmiechnięty. Ten ostatni odwrócił się do kogoś, śnać idącego za nim i zawołał:

— Pane profesore! Tady jsou, tady sedi!

„Na dachu“ zapanowała cisza.

— Masaryk przyjechał! — szepnął Niwińskiemu jeden z jego towarzyszków.

Wszedł starszy już pan, trochę więcej niż średniego wzrostu, szczupły, błądy, o pociągłej twarzy z białą bródką, w okularach.

Skierował się prosto ku stolikowi, przy którym siedział Niwiński. Ten, naśladowując swych towarzyszków, wstał. Starszy pan przywitał się z obu Czechami. Niwiński chciał się cofnąć, ale przedstawiono go.

Profesor wraz z towarzyszącymi mu panami przysiadł się do ich stolika.

Przez chwilę panowała cisza.

Niwiński ostrożnie, ale badawczo zerkał z boku w stronę tego dziwnego człowieka, prawie starca już, który jednak miał tyle siły, że — wychowawszy sobie w sali uniwersyteckiej całe pokolenie — zdołał rzucić je w bój przeciw wielkiej, potężnej i mściwej monarchji. On, syn kowała ze Słowaczyny, jako wróg niebezpieczny

i groźny, stanął oko w oko z dwoma cesarzami, mającymi na zawołanie milionowe armje i nie wątpił ani chwili, że armje te rozbije i swemu narodowi wolność i wielkość wywalczy. Skromny uczony, banita, zbroił przeciw wrogom swej ojczyzny oddziały we Włoszech, we Francji i w Rosji, a wpływ jego potężny sięgał aż do Ameryki, gdzie bogaci kupcy i przemyslowcy czeszy na zawołanie powierzali mu swe kapitały. Gdzie był dom tego człowieka, który u siebie w domu był wszędzie i nigdzie, którego rodzina rozprószona była po świecie i który nigdy nie żył dla siebie?

Zaczęto rozmawiać. Profesor zadał kilka pytań Niwińskiemu.

— Więc my się znamy jeszcze z Pragi? — mówił profesor z miłym uśmiechem.

— Tak. Pamiętam dwa wykłady inauguracyjne. Pierwszym był wykład prof. Krejcziego. Prof. Krejczy rozpoczął słowy: — Panowie! Boga niema! — A zaś pan profesor swój wykład inauguracyjny zaczął tak:

— Abyśmy uniknęli wszelkiego nieporozumienia, panowie, ja stwierdzam, że Bóg jest...

— Może być, że tak mówiłem — kiwnął uczony głową.

— Zaś ostatni raz spotkałem pana profesora w ogrodzie Kinskych. Było to pewnego chłodnego, słotnego popołudnia. Miałem silną migrenę, poszedłem się przejść. Na górze spotkałem pana profesora — pamiętam, w długim płaszczu angielskim, którym wiatr szarpał. Stał pan w tem miejscu, z którego widać wjazd na Hradczany, plac przed zamkiem, pałac arcybiskupi i bramę prowadzącą na zamek królewski...

— Piękny to widok — szepnął profesor.

— Piękny! — przyznał Niwiński. Pusto było w ogrodzie, bo deszcz padał, a zaś ja, minawszy pana, pomyślałem sobie: — Czemu to profesor w taki zimny, słotny dzień stoi sam i wpatruje się tak w ten zamek...

— A, zajmujące! — uśmiechnął się znowu profesor.
— Pan dawno w Kijowie?

Niwiński odpowiadał na pytania, patrząc profesorowi w oczy. Pierwszy raz widział go tak z bliska. Zdawało się, jak gdyby profesor był trochę zezowaty; spojrzenie miał niepewne. Robił wrażenie człowieka bardzo opanowanego. Mówił cicho, prawie szeptem.

Szachiści — tak zwani kijowscy „notable“ kolonji czeskiej nie zwracali na profesora najmniejszej uwagi. Żaden mu się nie uklonił, żaden do niego nie podszedł. Nie uznawali go. Kiedy wszedł, w pierwszej chwili uciuchło wszystko, ale po jakimś czasie odezwało się znowu:

— Jakiem prawem bierzecie mi więzę? Człowiecze, to przecie nie jest żadne granie! Ale, ciągle cofacie ciągi, tego nie wolno.

— Kto mi zabroni — wy? Was się jeszcze nie boję...

„Na dach“ chodził Niwiński tem chętniej i tem częściej, że w domu skutkiem zdenerwowania żony było mu źle. Wszystko ją drażniło, wywoływało spory, wymówki. Robiło się nieznośnie. Wszystko składało się jak najgorzej, jakoś dziwnie beznadziejnie. Zarobki kurczyły się, parę interesów zawiodło, wydatki wzrastały z dniem każdym i Niwiński czuł, że walcząc z trudnościami, szarpie się w jakiejś ogromnej sieci, zaciąganej zdaleka ale niezawodnie.

Tem więcej bolało go, że żona, zamiast stanąć przy nim, nie oszczędza mu ani przykrych słów, ani wymówek. Rozumiał jej stan, ale nie mniej czuł się niezmiernie opuszczonym i samotnym.

Raz, kiedy żona już spała, czytał pożyczony sobie przez Ryszana tom poezji Ołokara Brzeziny. Kochał tego poetę za jego precudnie śpiewny wiersz, za jego rytm płynny, falisty, przypominający długi, poważny, szeroki ton — fałi morskiej, za jego ukochanie barw prześwietlonych i za nabożne skupienie jego duszy, śpiewającej pieśni tak, jakby to było odprawianie obrzędu.

Aż naraz wzrok jego padł na słowa, które i w jego duszy zabrzmiały modlitewnym dźwiękiem pokornego westchnienia:

— Ja — dusza — zmęczyłam się mnóstwem spojrzeń, które wysłałam na święta gwiazd, a które z powodu niezmiernego ich oddalenia, już nie wrócą do mnie na tej ziemi...

Niwiński zamknął książkę i z teni cichem westchnieniem legł na swem łóżku polowem na balkonie.

Rozdział XI.

MARTWE BŁYSKI.

— Tyś go znalazł?

— Jak pak by ne? Był to młody, szczery, sympatyczny człowiek, dzielny oficer... Chodziłem z nim kilka razy „na razwiedkę...” Byłem przy jego śmierci...

— Jakże to było?

— Porucznik Romanienko zebrał dookoła siebie dwa pułki i rozmawiał z „soldatami” o wypadkach chwili i o bezwzględnych środkach, które rząd stosować musi dla ocalenia frontu i armji. Żołnierze słuchali z zainteresowaniem i życzliwie, a kiedy skończył, krzyknęli mu nawet „ura.” Wtedy Romanienko poprosił oficerów o chwilę rozmowy na osobności. Oficerowie zeszli się, porucznik Romanienko zaczął im coś tłumaczyć. W tej chwili podeszło dwóch żołnierzy, którzy przystanęli i przysłuchiwali się rozmowie. Romanienko poprosił ich, żeby odeszli i nie przeszkadzali, ale żołnierze odpowiedzieli, że nie powinno być żadnych sekretów i że oni chcą być obecnymi podczas rozmowy.

— Bolszewicy! — wtrącił ktoś.

— Prawdopodobnie. Na powtórna prośbę Romanienki żołnierze odpowiedzieli chamstwem. Wówczas Romanienko kazał dwom kozakom żołnierzy aresztować. Kiedy aresztowanych prowadzono koło ośmiotysięcznego

tlumu żołnierzy, dały się słyszeć pogroźki i klątwy. Romanienko, widząc to, dosiadł konia i skierował się ku tłumowi, chcąc wytłomaczyć, o co idzie. Naraz tłum zakłócił się, krzyknął, żołnierze rzucili się na kozaków, odbili aresztowanych i musiało zajść coś takiego, z czego Romanienko poznał, że i jemu śmierć grozi, bo nagle zawrócił konia. W tej chwili ktoś krzyknął: — Wot niemieckij szpion, puskajuszczij po noczani rakiety.

— Prowokacja!

— Niewątpliwie — bo Romanienko był wśród żołnierzy bardzo popularny, więc w ten sposób chciano go sprzątnąć. Padły dwa strzały. Jedna kula trafiła Romanienkę w plecy —

— Podli! Podli! Skrytobójcy!

— Z pewnością bolszewicy!

— i przeszyla serce, druga ranila go w nogę. Romanienko martwy padł wraz z koniem. Rozwścieczeni żołnierze bili trupa kijami, deptali i kluli bagnietami. Co było na trupie, zrabowano; bezkształtną bryłę mięsa przeniesiono na punkt opatrunkowy, gdzie w czerwonej trumnie zwłoki leżały pod ogniem działowym...

— Straszne rzeczy! Taki dzielny, zacny chłopak i taka marna śmierć... Zbydlęcieli...

Niwiński siedział w małym kółku oficerów czeskich i słuchał. Jakby widział stada twardych, ciemnych ludzi w gliniastych szynelach i tego młodego, rosłego porucznika, ufnie i śmiało wpierającego swego konia w szumiące, gwarne, żółte fale... A naraz czerwony błysk nad tem wszystkim, czerwony błysk i śmierć czerwona...

— Dwuch grubijańskich żołnierzy — wnioskowal któryś z oficerów — dwa strzały... Jej Bożu, to z pewnością byli ci dwaj agitatorzy bolszewiccy... Oni żądze mordu rozbudzili w tłumie...

— Ale to znaczy, że w tym tłumie ta żądza mordy jest — szepnął Niwiński.

— Pewnie, że jest...

— I że się budzi...

— Tak. Ktoś ją budzi... Rozmyślenie... Ktoś chce wybucha...

Oczami duszy Niwiński spojrzał ku zachodowi i krew mu zastygła w żyłach. Oto ujrzał miliony i miliony żółtego mrowia, zerującego wśród olbrzymich magazynów broni, dział, amunicji... To mrowie wiecuje i nie wie, co począć ze sobą... Tęskni do domu, na wschód, a tu trzyma je i przykuwa do zadrutowanych okopów jakiś rozkaz czegoś, co umarło... Tłumy są złe, żyje w nich pamięć krzywd i pamięć posłuszeństwa, ale błyski czerwone zbyt często je już przenikają, krew kipi... Aż przyjdzie chwila, w której to wszystko szarpnie się, oderwie od zagród drucianych i lawiną straszną runie na wschód, powo!i pracę wciąż naprzód, niszcząc wszystko i krwawiąc się coraz bardziej...

— Kierenskiej armii w rękach już nie ma — odezwał się Ryszan. — I właściwie to już za Milukowa armia nie była w rękach rządu...

— Wybuch rewolucji armię rozsadził.

— Nie — zaprzeczył Ryszan. — To nie rewolucja. Kto inny od dawna już musiał prowadzić tam robotę rozkładową i kto inny trzyma ją w rękach. Masy są głupie, ciemne, bezmyślne... Ci komisarze wojskowi i deputaci — to są jakieś ogniwka, coś przejściowego, coś, co ma czemuś zapobiec, nie zapobiega niczemu, a tylko kompromituje się... Przykładem śmierć Romanienki... Komisarzem był — lubiany powszechnie, sympatyczny i popularny... Żołnierze krzyczeli mu „ura,” a jednak był ktoś silniejszy od niego, ktoś bez tytułu, nieznany ni-

komu, szary — i ten ktoś szepnął słówko, wzburzył tłum — i rozdeptał Romanienkę.

— Kto?

— Bolszewicy.

— Niemcy.

— Jedni i drudzy.

— Potworne!

— Co zrobić?

— Gdyby się znalazła choć garść uczciwych żołnierzy — mówii Ryszan — zdaje mi się, nie wszystko' jeszcze byłoby stracone. Ta hołota na froncie rozlezie się, rozprószy, rozprysnie — a wtedy będzie można rozbić ją i stworzyć nowy front.

Tegożsamego zdania był i Niwiński — a tedy po paru dniach namysłu zgłosił swą gotowość do pracy tym, którzy jeszcze w wojsko polskie wierzyli.

Chodził po różnych rozległych, szarych i banalnych biurach, szukając człowieka i mądrego słowa. Ale w tych biurach siedziały przeważnie niedostępne kobiety, z urzędowemi minami odsyłającego od departamentu do departamentu, lub też nieufni i mało wiedzący urzędnicy, którzy zbywali go czembądz, bojąc się, że może on szuka posady. Jakiś chorąży, któremu — nie zważając na jego zarozumiałą i nadętą minę — zwierzył się szczerze ze swych niepokojów i zamiarów — słuchał go kwaśno i wreszcie urwał rozmowę, oświadczając krótko, że wszystko idzie jak najlepiej i że wszystko zrobiono. Łatwiej było przejść przez mur, niż przez odstręczający chłód tych ludzi. Jakiś „powstaniec“ w mundurze chorążego, apoplektyczny starzec z chytrą miną Zagłoby i sztukowanemi wąsami, zajął się Niwińskim, przyrzekł mu swą protekcją i obiecał zaprowadzić go do kogoś, kto jest duszą całej akcji wojskowej i wszystko wie. „Du-

sza“ — fertyczna osóbką w wieku około lat czterdziestu — przyjęła Niwińskiego bardzo serdecznie, dała mu legitymację, upoważniającą do chodzenia po szpitalach i nakreśliła mu cudowny plan akcji — przyczem jednak Niwiński zauważył, że „powstaniec“ jest blagierem, „zajął się“ nim, ponieważ nałogowo szuka popularności, a do „duszy“ zaprowadził go dlatego, aby ją móżdż kilka razy wziąć dłonią z ojcowską serdecznością za krągłe ramię, na co ona zezwalała z czarującym uśmiechem matki, znoszącej kaprysy dziecka. Głównym obowiązkiem tej damy było wycinanie z pism polskich i rosyjskich wszelkich wzmianek odnoszących się do wojska polskiego i na tem ona opierała swą wszechwiedzę.

Rozmowa toczyła się w najlepsze, gdy wtem „dusza“ spojrzała na Niwińskiego i — jak gdyby przypominając coś sobie — spytała:

— Ależ... wszakże pan literat! Pan pracował w którymś z dzienników polskich w Moskwie, nieprawdaż?

Niwiński przyznał się.

— Mój Boże, jakże ja mogłam zapomnieć! A otóż widzi pan, że nie zapomniałam! Ależ to doskonale, pan nam się świetnie przyda, sam Bóg nam pana zsyla... Wyobraź pan sobie, panie Bernadowicz, pan Niwiński jest literatem, poetą bardzo utalentowanym...

— Zaraz już „bardzo...“

— Ależ tak, tak, czytałam.... Niesłychana obrazowość, rzadka plastyka...

Bernadowicz spojrzał na Niwińskiego niechętnie, ponieważ „dusza“ przysunęła się do młodego człowieka tak, że nieledwie jego kolan dotykała.

— Otóż, proszę pana, rzecz ma się tak: Nasz żołnierz jest bardzo biedny, nie ma odpowiedniej dla siebie

strawy duchowej... Zależałoby na tem, aby mu jej dostarczyć...

Niwiński aż przybladł ze wzruszenia.

— Proszę pani.... To się przecież rozumie... Żebym tylko wiedział, co zrobić, zrobię wszystko, co leży w mej mocy...

— Biorę pana za słowo! — z miłym, kokieterijnym uśmiechem żywo odpowiedziała „dusza.“ — Jako literat musi pan mieć jakieś stosunki z wydawcami.

— Niestety pani —

— A przynajmniej zna ich pan i potrafi pan z nimi mówić. Ja sama jestem wprawdzie bezwyznaniowa, ale napisałam książeczkę do nabożeństwa dla żołnierzy polskich. Jest tam parę modlitw moich własnych.

— Proszę pani! — zmartwił się Niwiński. — Książeczek do nabożeństwa jest aż nadto...

— Ale tam jest też moja modlitwa o honor żołnierza.

Niwiński łypnął na nią oczami tak wyraziście, że zmieniła temat.

Skończyło się jednak na tem, że dano mu prawo wyszukiwania żołnierzy polskich po szpitalach i werbowania lżej rannych do wojska.

Włóczęc się od szpitala do szpitala, zaszedł raz do szpitala oficerskiego przy ulicy Funduklejewskiej, gdzie miało być kilku Polaków. Dowiadując się o nich, znalazł ich wkońcu w płóciennych „pałatkach,” rozpiętych na podwórzu. Były to wielkie namioty z „brezentu,” przewiewne i pełne ciepłego, złotego zmroku, w którym bieleły łózka. Wyszukawszy swych oficerów i zaznajomiwszy się z nimi, Niwiński powłókł ich za sobą w odleglejszy kąt wielkiego, zarosłego drzewami dziedzińca, aby mógł swobodnie porozmawiać. Szli chętnie, zado-

woleni z nadarżającej się im rozrywki. Było słoneczne, gorące popołudnie, suche i ciche. Ranni i chorzy przeważnie spali, rzadko gdzie przemykał się biały, szeroko rozpięty chałat.

Niwiński wykladał oficerom, z czem przyszedł. Słuchali go z zajęciem, życzliwie, ale — nie mówili nic. Ci młodzi ludzie byli starymi żołnierzami, a z ich spokojnych oczu czytało się, że przeszedłszy wiele, wiedzą i myślą coś, czego nie chcą powiedzieć. Gdy Niwiński skończył, milczeli chwilę, a potem ktoś zaczął opowiadać o obronie jakiegoś przyczółka mostowego. Po pewnym czasie przyłączył się do nich podoficer belgijski z samochodów pancernych i ten wdał się w długą, istotnie bardzo zajmującą rozmowę o taktyce tej broni.

— Nasze wozy pancerne mają tę złą stronę, że są otwarte, ale za to widzi się z nich lepiej — tłumaczył słuchaczom. — Wóz obsługuje czterech ludzi: pointeur, chargeur, chauffeur i aide-chasseur. Wóz panuje nad przestrzenią 200 metrów — kontakt utrzymują cyklisści. Głównem zadaniem samochodów pancernych jest pomaganie piechocie podczas ataku. Oprócz korzyści konkretnej, jaką jest rozbijanie gniazd karabinów maszynowych przy pomocy dział szybko strzelnych, wozy opancerzone podnoszą ducha woisk. Widziałem sam, jak po ataku żołnierze rosyjscy całowali nasze wozy...

Opisywał działalność tych wozów na galicyjskim froncie, gdzie głównie się niemi posługiwano ze względu na dobre drogi, wspominał bitwy...

Niwiński zrozumiał, iż traktowano go nie jako agitatora, ale jako poczciwego człowieka, który przyszedł pogawędzić z chorymi.

Światło słoneczne sączyło się przez gęste korony drzew, muszki brzęczały. ktoś tam chrapał potężnie...

Co wojna! Do czego wojna! Znęczony człowiek chce odpocząć, chce żyć.

Więc Niwiński pożegnał swych nowych znajomych i wymknął się na miasto, ślubując sobie w duchu, że już nigdy więcej nie będzie burzył spokoju ludzi uczciwych. Do ostatecznie na czem polegało jego zadanie? Na pozabawianiu ciszy serca i spokoju tych, którzy go sobie zdobyli męką i ranami. Miałże jątrzyć dusze ludzkie? Za nic na świecie. Wszakże taki spokój, to też szczęście.

Ulica była biała od żaru słonecznego. Długie „ogonki,” prażone promieniami słonecznymi, uciekały od ściany domów i do wnętrza bram, ale i tam pocily się w zadusze. Na cokole pomnika Stolykina postawiono podobny do głowy cukru głupkowaty, szary obelisk z napisem „Sława podwigu i trudu,” na piersiach allegorycznej kobiety w kokoszniku, przedstawiającej Rosję, zawieszono jakieś ogłoszenie. Przemykały się ulicami kobiety w białych przeźroczystych sukniach, z pod których przeglądały wyraźnie krągłe, ruchliwe nogi.

W tem minął Niwińskiego jakiś „pasażer” w cylindrze, na którym po lewej stronie wyszyty był czerwono Nr. 1.

Niwiński obejrzał się, przypuszczając, że może ów dziwak wyrwał się ze szpitala warjatów, ale potem przypomniał sobie, iż wkrótce mają się odbyć wybory do rady miejskiej i że zapomocą takiego błazeńskiego strojenia ludzi zwykło się kaptować stronników. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego na ulicach wala się tyle pozdzieranych ze ścian ofiszów. Podniósł jeden z nich i zaczął czytać:

— Czernosotieńcy miasta Kijowa.

Jeśli chcecie widzieć w radzie miejskiej samych byłych liżygarnków carskich, prawdziwych rabusiów

i zdrajców narodu, samych złodzieji-urzędników i aferyzistów, samych burżujów i eksploatatorów, samych znanych maroderów i spekulantów głosujcie na listę 3, 4, 5 i 8. Bądźcież przez naród wraz z nimi przeklęci.

Niwiński uśmiechnął się i rzucił afisz.

Bezwładny i jakby wewnętrznie pusty legł Niwiński tego wieczoru na swem posłaniu na balkonie. Wzburzony różnemi myślami, jakie go zaprzętały, długo nie mógł zasnąć. Noc była burzliwa, błyskało się bardzo, grzmiało, wreszcie lunął ulewny deszcz. Wówczas Niwiński wstał i wciągnął swe łóżko napół do pokoju, ale tak, aby mimo wszystko móżdż patrzeć w niebo. Deszcz siekł liście, a jemu — nie wiadomo dlaczego — zdawało się, iż leżąc na dnie łodzi pod zagłem nocą ciemną i burzliwą płynie dokądś przed siebie daleko.

Wstał chmurny, posępny i blady, jak chmurny, posępny i blady był też tego dnia poranek. Pisma poranne przyniosły wieść o ekscesach wojsk bolszewickich w Kałuszu. Znowu mordowano, gwałcono, hańbiono, rabowano! A dalej donoszono o aresztowaniu Piłsudskiego i 300 oficerów polskich rzekomo za spiski przeciw Niemcom i odmówienie przysięgi.

— Tak się kończą zalecanki! — mruczał Niwiński przez zęby, zły i zirytowany.

Zaś „Dziennik Kijowski“ przyniósł przedruk z któregoś z pism warszawskich, histeryczny okrzyk jakiejś baby zwarjowanej, artykuł zatytułowany „Ratujcie nasze dzieci od śmierci moralnej“ i domagający się wysłania legjonów na front.

Niwiński, przeczytawszy artykuł, aż pięścią w stół uderzył.

— Nałgali, nakręcili, napaskudzili, napsuli, a teraz, żeby „dzieci od śmierci moralnej uratować“, chcą

im na froncie lby poukręcać. Sami żeby się powywieszali, lajdaki, to nie pomyślał! Ten broń złożył i aresztować się dał, a ta jęcza zapamiętała wrzeszczy: — Pomordujmy dzieci, żebyśmy się ich wstydzić nie potrzebowali!

— Czego wrzeszczysz? — zajęchała go znów żona — Śniadania spokojnie zjeść nie można. Siedzi przy herbacie i ryczy! Nie wytrzeszczaj tak na mnie oczu, ja się nie boję...

Dziwnie zbrzydła. Wargi jej obrzękły, nieledwie posiniały i krzywiły się w trywialnym grymasie, koniec nosa poczerwieniał. Zrobiła się kłótniwa, narzekała wciąż.

Pewnego wieczoru „na dachu“ pojawił się Ziemba — rozpromieniony, wesoły, pełen jak najlepszej myśli. Wracał ze zjazdu międzypartyjnego w Moskwie, gdzie postanowiono wznowić i jak najenergiczniej prowadzić akcję wojskową.

— Będziemy formowali korpus — opowiadał Szydłowskiemu i Niwińskiemu. — Pokoju z Niemcami nie będzie, a że w wojsku rosyjskim jest źle, nieporządek i wieczne awantury, więc żołnierze będą sami chętnie do nas przechodzili... Dyscyplina francuska ostra — każdy żołnierz będzie musiał podpisać odpowiednią deklarację...

— Jeńców bierzcie — wtrącił Niwiński.

— Pan zawsze swoje! — skrzywił się niechętnie Ziemba. — Jeńcy mają jeszcze czas, dość materiału gotowego jest pod ręką...

— Jakież pan uparty! — narzekał Niwiński. — Wśród jeńców jest dużo takich, którzy do wojska się rwą, którym zbrzydło bezczynne siedzenie w obozie. Są to żołnierze ideowi, żołnierze z temperamentu — żywioły pierwszorzędne, które znacznie mogą się przyczynić do

konsolidacji korpusu. Dlaczego tych ludzi odpychać? Przecież to materiał najlepszy!

— Plecie pan w kółko wciąż jedno i to samo, a nie chce pan zrozumieć, że do takiej akcji potrzebny jest ogromny aparat, którego nie mamy i na który nas nie stać... Co innego Czesi, którzy od tego zaczynali...

— Ale my mamy wszędzie swoich delegatów cywilnych, urzędników Centralnego Komitetu Obywatelskiego, Lwowskiego Komitetu ratunkowego i tak dalej. Tych ludzi i urzędów można użyć, a Czesi z pewnością im pomogą tam, gdzie swoje posterunki mają...

— Pan Czechom wierzy!

— Co znaczy — wierzy lub nie wierzy! W ich interesie jest, aby wojsk pewnych było tu jak najwięcej — inaczej zginą, bo się nie będą mogli obronić.

— Sam-eś pan mówił, że wyjeżdżają do Francji.

— Chcą wyjechać — ale czy wyjadą, jeszcze nie wiadomo.

— Naturalnie! — wtrącił małomówny Szydłowski.

— Wszystko to ładnie, ale my musimy robić po kolei... Naprzód reorganizacja gotowych już oddziałów i organizacja korpusu, potem przyjdzie kolej na jeńców. Ale przede wszystkim jaknajszersza agitacja! Co do Czechów, to oni istotnie przydać się mogą. Pan znasz ich organizację?

— Trochę.

— Wypytaj-że się pan, jak i co i niech mi pan wolną chwilą opowie. Jak wojna to wojna! Moskaluszki są zmęczone i rewolucja ich zre, ale pokoju zawrzeć nie mogą i nie zawrą. Front jaki taki trzymać muszą. Beznadziejne to wszystko nie jest.

Działo się jednak źle. Ryga padła. Pisano o niesłychanym męstwie, z jakim rewolucyjne wojska

rosyjskie były się z Niemcami, ale opowiadano sobie, że w rzeczywistości wojska te uciekły, że się bić nie chciały, że, cofając się, w Rydze hułaly.

— Gadać będą, ale bić nie chcą się za żadne skarby świata! — narzekał Niwiński, siedząc z Szydłowskim „na dachu.“

— To są namiętni kupcy! — mówił Szydłowski z uśmiechem. — Handel jest dla nich wszystkim. Opowiadał mi pewien oficer, który niedawno przyjechał z Czerniowiec: Żołnierze wszystko sprzedają i wszystko kupują, cała armja zajmuje się handlem. Sprzedają rzeczy skarbowe, tak, że po wsiach jest między chłopstwem mnóstwo mundurów, butów, kociołków itd., prócz tego, jeśli towar jaki z Rosji przyjdzie, wykupują go, dniami i nocami dyżurując przed sklepem. Tak np. wykupili obuwie, które potem sprzedawali, biorąc za nie podwójne ceny. Ponieważ mają dużo pieniędzy, grają namiętnie w karty, jak zwykle „na skwerach, na których powygniātane są całe koła. Biją kartę sturublówkami. Gra trwa całe noce. Żołnierz, który ze świeczką w ręce świeci grającym, dostaje sto pięćdziesiąt rubli za noc. Pieniądze żołnierze odsyłają do domu i przy okienku, przy którym na poczcie pieniądze się nadaje, stoją ich takie tłumy, że dla urzędników, raz na miesiąc połowę pensji wysyłających do domów, trzeba było osobne okienko otworzyć.

— Nic dziwnego, że się im nie chce bić! — wzruszył Niwiński ramionami.

— A teraz z innej beczki fakt: Dyrektor jednej z tutejszych fabryk ma tysiąc rubli miesięcznie. Wykwalifikowany robotnik zarabia do dwóch tysięcy, mimo to jednak zawsze w parę dni po otrzymaniu dwutygodniowego zarobku przychodzi po zaliczkę, której mu się

oczywiście nie odmawia. Pewnego dnia dyrektor spytał robotnika, czy sobie co kupuje, że tak pieniądze wydaje. — Przed trzema dniami wzięliście przecie osiemset rubli! — rzekł mu. — Kupować? — mówił robotnik. — Nic nie kupilem, ale w sobotę było u mnie parę osób. Cóż, ćwierć wódki kosztuje sto dwadzieścia pięć rubli, potem przegrałem trochę w karty, jedzenie drogie, żona też coś sobie wyda, pieniądze się rozchodzą!

— Żołnierze i robotnicy! Tak, ci mają pieniądze, tych na wszystko stać — i wszystkiego im jeszcze mało.

— Słuchaj-że pan dalej: W Pitrze jest komisja amortyzacji długu państwowego. Wyposażenie urzędników tej komisji przed wojną było bardzo niskie, a że tam nikt nigdy nie miał żadnego interesu, więc o łapówkach ani gadania, rozumie się. Kiepsko. Podczas wojny podwyższono tym ludziom pensję do stu pięćdziesięciu rubli miesięcznie. Niedawno urzędnicy tej komisji wysłali do rządu deputację z prośbą, aby komisję przeniesiono gdzieś na wieś, bo ze stu pięćdziesięciu rubli miesięcznie urzędnicy w Pitrze wyżyć już nie mogą. Na poparcie swego żądania przedstawili świadectwo lekarskie, wykazujące, iż z powodu złego odżywiania się między nimi zdarzają się częste wypadki szkorbutu.

— Ale ci nie strajkują!

— A nie... Ci nie strajkują...

Przyszłedl Ziemba, zły, zmartwiony.

— Ryga oddana — zahuczał swym niskim, twardym basem. — Nie wiadomo, co jest. Komisarz dwunastej armji Wojtinskij, pisze, że żołnierze bili się jak lwy, a nawet komunikaty mówią już o panicznej ucieczce. Kie-renskij łże. Ciekawa rzecz — naprzeciw dwustu tysięcy Niemców stało osiem set tysięcy Rosjan — i nie mogli im dać rady. Niemcy przez dwa mosty przeprowadzili na dru-

gi brzeg jeden pułk i dwie rosyjskie dywizje zrzuć go w rzekę nie mogły. Ciężkie działa komenda rosyjska musiała wywieźć przed bitwą, bo bała się stracić je.

— Podobno i pod Kowlem jest jakieś przerwanie frontu — dodał Szydłowski.

— A wojska południowo-zachodniego frontu uchwiliły, że w okopach będą siedzieć tylko do pierwszego października — rzekł Niwiński.

— Skąd pan wiesz?

— Był telegram, tylko cenzura go nie puściła.

— Ładna historia! Jeszcze wam coś powiem. Wczoraj w moim sąsiedztwie zajęto budynek szkolny dla jakichś władz. Patrzę, co takiego? Zarząd kolei galicyjskich. Spotkałem znajomego urzędnika, pytam go: — Cóż wy tam w tym zarządzie robicie, skoro kolei nie macie. — Co robimy? Kosztorysy! Trzeba przecież jakoś wypróżnić kasę.

Lato miało się ku końcowi, gdy naraz zaczęły się rozchodzić dziwne, często zupełnie sprzeczne słuchy i wieści o jakichś ruchach i zamierzeniach wodza wojsk rosyjskich, generała Kornilowa.

Wśród oficerów czeskich zawrzało. Młodzi ludzie wpadali na dach i wybiegali pośpiesznie, szeptali sobie coś z tajemniczą miną na ucho, śmiali się, bili pięściami w stół. Niwiński domyślił się, że coś wiedzą.

Zabrał się do Ryszana.

— Co wy tam spiskujecie? Co to za konspiracje?

Młody oficer roześmiał się.

— Konspiracje! Cóż dziwnego? Dziś wszyscy spiskują!

— Co się dzieje?

— Wiesz, że jest źle. Kiereński słaby, przytem blagier, kabotyn. Podżera go czerwona komuna, grożą mu-

inżynierze kronsztaccy, Lenin, Trockij... Wszyscy rozumieją, że tak dalej być nie może. Otóż Kiereński, obawiając się przewrotu bolszewickiego, wezwał do Piotrogródu Kornilowa z wojskiem oczywiście... Kornilow wysłał korpus jazdy i piechotę... Ale Kornilow jest głównodowodzącym i generałem w armii bardzo popularnym, tak, że jeśli stanie w Pitrze, to z tego gotowa wyniknąć dyktatura wojskowa, a co za tem idzie — znowu wojna z Niemcami!

— Kornilow ma duże siły?

— Posłał na Piotrogród dziką dywizję, swoich Teńczyków i kozaków...

— A co wy macie z tem wszystkim do roboty?

— My oczywiście bardzobyśmy chcieli, aby mu się udało, ale pomagać mu nie możemy, bo wrazie niepowodzenia bylibyśmy skompromitowani. Kornilow do nas się zwracał, a właściwie nasz komendant, pułkownik Mamonow chciał nas w tę awanturę wciągnąć — odmówiliśmy. Jednakże w sztabie jego mamy kilku swoich oficerów, którzy nas informują...

— Więc to Kierenski wezwał Kornilowa na pomoc? Dlaczegoż w takim razie dzienniki piszą, że to zamach kontrrewolucyjny Kornilowa, dlaczego Piotrogród tak tendecyjnie informuje?

— Tego ja już nie wiem, co wtem jest...

— Czy Kierenski nie wciąga Kornilowa w jaką pułapkę?

— Być może, ale Kornilow człowiek chytry, kozak, wie, co robi...

— Coś o nim słyszałem... Podobno z niewoli austriackiej uciekł.

— To nie wiesz? Kornilow jest właściwie znajdą, mongolskiego pochodzenia. Jako małe dziecko przygar-

nał go kozak zabajkalski, który się nazywał Kornilow... Bezdzietny był i adoptował chłopca, którego potem kształcił w szkole wojskowej. Jako młody oficer Kornilow odbywał długie podróże konne po Azji. Podczas jednej z takich podróży dotarł do Tekny, jakiegoś dzikiego, prawie że niezależnego narodu. Tam ożenił się z córką chana tekińskiego, przez co z Tekną zawarł braterstwo krwi. Podczas wojny walczył jako generał, zdaje mi się, dowodził dywizją. W 1915-ym r. dostał się do niewoli i został osadzony jako jeńiec w którymś z węgierskich zamków. Uciekł stamtąd przy pomocy żołnierza austriackiego, Czecha, Franciszka Mrniaka, którego jednakże na granicy rumuńskiej, kiedy chciał kupić chleb dla generała, żandarmi złapali. Ale Kornilow przedostał się szczęśliwie do Rosji, gdzie w krótkim czasie został głównodowodzącym. Jego wierni Tekińcy przysłali mu pułk kawalerji, który dziś jest jego gwardją przyboczną. Są to znakomici kawalerzyści — mają własnych oficerów i tylko ich słuchają. Kornilow jest w ich oczach nieomal bogiem. Kiedy z nim rozmawiają, zasłaniają sobie oczy dłonią...

— Więc to miałby być zbawca Rosji, Mongol! — z podziwem wykrzyknął Niwiński.

— Człowieku, on ma skończoną akademię wojskową...

— Ale i owszem, niech będzie i Chińczyk, byle zrobił porządek... A swoją drogą mnie się zdaje, że wy nie robicie dobrze, stając na uboczu...

— Mielizbyśmy się męszać do wewnętrznych spraw Rosji?

— A czemużby nie? Przecież wy naprawdę Rosji zawdzięczacie wszystko, macie wobec niej obowiązki i naprawdę zależy wam na istnieniu frontu wschodnio-euro-

pejskiego. Więc z wielu względów nie może wam być obojętne to, co się w Rosji dzieje. Macie siłę, macie trzy mocne dywizje, możecie pomódz dobrym a niezorganizowanym żywiołom, możecie uratować Rosję...

— Człowieku, tegoby nam Rosjanie nigdy nie darowali!...

— Przeciwnie, byliby wam wdzięczni za to.

— Co znaczą trzy dywizje!

— Dziś, kiedy możecie mieć po swej stronie Kornilowa, jego dziką dywizję i Tekińców, jego szturmowe oddziały, wierne mu wojska, a w niedalekiej przyszłości korpus polski a może i Łotyszów, Serbów i Rumunów, dziś moglibyście stanowić siłę... Ale jeśli to wszystko padnie i zostanieie w Rosji ze swemi trzema dywizjami, o, to wtenczas będzie źle.

— Dajże spokój, nasza interwencja jest zupełnie zbyteczna...

— A ja ci mówię, że czy chcecie czy nie chcecie — dojdzie do niej, bo do konfliktu dojść musi. A tedy, im wcześniej a bezinteresowniej, tem lepiej.

— Kornilow i bez nas da sobie radę. Już wali na Piotrogród!

A Niwiński ujrzał w duszy pulki dzikiej dywizji, czarniawe, pociągłe twarze w czerwonych baszłykach, oczy czarne, ogniste, i u pałów szerokie, srebrem nabijane kindzały, a potem kozaków kubańskich, w długich aż do ziemi, czarnych twardych burkach kaukaskich i tych Tekińców z jakichś nieznanych, dalekich stron — a, wszystko na północnej równinie fińskiej, wśród białych brzóz i posępnych sosen zmierzające ku kamiennej, zimnej i groźnej stolicy Północy.

„Na dachu“ pokazało się jakieś towarzystwo rosyjskie; Dwie wytwornie ubrane damy i trzech eleganckich

oficerów. Dzień był piękny, więc towarzystwo zatrzymało się przy sztachetach okalających kawiarnię i napało się rozległym widokiem na miasto.

Niwiński obserwował przez chwilę twarze oficerów rosyjskich.

— W tej chwili wojska Kornilowa już jadą na północ... Może się biją... Losy Rosji ważą się... Ciekawe, czy ci oficerowie wiedzą co o tem, czy ich to co obchodzi?

Twarze Rosjan były zimne, spokojne, obojętne. Podobał im się Kijów, widziany z góry w świetle pięknego popołudnia.

— Kto ich odgadnie! — myślał Niwiński. — Może co kryją?

Zaś Ziemia huczał swym chropawym basem:

— Jeśli Kornilow nie ma dość sił do przeprowadzenia swego planu, to jego wystąpienie jest zbrodnią, ponieważ jego klęska wzmocni niesłychanie elementy bolszewickie.

W parę dni później „bunt“ Kornilowa został poskromiony. Komendant wysłanego przezeń korpusu jazdy, jakiś generał, skończył samobójstwem, nie chcąc snąć „wsypać“ osób, które brały udział w intrydze. Minister rolnictwa, Czernow, był socjal-rewolucjonista, dosiadł aeroplanu i tak poprowadził przeciw „reakcyjnym bandom“ Kornilowa garnizon piotrogrodzki, głównodowodzącym został Kiereński, szefem sztabu generał Aleksiejew, a byłego głównodowodzącego internowano w jego byłej głównej kwaterze, gdzie Tekińcy wzięli go pod swą opiekę. Pokazało się, że cała awantura została sprowokowana przez Kiereńskiego, który łatwowiernego generała wywiódł w pole, skompromitował a potem sam z tego skorzystał.

Tak się narazie zakończył epizod rosyjskiego Dumuriez'a.

Ale Kijów mało się tem wszystkim zajmował. Informacje rządowe były białe i wykrętne, równocześnie zawieszono pisma monarchistyczne, które informacji przynosiły najwięcej. Stało się jawnem, że Kierenski, mimo wszystko, jest coraz silniejszym i do czegoś dąży.

— Macie rewolucję! — drwił Ziemia. — Prasa staje się coraz bardziej rządową, coraz mniej wolną. Rząd jest zawsze rządem — carski czy rewolucyjny — wszystko jedno.

— Dzisiejszy aparat rządowy uniemożliwia rewolucję — odrzekł Szydłowski. — Można zrobić zamach stanu, ale nie rewolucję. Społeczeństwo po literacku tylko współczuje — nikt obiadu dla żadnej sprawy, zarobek wyjąwszy, nie poświęci.

Niwiński zauważył, że Cześci mają niewyraźne miny.

— Sakra! — narzekał Ryszan. — Wpadliśmy przez Kornilowa. Jeden z naszych oficerów miał rozkaz zajęcia stacji telegrafu iskrowego — zastrzelił przytem żołnierza, ma iść pod sąd. W Piotrogradzie w naszych lokalach były rewizje... Popłatało się to wszystko sakramencko...

— A pamiętasz, coś mówił o czerwonej rakiecie?

— Ja się obawiam, że teraz dopiero zrobi się tu czerwono...

Rozdział XII.

CÓRUCHNA.

— Rodzina Romanowów zamknięta jest w domu gubernatora tobolskiego i ani na krok z niego się nie rusza, tem bardziej, że niema tu gdzie chodzić.

Dokąd iść, gdzie się przejść, gdzie odetchnąć świeżem powietrzem? Na to pytanie w Tobolsku trudno odpowiedzieć.

Wyszedszy z domu gubernatora można iść tylko w jedną stronę, do poczty i to przeszedłszy przez zabłoconą ulicę po tańczących chodnikach z mokrych jesienią, długich desek, w których szczeliny noga często się zapada. W drugą stronę, także niedaleko, można iść tylko do rynku, brudnego do niemożliwości i cuchnącego nawozem i stęchłemi rybami z sąsiednich sklepów, przy czem też trzeba patrzeć więcej pod nogi niż rozkoszować się widokiem tej głównej ulicy z drewnianym brukiem, po którym czasami, obryzgując przechodniów błotem, uganniają podróźni w tarantasikach nazywanych także bandurami, a zaprzężonych w dzikie konie kirgiskie. Jedy-nem miejscem przechadzki jest przystań nad rzeką Ir-tyszem, gdzie zwykle przed przybyciem i odejściem pa-rowców zbiera się publiczność, aby poskakać po pomo-stach statków i otrzeć się o pasażerów. Ale teraz tam

moкро i brudno, a powietrze pełne jest Bóg wie jakich aromatów z przewożonej solonej ryby.

Myśli się o złączeniu domu gubernatorskiego z ogrodem miejskim, skutkiem czego rodzina Romanowów miałaby sposobność przechadzania się po ogrodzie. Niestety, ogród ten prawie zupełnie nie jest ogrodzony. Z jednej strony zamykają go wały z brudnym kanałem; na wałach stoją działa, kto wie, czy nie z czasów Jermaка. Z drugiej strony jest rozsypujący się płot, dzielący ogród od rynku, tak zabloconego w jesieni, że rzadko kto odważy się wjechać w tę topiel.

Helenka przestała czytać.

— Słyszysz Wojciechu? Ty śpisz?

— Nie, słucham... Głowa mnie boli, nie mogę mówić...

— Na jaki koniec im przyszło... Ze świetnych pałaców do takiej dziury...

— A ta straszna niepewność...

— Co z nimi zrobią?

— Zabiją ich.

— Całą rodzinę?

— Wytną. Nie znasz Moskali. Oni nie wiedzą, co to szlachetność. A zresztą — Mikołaszka był może szlachetny? A cesarzowa — zdrajczyni! Słuszną ją spotka kara...

— Ale cóż dzieci winne?

— Ha, miały przyjemności, teraz będą miały przykrości... Dziwnie się rewolucja francuska powtarza.... On słaby, ona zdrajczyni. — Wszystko to już było...

— A czytałeś, jak strasznie znęcają się nad ludźmi z najbliższego otoczenia cara?

— Nie nie czytałem. Cóż tam takiego?

— W Piotrogradzie otrzymano informacje o ciężkim położeniu, w jakim znajdują się zamknięci w twierdzy Sweaborgskiej emigranci-monarchiści: Wyrubowa, Manasiewicz-Manujłow, Glinka-Janczewiecki i Badmajew.

— Ten znachor tybetański... Ciekawe, jaką rolę ten człowiek odgrywał na carskim dworze...

W szczególnie ciężkich warunkach jest Wyrubowa, cierpiąca na serce. W tych dniach twierdzę Sweaborską wizytował członek komitetu wykonawczego piotrogrodzkiego sovietu robotniczych i żołnierskich delegatów, senator Sokolow, który oświadczył emigrantom, że Rząd Tymczasowy uznaje ich aresztowanie za bezprawne, że jednak z przyczyn politycznych obecnie ująć się za nimi nie może. — Jakże to? Więc któż ich aresztował?

— Marynarze na własną rękę. Czytaj dalej.

— Garnizon twierdzy Sweaborgskiej oświadcza, że zgadza się na wypuszczenie aresztowanych tylko pod tym warunkiem, iż powstanie Rząd Tymczasowy z bolszewikami na czele. Garnizon traktuje aresztowanych jak katorżników, co szczególnie odbija się na Wyrubowej. Mówią, że bojąc się, iż ją zabiją, prawie codzień się spowiada. Pod twierdzą często zbierają się marynarze, którzy grożą, iż się z aresztowanymi rozprawią. Miejscowe soviety oświadczyły, iż nie wypuszczą aresztowanych, dopóki rząd nie przejdzie w ręce rad żołnierskich i robotniczych. Komenda twierdzy, zdając sobie sprawę z tego, iż życie aresztowanych jest w niebezpieczeństwie, wszelkimi siłami stara się o wywiezienie ich do innego miasta. Marynarze zażądali, aby ich delegacja mogła być obecną przy wydawaniu obiadu aresztowanym, domagając się zapłaty za obiad, ponieważ

państwo nie powinno tracić pieniędzy na kontrrewolucjonistów. Widzenie się z krewnymi dozwolone jest tylko w obecności marynarzy. — Jacy to twardzi, źli ludzie! — dodała Helenka.

— Taksamo kiedyś postępowano z nimi. Któż ich tego nauczył? Są tacy, jakimi ich zrobiono. A teraz słuchaj, opowiem ci, co wczoraj opowiadał jeden Czech, który wrócił z Piotrogradu. Czech był w Wyborgu, posłany trochę na zwiady pod pozorem pertraktacji z miejscowymi sowietami. Przy tej sposobności widział, jak mordowano oficerów. Z rozkazu rady robotniczej i żołnierskiej miasta Wyborga aresztowano tych oficerów i umieszczono na odwachu. Wtem zebrała się gromada żołnierzy, którzy zażądali wydania oficerów na samosąd. Za co? Nikt nie wiedział. Wydać oficerów nie chciano, żołnierze zaczęli grozić. Przyjechał delegat komitetu wykonawczego, dalej komisarz z Helsingforsu, perswadowali, prosili — na nic. Żołnierze wpadli na odwach, wyciągnęli oficerów i zaczęli ich bić czem kto mógł — kolbami, pięściami. Niedaleko był most — tam ich zaczęli pędzić żołnierze. Czech widział, jak jakiegoś starego jenerała za nogi po bruku ciągnięto; twarz całą miał we krwi, nic nie mówił, tylko się zęgał, jak mógł.

— Zwierzęta! — syknęła Helenka.

— Zrzucali ich z mostu w wodę. Rozumie się, kto pływać umiał, chciał się ratować, a wtedy żołnierze strzelali do nich lub też dobijali ich pałkami...

— Okropność!

— A to się zaczyna szerzyć i przenosić już do miast, a nawet na wieś. Niema chleba, w komitetach aprowizacyjnych są przeważnie żydzi, którzy szachrują i kradną, ludzie się burzą. Gdzieś tam zbili członków komi-

tetu aprowizacyjnego, a w jednej wsi znowu piekli ich na wolnym ogniu.

— Nic dziwnego, że się ludzie irytują, bo to przecież straszne rzeczy! — oburzyła się Helenka — Nasza służąca chciała dostać kartkę na manufakturę prochowską. Wczoraj popołudniu stanęła w „ogonku“ — o szóstej godzinie w „ogonku“ stało już pięć tysięcy ludzi, a o północy trzydzieści sześć tysięcy. Ludzie stali tak całą noc; ogniska palili, żeby się ogrzać. Dziewczyna dopiero rano przyszła do domu zmordowana, zmęczona.

— Ja nie wiem, co to będzie. Wszystko z dnia na dzień droższe, dowóz kolejowy coraz słabszy, a tu w dodatku i wyladowywać nie chcą... W Kijowie nagromadziło się przeszło trzy tysiące wagonów z żywnością, której robotnicy wyladować nie chcą... Dotąd to jeszcze jakoś szło, teraz jest coraz gorzej i będzie gorzej... Odnosi się wrażenie, jak gdyby jakieś złośliwe ręce wszystko rozkręcały i rozstrajały... Robi się wszystko, aby tylko wywołać głód, a z tem i wybuch wściekłości, zaburzenia...

— Kierenski nie powinien na to pozwolić! — stropiła się Helenka.

— Kierenski jest błazen, demagog! Czyż nie on właśnie zniszczył dyscyplinę w wojsku, zdemontował armję? Sądziś, że on nic nie wie, że on nie widzi, co się dzieje?

— Więc czemu nic nie robi?

— Inteligencja rosyjska, widzisz, wychowana jest na Marksie i wierzy, że socjalizm musi przyjść... To jest niedorzeczność, socjalizm nie jest żadną nieuniknioną koniecznością, ale oni w to wierzą... Dlatego nie bronią się, uważając wszelki opór za daremny, zaś Kierenski, schlebając żywiołom radykalnym, chce w ten sposób zro-

bić karierę. No i gadaj z takimi ludźmi. Nawet nie widzą, że rozpalają pożar w całym kraju...

Helenka, która słuchając półuchem, przeglądała dziennik, awolowała naraz:

— A to dopiero!

— Cóż takiego?

— W raju jeromonacha Inokentja. Czytałeś?

— Nie.

— Członek włościańskiej sekcji odeskiego sowietu robotniczego Borowskij, złożył raport w sprawie jeromonacha Inokentja, którego „raj“ w bałtским powiecie osobiście zwiedził. W „raju“ tym, według słów Borowskiego, jest nieustająca orgja, rozpusta i pijaństwo. „Mateczki“ Inokentja, to młode włościanki zupełnie zepsute. Inokentij naśladuje w wielu rzeczach Rasputina. Przychodzące do „raju“ kobiety, pelzając na kolanach, całują nogi i odzież Inokentja. Jego bartóg jest siedliskiem rozpusty. We wsi są wielkie zapasy wódki. — Ładny jeromonach, co?

— To już należy do całości — odpowiedział Niwiński.

Miał swą chwilę depresji. Patrzył na żonę zniekształconą, ociężałą i coraz bardziej bezradną i myślał, że wkrótce już, oddana zupełnie dziecku, całem brzemieniem będzie mu musiała zaciężać. A tu nie tylko że życie stawało się z dniem każdym trudniejsze, ale na horyzoncie zaczynały się jeszcze zarysowywać nowe jakieś niebezpieczeństwa, nowe biedy. Rewolucja coraz szerzej rozlewała się po kraju i już widać było, że się bez krwawego pożaru nie obejdzie. A co wtedy? Jakżeż kobieta z dzieckiem to zniesie, jak przetrzyma? Ileż w tem domniemanem szczęściu kryje się nieszczęść, ciosów, cierpień, ile klęsk, ile trwogi i obaw?

— Tak, to jest życie! — powtarzał sobie strapiiony Niwiński.

I nie szemrał, rozumiejąc, że to właśnie jest życie, istota życia. Z pokorą, szczerze otwierał serce swe wszystkim trwogom, ani jednej od siebie nie odpędzał, jak gdyby gości w nich widział miłych, bo czuł, że one pogłębiają mu duszę, że ją niezliczonemi niemi trosk i nadziei łączą ze światem i że torują drogę zwycięstwu, które — wierzył — przyjść musi.

Ta nieustająca walka kosztowała go jednak wiele. Nie łatwo było przyzwyczaić się do natężenia myśli, odgadującej o kilka miesięcy naprzód wypadki i możliwości — a tylko w ten sposób mogła się udać obrona, można się było przygotować tak, aby to najgorsze nie zaskoczyło znieenacka. Najmniejszy błąd karał w przyszłości głodem, chłodem lub jakimś strasznym niebezpieczeństwem. Niwiński, zmuszony tym strasznym możliwościami w twarz patrzeć i w oczy zaglądać, aż zęby nieraz zcinał z trwogi, takie to były wizje okropne. Gracz, który przegrał majątek i z domu w świat wędruje z rodziną, pogorzelec, ostatni nędzarz, człek nieuczciwy, dotknięty palcem bożym i ścigany przez sądy ludzkie, bogaczem był w porównaniu z Niwińskim i tem, co mu przyszłość mogła zgotować. Bo ta czerwona, rewolucyjna przyszłość, przyszłość, niosąca sąd i wyroki pokrzywdzonych, nie miała w sobie nic, prócz zielonych błysków nienawiści, gniewu i śmierci. To Niwiński wiedział, a nie znał sposobu, jakby wyprosić od kary swą niewinną żonę i dziecko. Bo jawnem było, że tu przyjdzie kara, kara za grzechy dziadów i ojców.

— Jednakże co mnie może to wszystko obchodzić?
— myślał czasem Niwiński. — Czy ja jestem Moskal?

Fakt cierpienia był niezaprzeczony. I Niwiński czasem przychodził do przekonania, że w ten sposób, przez wspólne cierpienia, uzyskuje pewne prawa do Rosji, do olbrzymiego rosyjskiego społeczeństwa. Nie będzie tu chyba obcym...

— Ale co mnie do Rosji! — oburzał się.

W duszy zaś czuł, że nie tylko nie należy się tych praw wyzbywać, ale że one stanowią jego zdobycz. Bo wszędzie, gdzie dzieje się coś ludzkiego, człowiek powinien mieć swoje prawa.

I myślał, że przecie kiedyś z tego chaosu i zamięszania, z tych okrutnych wybuchów, z nienawiści i zemsty wyjdzie nowa Rosja, to znaczy, odnowione społeczeństwo rosyjskie, czystsze i lepsze. Marzył, że ono nie będzie już kalem narodów, ale zdobędzie się wreszcie na czyn tej miłości, jaka w rosyjskim sercu być może. Bo ostatecznie niema ziemi bogatszej i bardziej obfitującej we wszystko i mieszkańcom tej ziemi zgoła niepotrzebnem jest pchanie się ze zgiełkiem wojennym w ziemie cudze. A tedy, jeśli z tego piekła kiedyś uczyni się nie już zaraz raj na ziemi, lecz dom przyzwoity, w którym ludzie będą żyć w zgodzie, to czyż do tego nie przyczyniły się i jego, Niwińskiego, cierpienia? I tak po latach, jadąc może wygodnym, jak dawniej, pociągami do Moskwy i rozmawiając z młodszymi ludźmi, będzie mógł im powiedzieć:

— Ja pamiętam te czasy i pamiętam te wszystkie cierpienia. Wasza nowa ojczyzna i z mojej męki wyrosła...

Takto Niwiński jednał się w duchu ze światem, cierpiąc zresztą dotkliwie. Bo oto jakiś sprytniejszy konkurent ubiegł go i pozbawił go odbiorców, przez co Niwiński poniósł grube straty. Wypowiedziano mu mie-

szkanie, a nowego nie miał. Wyprawka kosztowała dużo. Środki wyczerpywały się, położenie stawało się bardzo trudne, w niedalekiej perspektywie prawie bez wyjścia.

I przyszedł taki czas, że Niwiński zupełnie już nie wiedział, co począć. Dzienniki przynosiły różne ciekawe wiadomości, ludzie opowiadali jeszcze ciekawsze rzeczy, ale to wszystko było niczem w porównaniu z przytłaczającą troską dnia powszedniego. Niwiński wiedział tyle tylko, że jest jesień, że liście z drzew lecą, że drzewa obumierają, że coraz smutniej robi się na świecie i że jest sam i znikąd nie może spodziewać się pomocy, choć jej potrzebuje.

Udając, że załatwia interesy, uciekał z domu. Długie godziny przesiadywał na ławce, na ulicy. Przed nim defilowały tysiące przechodniów, migając szybko i bezpowrotnie — jak cienie. Za nim dudniały ciężkie wozy ciężarowe, ciągnięte przez perszerony rosyjskie, włochate i olbrzymie „bitiugi“, wstrząsały domami w posadach „gruzowiki“, ryczały i gwizdały samochody, dzwoniły tramwaje, chrzęściły jasnym trylem dorożki — a on siedział wśród tej wrzawy i zgiełku wpatrzony w siebie, w czarną głęb swej duszy i w powolne, leniwe ruchy swych przeczuć, wypelzających z otchłani jakichś zmroków półświadomych, jak węże ze studni.

Kiedy tak siedział raz w mglisty, jesienny wieczór, nadszedł Ryszan. Młody człowiek przysiadł się do niego, zaczął rozmawiać o polityce, o wojnie, o rewolucji, a potem przeszedł do spraw osobistych kuzyna. Niwiński rozżalony i przygnębiony, rozgadał się. Chłopak słuchał, głową kręcił, kłął, a wreszcie rzekł poprostu:

— Trapisz się, krew sobie psujesz, a to nie warto. Co się tyczy mieszkania, to ci je mogę dać zaraz. W hotelu

„Praga“ mieszka mój przyjaciel, Wilimek. Ma pokój w oficynie, nie frontowy, ale właśnie doskonały dla ciebie, bo jest osobno i żona twoja nie będzie krępowana. Z pieniędźmi jest trochę gorzej, ale przecie tysiąc rubli mogą ci pożyczyć.

— Ty sam z pewnością potrzebujesz!

— Widzisz, z dawniejszych czasów miałem parę doskonałych lornetek... To na froncie... Było też parę rewolwerów... Sprzedałem. A zaś my, oficerowie, mamy pewien kredyt w Banku Czeskim, któryśmy niedawno założyli... Więc ja sobie poradzę... A tobie teraz trudniej...

I odliczywszy dziesięć banknotów po sto rubli, podał je Niwińskiemu.

— Co do mieszkania, to ja Wilimkowi powiem, żeby się sprowadził do mnie zaraz jutro. Poślę mu Woborę po rzeczy i koniec. Tylko ty nie daj się wykiwać. Zresztą — zapowiem w administracji hotelu. Oni cię tam już znają, administracja hotelu jest czeska. A teraz — nie martw się już i chodź ze mną. Kupimy sobie wina. Znalazłem tu jeden pogrzeb (pogreb — po rosyjsku piwnica), znakomite wino tam mają, kachetyńskie...

— Pan Bóg się przecie ludźmi opiekuje — myślał rozrzewniony Niwiński, idąc z Ryszanem.

Zaraz na drugi dzień przeniósł się do hotelu.

A w parę dni później nadeszła chwila.

Świtało, kiedy Helenka obudziła męża.

— Już! — szepnęła mu drżącymi wargami.

Wstał natychmiast, ubrał się prędko i sprowadził żonę nadół. Miał dla niej zamówiony i przygotowany osobny pokój w szpitalu miejskim.

Dorożki nie było. Musieli iść piechotą.

Szli powoli.

Hela jęczała zcicha, a chwilami przystawała i chwy-

tając się go kurczowo za ramię, syczała. Miała twarz jakby zamyśloną, a oczy jej wpatrzone w coś niezmiernie odległego, biegały po murach domów, niby szukając czegoś za niemi.

Prypadkiem nadjechała dorożka. Niwiński zatrzymał ją, pomógł wsiąść żonie i kazał powoli jechać do szpitala.

Gmach szpitalny, biały i cichy, stał w głębi obszernego ogrodu. Nie było tu ani słychać, ani widać miasta. Wśród cichych, pożółkłych drzew panował spokój, pelen jakby nabożnego, modlitewnego skupienia.

W szpitalu było wszystko proste, białe, czyste, celowe. Dużo powietrza, światła, w wielkich, rzekłbyś, klasztornych korytarzach, żywy ruch krzątających się żwawo kobiet w długich, białych fartuchach. Gdzieś daleko płacz dzieci, nie zawodzący, chory, bolesny, lecz raczej naiwny, zabawny, do wesołego śpiewu podobny.

Żonę mu odebrano. Pożegnała się z nim szybko, trochę obojętnie, sobą już tylko zajęta, jak gdyby dumna, że gra główną rolę, że wszyscy koło niej się krzątają.

Rozstawszy się z żoną, Niwiński wyszedł i czas jakiś chodził po cichym ogrodzie. W duszy jego działo się coś, czego nigdy jeszcze nie przeżywał, nie doświadczał. Było to jakieś niewypowiedzianie radosne przeżucie, a zarazem niepokój, wzruszenie słodkie, łagodne, pełne miłości i roztkliwienia dla wszystkiego, co żyje; dla biednej trawy jesiennej, dla czarnych, pocziwie sękatych i szorstkich pni drzew, dla liści schnących, dla kamyzków skrzypiących pod nogami.

Słońce weszło i jego skośne, słabe jeszcze promienie, rozświetliły długie aleje, zrywając z nich leciutką mgiełkę, która trzymała się murawy, krzewia i żywopłotów. W powietrzu zrobiło się tak jasno, wesoło, barwnie

i żywo, iż Niwińskiemu zdawało się, że promienie słoneczne dzwonią lub śpiewają. A naraz w tę nieledwie grającą jasność wpadł krzyk kobiecy, wysoki, ton wzięty pełną piersią, długi, — silny, szczery i niezmiernie dźwięczny, tak dźwięczny, że Niwiński aż stanął i słuchał, zdumiony, z głową na bok przechyloną. Rozumiał, że to w bólu kobieta rodzi — i ból był w jej krzyku, ale ten krzyk nie samym bólem tylko drgał. Była to jakby fanfara trjumfalna nowo rodzącego się życia, była to pieśń zwycięstwa, okupionego bólem, dźwięczny ton, zrzuty w twarz śmierci.

— O, jakież to jest cudowne! — pomyślał Niwiński. — Gdybym był prawdziwym poetą, napisałbym poemat o tych wylęgarniach ludzkich, o tych przystaniach, do których, ze zlocistego raję po błękitnych falach eteru płynące, zawijają ukwiecone łodzie z duszyczkami dzieci, mających się narodzić.

Kazano mu przyjść na drugi dzień.

— Przyszedł — i zastał koło łóżeczki kołyskę.

— Córka! — szepnęła żona, niespokojnie patrząc mu w oczy.

— Bardzo się cieszę — odpowiedział z uśmiechem. — Zawsze lubilem kobiety.

— Myślałam, że będziesz wolął syna...

— Sam byłem synem i wiem, co to za przyjemniaczki...

Pochylił się nad kołyską, musnął dłonią drobniutką, pomarszczoną buzię — i zamyślił się.

Po dłuższej chwili żona zapytała go o coś — nie odezwał się. Spojrzała na niego, że tak jest w myślach pograżony, iż nie widzi, nie słyszy. Pochylony nad kołyską, wpatrzony w dziecko, myślał z takim natężeniem, że aż poczerwieniał.

A zaś on obliczał swoje siły, bo zaczynał do głębi duszy rozumieć, że spada na niego obowiązek, który się już do samej śmierci nie skończy.

— Tem właśnie jesteśmy silni, że mamy obowiązki — powtarzał sobie w duchu.

— Czy podolasz? — wołało sumienie.

— Będę się bronił do ostatka sił, póki nie padnę.

— O, nie! Ty możesz paść — ale oni żyć muszą!

— Więc i po śmierci jeszcze?

— Na całą wieczność.

Młody ojciec zamknął oczy i patrzył duszą.

Ciemno i źle było na świecie. Zewsząd nadciągały czarne chmury. Na horyzontach rozpałały się wulkany wściekłości i gniewu. Ludzie zdziczali uganiali po świecie z karabinami w rękach, mordując się bezlitośnie. Kogoś tam palono żywcem, kogoś obdzierano ze skóry. Życie ludzkie przestało mieć wartość, ludzie gaśli, jak światce, nieobliczalne jakieś siły kruszyły wszystko, co było, zdawało się, z otchłani ziemi wydobywały wciąż nowe stada ludzkie i rzucały je w ogień, krew i chaos, na jednego. Jakże tu przez taką krainę przejdzie ich troje, jakże on z tego piekła wyprowadzi kobietę z dzieckiem? Wszakże ten huragan zniszczy ludy całe, a on, człowiek słaby, ma odwagę myśleć, że się mu obroni?

— Muszę!

Dziecko poruszyło się i zaczęło płakać.

— Podaj mi dziecko! — odezwała się Helenka. — Ono głodne!

Wziął delikatnie na ręce małą, krzyczącą odrobinę ludzką. Ciepło małego ciała przeszło mu w dłoń, elektryzującą iskrą podpłynęło mu do serca.

Uśmiechnął się:

— Córuchna!



Rozdział XIII.

KRWAWA FALA.

Niwiński wkrótce przyzwyczaił się do mieszkania w hotelu. Miał wrażenie, że mieszka w jakimś małym miasteczku. W „hallu“ i w „szwajcarskiej“ wiecznie tłumiли się chłopcy, których czasami bywało pięciu. Dobrze trzymani w rękach przez szwajcarów, weseli, sympatyczni, wcale uprzejmi i chętni, znosili cierpliwie, kiedy się gość irytował, błaznowali z dawniej sobie znany. Dwóch szwajcarów w granatowych żupanach ze srebrnymi gałonami dyżurowało na przemiany w „szwajcarskiej.“ Jeden był stary, siwy, z dobroduszną miną i chytrze mrugającymi oczami, drugi młody jeszcze, sztywno wyprostowany, z nadętą gębą, czarnymi oczami i czarną brodą, śmieszny w poczuciu swego dostojęstwa, przypominał Niwińskiemu jakiegoś profesora matematyki z lat szkolnych. Chłopcy, przeważnie w ciemnoczerwonych jedwabnych „rubaszkach,“ przepasani pasami rzemiennymi, rozbijali się po hotelu, oczywiście próżnując i wzajemnie wszystko na siebie zwalając. Piąty, Iwan, cały dzień spędzał w ciasnej windzie, wożąc gości na górne piętra. Ponury, zezowaty, ubrany czysto ale bez elegancji, jeżdżąc wciąż nadół i nagórę zamknięty w ciasnej skrzyni zwierciadlanej, nudził się

i z przyzwyczajenia zabawiał się przygiąganiem się gościom, których jednak odczuwał nie wprost, ale w lustrze, odwracając się od nich i smiech pokrywając ziewaniem. Widać jednak wnioski, do jakich na podstawie swych spostrzeżeń doszedł, nie były dla ludzkości bardzo pochlebne, bo Iwan patrzył na ludzi ze złością i złe ukrywaniem wstrętem. Czasem, kiedy w jasno oświetlonej windzie jechał na górę po któregoś z gości, jego czarna, niezdarnie poruszająca się sywetka przypominała małpę w klatce.

Do pokoju państwa Niwińskich szło się z głównego korytarza przez mały pokój dla służby, w którym stale siedziała pokojówka, niemłoda już kobieta o złej twarzy, służący w mundurze wojskowym i chłopak, Grisza, nadęty, mrukliwy, z włosami napomadowanymi i uczesanimi w równiutki rozdział. Jak to Niwiński zauważył pokojowa miała chłopca w swojej opiece. W pokoiku tym stały tapczany, stoliki z samowarami i brudnymi talerzami, zaś na ścianie wisiał obraz przedstawiający drzewo złego i dobrego, w którego cieniu po jednej stronie kwitła szczęśliwość ludzi żyjących uczciwie, zaś z drugiej w ohydnych barwach widniała nędza, rozpusta, pijaństwo, rozbój i szubienica. Scenę przedstawiającą rozpustę czyjaś ręka uzupełniła nieprzyzwoicie atramentowym ołówkiem. Najczęściej można było zastać w pokoiku Griszę, mażącego sobie głowę pomadą przed lustrem lub czeszące się.

Państwo Niwińscy mieszkali właściwie w części przeznaczonej dla służby, w pokoju byłego zarządzającego. Helenkę to drażniło, ale mąż przekonywał ją wciąż, że tu jest najwygodniej. Istotnie, tak było. Tu nikomu nie przeszkadzał płacz dziecka, tu swobodnie można było gotować na „Primusie“, a nawet kąpać dzie-

cko bez obawy zachłapania dywanów. W sąsiedztwie mieszkała tylko szafiarka, Czeszka, stara panna zawędła i niewątpliwie złośliwa, ale uprzejma, zaś obok niej maśliczki pokoiczek zajmowała kelnerka, złotowłosa Łotewka, zawsze bardzo elegancko — poza służbą — ubrana i nocę spędzająca przeważnie poza domem, prawdopodobnie w pierwszorzędnym restauracjach.

Pokój Niwińskich był duży, biały i jasny, umeblowany skromnie, ale dostatecznie. Z okna widać było na prawo jakiś wielki czarny dom z obszernym i długim balkonem na pierwszym piętrze — nudny i banałny. Nawprost widziało się dwa niezbyt czyste podwórka kijowskie z drzewami, sagami drzew i biegającymi dziećmi, włączającymi się po kątach. W głębi, za jednopiętrowym, żółtym domem z wypłowiałym, ciemno-czerwonym dachem blaszanym, wznosiła się wielka, czteropiętrowa kamienica, a z poza niej strzeiała biała wieża i złota kopuła cerkwi św. Zofji. To było piękne. Prócz tego, w luce między domami świeciła jeszcze jedna złota ma-kówka, za czerwonym dachem druga, sam koniec tylko ukazująca. Jeszcze bardziej na lewo widniały trzy złote kopuły i kilka mniejszych cerkiewki, stojącej na małym placu, drzewami — teraz już zrudziałemi — otoczonej. Na placu widać było ludzi skulonych, z powodu zimna szybko biegnących.

Niwińskiemu schodziło teraz życie na nieustannych walkach o mięko sterylizowane, o gorącą wodę dla dziecka i o tym podobne drobiazgi. Sam w menażkach nosił obiady z niedalekiej jadłodajni prywatnej, a prócz tego, pamiętny, że „i tysiąc rubli“ ma swój koniec, szukał zarobku. Kwaśniał w tem wszystkiem, bo i żona, zmęczona znów karmieniem i wstawaniem w nocy do dziecka, w dalszym ciągu była opryskliwa i skłonna do

klótni. Ze jednak właściwie niczego jej nie brakowało a dziecinka zdrowa z każdym dniem robiła się ładniejsza i coraz jaśniej zaczynały błyszczeć jej czarne oczęta, więc Niwiński w gruncie rzeczy niewiele sobie ze swych domowych kłopotów robił.

Gryzł go jednak niepokój wewnętrzny.

Jakto? Więc koniec na tem? Więc już nie niema temi czterema ścianami i mdłym zapachem pieluszek w powietrzu?

Mało wiedząc co się działo na świecie, uciekał do kawiarni po nowinki. Złe się działo. Niemcy pchali się w zatokę ryską, równocześnie zaś wybuchły w Rosji pogromy agrarne i żydowskie.

Raz zastał Niwiński w kawiarni Szydłowskiego i Ryszana, który przyprowadził ze sobą znajomego oficera, kozaka. Ponieważ oficer był z frontu, chętnie go widziano.

Kiedy Niwiński się przysiadł, Szydłowski właśnie mówił:

— W północnych gubernjach jest niewątpliwie głód i dlatego tam rozbijają... Zresztą żydzi tak dokuczili spekulacją, że naród bezbronny nie wie już, co począć — stąd pogromy. A pogromy agrarne i niszczenie wielkich majątków, to proste następstwo fałszywego postawienia kwestji agrarnej.

Kozak potrząsnął głową przecząco.

— Mylicie się, jeśli sądzicie, że to tylko wybuchy niezadowolenia lub zwykła sobie grabież rozzuchwalonego chłopstwa. Przez pięć miesięcy z garstką wiernych żołnierzy z dzikiej dywizji....

— A, wy z dzikiej dywizji?

— Tak. Otóż pięć miesięcy ja ze swymi „gorcami“ powstrzymywałem od pogromów i gwałtów bandy w po-

wiecie mohylewskim i jampolskim. Uratowałem w ten sposób zboże i urodzaj. Wreszcie nie stało sił do walki z narodem, który nie ma ani sumienia ani wstydu. Przeciągające przez te powiaty oddziały wojsk zmiatają wszystko z powierzchni ziemi, niszczą zasiewy, bydło, drób, rozbijają państwowe składy spirytusu, upijają się i palą domy nie tylko obywateli ziemskich, ale i chłopów. Pogromy te mają charakter akcji zorganizowanej. W powiatach jest zupełna anarchja. W każdej wsi chlopi pędzą wódkę, czemu nie można przeszkodzić z powodu wielkiej ilości uzbrojonych dezterterów. Agitacja pogromowa rośnie z każdym dniem. Podole — jedna z najżyźniejszych gubernji — ginie. I nikt tego kraju nie ratuje...

— Was odwołano już z frontu?

— Tak. Ponieważ korpus wraca na Kaukaz, ja odprowadzam swój oddział. Powiat zostanie bez obrony.

— A słyszeliście panowie co o tych jakichś dwóch korpusach, które podobno z artylerją i karabinami maszynowemi idą na Kijów?

— Idą na Kijów? Korpusy? To może zbyt konkretnie powiedziane...

— Tak... Przesadne — potwierdził oficer. — Ale że ta fala grabiącego i gromiącego żołnierstwa pod Kijów może podejść, to jest prawdopodobne...

To znów przyjechał z prowincji Ziembra wściekły, zmordowany, zbity i okradziony.

— A cóż się panu stało? — śmiał się z jego oburzonej miny Niwiński.

— Czekaście, opowiem wam to szczegółowo. Na stację Woskriesiensk, na linji moskiewsko-zjazańskiej...

— Toś pan teraz znowu w Moskwie był? — zapytał Szydłowski, chciwy nowości politycznych.

— Gdzieś był, tam był, mniejsza z tem, dość na tem, że na stację Woskriesiensk zajechał pociąg wojskowy ze zdemobilizowanymi żołnierzami. Okazało się, że tor nie jest wolny, skutkiem czego chciano „eselon“ narazie odstawić na tor zapasowy. Kiedy się żołnierze o tem dowiedzieli, wybuchnęła awantura. Przyszli do maszynisty i kazali mu jechać dalej. Chłop mówi: Bójcie się Boga, na pociąg wpadnę — ale, co, po mordzie go —

— Naturalnie! — mruknął Szydłowski

— i dalej do dyżurnego urzędnika na stacji. Karabiny przystawili do piersi, ryczą i żądają natychmiastowego ekspedjowania pociągu. Urzędnik perswadował, prosił — rozbili mu głowę kolbą rewolweru... Zrobiła się okropna awantura i nie wiadomo, czemu się skończyła, gdyby naraz nie nadjechał był pociąg osobowy... Ledwo zajechał przed stacją, już z wyciem i wrzaskiem rzuciły się nań tłumy żołdactwa. Trudno opisać, co się działo... Dźwięk szkła, sypiącego się z rozbijanych okien, trzask łamanych ram i drzwi, krzyk przerażonych pasażerów, kobiety piszczą, dzieci płaczą, żołdactwo klnie! Żołnierze pchali się dosłownie drzwiami i oknami, deptając dzieci, dusząc ludzi... Ledwo się żywy z tej kaszy wydostałem... Rzeczy mi przepadły, nikt rzeczy wziąć nie mógł ze sobą... W naszych oczach żołnierze się niemi dzielili... Powyrzucali pasażerów, rzeczy im zabrali i pojechali...

Uroczyscie uczczono w Piotrogradzie rocznicę Kościuszki, która też przyniosła fakt dość miły. Oto minister spraw zewnętrznych, Tereszczenko, na uroczystości Kościuszkowskiej oświadczył imieniem Rosji i sojuszników, że nie złoży się broni, dopóki się nie stworzy Polski wolnej i niepodległej. Oświadczenie to zrobiło w ko-

łach polskich dobre wrażenie i choć niewiele sobie po nim obiecywano, dodało w tych ciężkich czasach otuchy.

Rocznicę Kościuszki obchodzono w Kijowie uroczystości i dopiero wówczas pokazało się, jakie to jednak jest polskie miasto. Zamknięto wszystkie polskie sklepy, restauracje i kawiarnie — to znaczy zamknięto prawie wszystkie przyzwoitsze lokale w mieście. Na ulicach gęsto rozlepione były klepsydry z nazwiskiem Kościuszki i z zaproszeniem na nabożeństwo żałobne. Idąc na to nabożeństwo Niwiński spotkał oddział polski, konwojujący starc, bojowe sztandary polskie, przed którymi z całą przyjemnością zdjął kapelusz. Urządzono też akademję, ale na tej już Niwiński nie był, bo pokazało się, że komitet bilety rozsprzedał swym znajomym i protegowanym, tak, że zostały tylko bilety najdroższe.

A raz, wieczorem, wracając od któregoś ze swych dostawców do domu, znowu był świadkiem dzikiej sceny. Oto ogromny, huczący tłum obiegł pomieszczenie policji dzielnicowej i z krzykiem domagał się wydania jakichś aresztowanych.

— Kogo oni się domagają? — spytał Niwiński.

— Dwuch „żulików“ kogoś nożami poraniło — chcą nad nimi samosąd zrobić — odpowiedział ktoś.

Fala ludzka uderzyła w Niwińskiego, porwała go i rzuciła w drzwi. Drzwi pękły, wrzeszcząca fala wlała się do wnętrza budynku. Ktoś krzyczał. Komisarz policyjny wołał:

— Nie dam kluczy, wam nie wolno, nie macie prawa!

— Siłą wziąć! Siłą!

Ze dwadzieścia ramion wyciągnęło się do komisarza. Chłop był rośli i mocny — bronil się, ale okropny polip oplatał go i skrępował w swym uścisku. Czyjaś

dłoń szybko zaczęła przetrząsać jego kieszenie.

— Niema kluczy! Schował!

— Nie macie prawa! Sąd ich będzie sądził!

— Naród sam chce sądzić!

— Łamaj dwier!

Wylamano drzwi.

— Ach, czorty!

— Bierz ich! Trzymaj! Gdzie są? Pod „narami“ siedzą, pod „narami!“ Wyciągnąć ich. Ahaaa! Są! Bierz ich! Dawaj siuda! Niet, nie bij, na dwor z nimi, niech naród sam sądzi!

Wyprowadzono dwóch oberwańców, drżących, nieprzytomnych ze strachu. Tłum posypał się za nimi w groźnem milczeniu. Już w bramie padło kilka uderzeń. Któryś z nieszczęsnych skazańców zawył i belkując błagał, aby mu darowano życie. Kaci milczeli, a dopiero wyprowadziwszy wyrostków na ulicę, zaczęli bić — wszyscy, kto mógł dosięgnąć. Masa ludzka, czarna w żółtym blasku lamp, zaczęła się klębić, a niby strumień gorącej krwi, strzelił z niej straszny, przerażający, opętany krzyk.

— Konnica! Konnica! — rozległy się wołania.

Przypadli milicjonerzy konni.

Tłum pierzchnął natychmiast.

Na bruku przed lokalem policji leżały dwie bezkształtne, mokre bryły. Jedna z nich dawała słabe oznaki życia. Przeniesiono ją do sieni i zatelefonowano po karetkę Pogotowia Ratunkowego. Ale Pogotowie odmówiło zlynczowanym pomocy. — Napadną nas po drodze, rannych odbiją, a i nam się jeszcze dostanie.

Tego wieczoru Niwiński kupił dwie butelki wina i wypił je sam, w „numerze“ pewnego znajomego, w ho-

telu. Wciąż stała mu przed oczami ohydna scena. Coraz częściej dziki zwierz budził się w tłumie:

Na drugi dzień opowiadał o samosądzie znajomym w kawiarni „François.”

— Nie ulego najmniejszej wątpliwości, że naród dziczeje — mówił Szydłowski. — Oto statystyka pogromów, jak ją podaje socjal-rewolucjonista Oganowski: W marcu 1917 ilość pogromów była minimalna, w kwietniu nieznaczna, w maju wzrasta, od dwudziestego czwartego do trzydziestego pierwszego maja naliczono sto jedynaście pogromów, a od szóstego do dwudziestego czerwca zarejestrowano pogromów dwieście dwiędziesiąt siedem. Oto rezultat rządów Kiereńskiego. A równolegle idzie też upadek ekonomiczny. Odzienie-gdzie ludzie powracają do handlu zamiennego.

-- Więc do czegoż to dojdzie?

— Trudno przewidzieć. Organizm rozstraja się, co było, ginie...

W tem rozległy się jakieś krzyki, klątwy, groźby, szamotania, a po chwili z trzaskiem otwarły się drzwi, wiodące do sali bilardowej. Sala ucichła, a wówczas z tych drzwi blysnęło rwące „torrento“ „macierzyńskich słów,“ odgłos razów, czyjeś słowa oburzenia, wykrzykiwane drżącym ze strachu głosem, ktoś się szarpnął — i naraz wyskoczyła z sali bilardowej jakaś figura, pędem pomknęła przez kawiarnię i wypadła na ulicę tak gwałtownie i tak szarpnąwszy drzwiami, że aż szyba z nich wyleciała. Za tą figurą biegło kilku młodych ludzi, których jednakże zatrzymano.

— Radi Boga, gaspada, takoj skandal, kakże można, gaspada, wied’eto komisar! — mitygowała służba.

— Plewať mnie na waszych komisarow! On komisar a ja jewo pa mordie bit’ budu kogda zachaczu!...

Trwało parę minut, zanim wzburzeni młodzi ludzie uspokoili się.

— Co się stało? Co to za awantury? — pytał Szydłowski garsona.

— To był komisarz miejski Dorotów, który „nakrył“ jakichś panów przy hazardzie. On im kazał przestać grać, a oni go „obrugali“ i zbili, a jego towarzysza chcieli zabić. Ledwo im się uciec udało. Jeden uciekł „czarnym chodem,“ a drugiego państwo widzieli.

— Otóż i władza. Szulerzy komisarzy po gębach biją.

— A tymczasem, bolszewicy, tolerowani przez Kiereńskiego, radzą i gospodarują w Smolnym — mówił Ryszan, który w ostatnich czasach często jeździł do Piotrogradu. — Warto widzieć takie posiedzenie!

— Pan widział?

— Owszem, byłem w Smolnym.

— No to gadaj-że pan! — przysunął się bliżej Ziemba — Toż to ogromnie ciekawe!

— „Rugają“ się bezustanku jak „izwoszcziki.“ Pamiętam, ktoś puścił paskudną insynuację przeciw jednemu z oponentów. Oponent chciał się bronić — ale Trockij bez żadnych ceremonij odebrał mu głos. Wrza-
wa, kłótnie, ktoś krzyczy „Trockij — padlec!“ Bolszewicy zerwali się, ryczą, chcą kogoś zlynczować. Ci uciekają, wymykają się za drzwi, tamci gonią, biją pięściami w pultry, odgrażają się komuś, zgietk, gwizdanie, wycie... Z Trockiego-przewodniczącego robi się przywódca rozwścieklonej, nieopętanej bandy... Takie to jest posiedzenie... Widziałem też „sowieci“ w Kaludze, gdzie miejscowi bolszewicy zajęli byłe generał-gubernatorstwo. Posiedzenia odbywali tam w wielkiej sali przyjęć, nonieważ jednak sala im na ich mityngi nie wystarcza-

ła, więc rozbili ścianę sąsiedniego pokoju. Teraz zamiast ściany jest zwykła dziura. Piece się skutkiem tego rozwalily, sufit się zarysował... Pękać ze śmiechu! Małpy nie ludzie!

— A jednak oni doskonale wiedzą, czego chcą — pokiwał głową Szydłowski.

— Jedyni w Rosji, którzy wiedzą, czego chcą! — zgodził się Ryszan. — Musimy z nimi utrzymywać jakieś stosunki — na wszelki wypadek — i otóż wiem, że oni mówią zupełnie dorzecznie.

— Tak jak teraz jest, to to się przecie utrzymać nie może! — rzekł Ziomba. — Musi przyjść coś innego...

— Więc jednak przyjść musi?

Rozdział XIV.

PIERWSZE STRZAŁY.

Był mglisty, dżdżysty dzień; koniec października. Niwiński, posępny i chmurny, siedział w wielkiej sali kawiarni hotelowej.

Właśnie pokłócił się z Ziembą.

Ponieważ z powodu znajomości języka, psychologii i stosunków z Czechami odgrywał jakby rolę łącznika między nimi a organizacjami polskimi, obie strony zgłaszały się do niego z różnemi interesami. Otóż pewien czeski oficer werbunkowy, powołując się na zawarty niedawno układ czesko-polski, zabraniający Czechom przyjmować do swych wojsk ochotników-Polaków, prosił go o wstawiennictwo za niejakim Liszczakiem, jeńcem, byłym żołnierzem austriackim, który po kilku latach służby w wojsku czeskim, miał teraz być wydany.

— Tymczasem, jako jeńca, byłego żołnierza austriackiego, do korpusu polskiego przyjąć go nie chcą — tłumaczył Czech — i w ten sposób ten człowiek po kilku latach walki z Austriakami i Niemcami będzie musiał teraz wracać do obozu dla jeńców między Szwabów i żywioly austrofiłskie. Pomyślcie sobie, jakie to dla niego upokorzenie i jakie on tam będzie miał życie, jako były ochotnik czeski.

Niwiński prosił o pomoc Ziembę, który się zajmował sprawami wojskowymi. Agitator wziął się za brodę, pokiwał parę razy głową, a potem rzekł, rozłożywszy ręce:

— Nic się nie da zrobić. Niech idzie do obozu dla jeńców.

Niwiński spojrzał na niego nieledwie z nienawiścią.

— To tak? To tak się postępuje z żołnierzami ideowymi, którzy, niczyjej zachęty nie potrzebując, na własną rękę nawet w cudzych wojskach idą za głosem serca...

— Co mi pan tu o sercu będziesz gadał! — grubo warknął Ziemba. — Powiedziano, że przyjmuje się tylko byłych ochotników z wojsk rosyjskich i koniec.

— Otóż ja panu pokażę, że nie koniec. Liszczak poda się za Czecha i zostanie, ale co on sobie pomyśli, kiedy się przekona, że aby mózdz bić się o Polskę, narodowości wyprzeć się musi! A pan sobie wiedz, że w ten sposób, tą tępą szablonowością swoją wy robicie bolszewików, którzy was potem wytną i będą mieli słuszość!

Ziemba obrażony, wyszedł bez pożegnania.

Przyszedł Ryszan, przysiadł się do stolika Niwińskiego.

— Dawno cię nie widziałem. Jeździłeś gdzie?

— Byłem na froncie — a potem w Boryspolu, w drugiej dywizji. Jeździłem na „poswiceni.“

— Ach, odpust świętowaclawski...

— Pułki nie mogły obchodzić go równocześnie, musiały w różnych terminach...

— Więc co? Była „weporzowa se zelim“, „knedlik“, „husa“ i „kolacze?“

— Rozumie się.

— A piwiczko?

— Chlastało się wódkę. W pierwszej dywizji urządzili ci wspaniałą żywy turniej szachowy...

— A cóżes ty sobie za kieliszki poprzyszywał znów do epoletów?

Istotnie, Ryszan naszyte miał na epoletach czerwone kielichy na czarnem.

— To idjotyczny pomysł tego kabotyna Mamontowa, który całej dywizji husyckiej dał takie odznaki...

— Ubrał was!

— On nas wogóle urządził! Pod Zborowem puścił nas w trąbę, a jak się podczas odwrotu haniebnie zachowywał... Wojsko już ani słyszeć o nim nie chce.

— Cóż druga dywizja?

— Dobra. Stoj pod Boryspolem, cztery pułki ma — praski, morawski, śląski i tatrzański... geograficzna dywizja...

— I śląski i tatrzański nawet — uśmiechnął się ironicznie Niwiński. — Zajechaliście daleko... Więc jednakże wciąż robicie wojsko?

— Im gorsze czasy tem więcej go potrzeba.

Niwiński skrzywił się gorzko.

— Hm, niema co mówić, racja zupełna.

— Nasi ludzie czują to i sami się zgłaszają. Przypomnij sobie na wiosnę, po rozbiciu Rumunji, jak się zaczęli zgłaszać. Im gorzej jest, tem więcej ich napływa, bo czują, że jeśli nie będą w kupie, przepadną...

— Bolszewizm nie grozi wam? Nie boicie się go?

— Nie. Bolszewik czy nie bolszewik, każdy Czech chce się dostać do domu i chce mieć Czechy wolne. A ustrój naszego wojska jest tak demokratyczny, że między oficerami a żołnierzami różnicy żadnej niema.

— Ale „sowiety“ zaprowadziliście?

— A czemuż nam mogą grozić „sowiety?” Zejdą się oficerowie z żołnierzami w kantinie, gadają — i masz już sowiet. A nasz „kluk“ pyskuje zawsze, tego mu nie zabronisz. Niech pyskuje. Wie dobrze, że bez dyscypliny wojska niema. U nas żołnierze mówią do oficerów „ty,” a dyscyplina jest mimo tego. Ale cóż ci ty taki pochmurny?

Niwiński wzruszył ramionami.

— Iiii.... Złe jest. Znów księcia Sanguszkę zabito...

— A, księżceni dziś być bardzo nieprzyjemnie...

— Starzec, osiemdziesiąt lat miał... Pomyśl, wielki pan, a zginął ukatrupiony jak pies przez paru parobków... Sławuta zrabowana, zniszczona... Tyle bezcennych zabytków, biblioteka... Kultura kraju idzie w diabły...

— Szkoda, że wyprowadziliście wojska z Ukrainy. Tam gdzie nasze pułki stoją, na Wołyniu, jest zupełny porządek.

— A, ba! Przecież „żubry“ same tego chciały! Bali się „drażnić“ Ukraińców...

— Aha, mogę ci powiedzieć coś przyjemnego. Czytałem okólnik Masaryka, zalecający na pierwszym miejscu współdziałanie z Polakami. Nasze władze werunkowe i inne organizacje mają pomagać.

— O, to dobrze. Może przecie uda nam się coś zrobić. Ja czuję, że jakaś chmura ciągnie na Kijów.

— To, co ja widziałem na Wołyniu, przechodzi wszelkie wyobrażenie... To jest koszmar...

— Ale i tu jest coś nie w porządku. Miasto podniecone, Kreszczatyk staje się niemożliwy do przejścia, wszędzie bandy żołnierzy, nie zwracających żadnej uwagi na oficerów, kramarze, złodzieje, hołota różna! Inteligencji prawie nie widać. Ludzie zahukani, strwo-

żeni, idą chyłkiem, z nikim nie gadając. Nasrój nerwowy, sklepy zamykają już o zmierzchu, nawet jadłodajnie.

— Coś się mówi o wystąpieniu bolszewików w Pitrze...

— Znowu? Jak będą tak wciąż próbowali, to im się wreszcie może udać.

Wieczorem w całym mieście zgasło naraz światło elektryczne.

Wybuchła panika. Komitety domowe chwyciły za broń. Świece sprzedawano po pięć rubli za sztukę. Wszyscy mówili o wystąpieniu bolszewików.

— To znaczy, niby, kto właściwie ma wystąpić i przeciw komu? — pytał Niwiński swych znajomych z komitetu hotelowego. — Taksamo dobrze i my moglibyśmy naraz „wystąpić“ i ująć władzę w swe ręce...

— Wystąpi, kto zechce! Któż będzie bronił? — mruzczał jakiś oficer.

Na drugi dzień wiadomość o zaburzeniach w Piotrogradzie potwierdziła się — mianowicie podał ją do publicznej wiadomości Agiejew, przewodniczący zjazdu kozackiego, który się właśnie w Kijowie odbywał. Mówiono, jakoby bolszewicy aresztowali w Piotrogradzie cały rząd.

Zahuczało, zakotłowało się w Kijowie. Na trzecią po południu zapowiedziano wystąpienie bolszewików miejscowych. Był to jednakże alarm fałszywy. Noc przeszła spokojnie, nie mówiąc oczywiście o zwykłej strzelaninie.

Drugiego dnia wiadomości były niepewne. Ostatnia depesza z Piotrogradu, nadana o godzinie pół do jedynastej, donosiła, iż o dziesiątej szturm do Pałacu Zimowego został odparty.

— Więc szturmują! --- wykrzyknął Niwiński, czytając gazetę.

Boiszewicy zajęli ajencję telegraficzną. Kierenski uciekł do głównej kwatery.

— A tam mu Czeremisow da bobu za Kornilowa — ucieszył się Niwiński.

Dokoła Smoleńskiego Instytutu zgromadzone znaczne oddziały wojsk. Wojska podzielone, biją się. Po stronie rządu opowiedział się „bataljon śmierci,” formacje kobiece i junkry. Lenin organizuje swój gabinet. Członkowie rządu aresztowani.

Szulgin, nazywając w swym „Kiewlaninie” gabinet Lenina gabinetem niemieckim, pisał:

— Jesteśmy przekonani, że zdrowa część Rosji nie uzna rządu narzuconego przez Niemców. „Jesteśmy pewni, że jeśli w Piotrogradzie powstanie rząd niemiecki, to gdzieindziej zorganizuje się rosyjski. A kiedy ten rosyjski rząd powstanie, poprą go wszyscy, którzy nie zapomnieli jeszcze, co znaczy słowo Ojczyzna.

— Wojnę domową zapowiada — mówił do Szydłowskiego Niwiński.

— Fiu! I jakie tu jeszcze wojny będą! To się dopiero zaczyna!

— Ładny początek!

W sali kinematografu Szancera radzili kozacy. Było duszno, nastrój panował podniecony, wyraziste, męskie głowy z gęstymi czuprynami i oseledcami, chmurzyły się.

Przewodniczący zjazdu, Agiejew, mówił:

— Niedawno temu z trybuny rady republiki ośmieliłem się w imieniu wszystkich kozaków określić ich stosunek do rządu, a również wykazać, jak kozactwo poj-

muje swoje wynikające z tego stanowiska obowiązki. W początkach rewolucji mieliśmy swobodny wybór. Mogliśmy powiedzieć, że ten rząd nie jest dla nas rządem i nie przyjąlibyśmy go. Postąpiliśmy jednak inaczej. Z własnej woli uznaliśmy ten rząd i uznaliśmy go jako jedyny w całej Rosji.

W tych dniach słyszeliśmy, że po ogłoszeniu przemnie z waszem pozwoleniem hasel: państwowości, demokracji i honoru narodowego, przyszedł do nas i połączyli się z nami Czecho-Słowacy, Polacy i georgiewski kijowski pułk. Otóż nadeszła chwila, w której musimy ich spytać: Czy wymawiając te słowa zdają sobie sprawę z tego, iż za nie odpowiedzą czynami? My, kozacy, już wystąpiliśmy przeciw bolszewikom, niechże ci, którzy tu przychodzą i mówią nam o swej solidarności z nami, stają w jednym z nami szeregu. Pójdziemy wszyscy bronić uciśnionych, ratować Ojczyznę.

Wstał jakiś pułkownik z piersią obwieszoną wszystkimi odznaczeniami św. Jerzego.

— Kirjenko, komendant kijowskiego pułku georgiewskiego.

— Panowie! — zaczął mówić z posępną twarzą. — Z niezmiernym bólem muszę wam oświadczyć, że kijowskim pułkiem kawalerów św. Jerzego ja już nie rozporządzam, ponieważ pułk ten uznał się za pułk ukraiński. Jednakże z garścią wiernych żołnierzy, którzy przy mnie pozostali, pójdę, dokąd kazecie.

Powstał zgłęb, hałas.

Wtem kozak podszedł do przewodniczącego i podał mu kartkę. Agiejew dał znak, aby się uciszono i oświadczył:

— Potwierdza się wiadomość, że bolszewicy arsztowali rząd.

A w chwilę później odczytywał przyjętą przez zjazd rezolucję:

— Wszechrosyjski, powszechny zjazd kozaków frontowych wraz z przedstawicielami wojsk, dowiedziawszy się o wystąpieniu bolszewików, postanawia: Uznawszy raz koalicyjny Rząd Tymczasowy, kozactwo wiernie dotrzyma swego słowa i nie pozwoli na to, aby ciemne siły igrzały losami Rosji. Tylko rząd, opierający się na tymczasowej radzie Republiki rosyjskiej może doprowadzić do Konstytuanty.

W tej groźnej chwili wszystkie oddziały wzywamy pod broń.

Zachodzi pytanie, w jaki sposób zakomunikować rezolucję oddziałom kozackim. Telegraf jest niepewny. Abyśmy to mogli rozważyć, musimy obradować przy drzwiach zamkniętych.

— Psiakrew, szkoda! — mruknął Szydłowski, który obradom przysłuchiwał się z wielkiem zajęciem.

— Trudno, trzeba się wynosić! — westchnął Niwiński.

— Kozacy pójdą przeciw bolszewikom! — rzekł Ryżan, kiedy stanęli na ulicy.

— Pójdą z pewnością, tem bardziej, że na nich najsilniej bolszewicy będą naciskali — zgodził się Szydłowski. — Przywódcy bolszewików mają dawne porachunki z kozakami za szarżę na ulicach, za nahażę, za ekspedycje karne... Nienawidzą ich i będą chcieli ich zgnieść... Kozacy wiedzą o tem...

— Wzburzy się Kubań, zaszumi Don — z uśmiechem mówił Niwiński.

— I bujny Terek! — dorzucił Szydłowski. — A orenburscy kozacy, uralscy, a ussuryjski kraj, a amur-

skie stancje, przymorskie... Nie łatwy to będzie orzech do zgryzienia... Oto, jak nam się zarysowuje front: Po jednej stronie bolszewicy, wspomagani przez Niemców, po drugiej żywioły nacjonalistyczne, kozacy i Ukraina... Dodajmy do tego, że Ceretelli chce mieć niezawisły Kaukaz, że się z pewnością oderwie od Rosji Finlandja... To będzie wojen!

— Oto jaki las ogni zapaliła twoja czerwona rakietą! — zwrócił się Niwiński do Ryszana.

— Czert to wem! — zaklął Czech. — To będzie istotnie las ogni.

— Nie szkodzi. Może się to nadobre obróci — pocieszał Szydłowski.

W tej chwili młody kozak jakiś, z rozmachem idący naprzeciw nich, wpadł na Ryszana. Obaj młodzi oficerowie, przyjrzaawszy się sobie, krzyknęli i zaczęli się, rosyjskim obyczajem, serdecznie całować. Następstwem spotkania było oczywiście zaproszenie na „butyłoczku krasnienkoho“ i Ryszana, przeprosiwszy swych towarzyszków, poszedł z kozakiem.

— Ciekawa rzecz, jak też zachowają się Czesi? — rozmyślał głośno Szydłowski.

— Przypuszczam, że będą bardzo ostrożni. Masaryk nie wda się w żadną awanturę, tem bardziej, że podczas wystąpienia Kornilowa Mamontow, komendant dywizji, o mało Czechów nie wsypał. Przebąkiwano coś o aresztowaniu Masaryka w Piotrogradzie... A jak pan myśli, co nasi zrobią?

— Zdaje mi się, że angażowanie się po stronie kozackiej teraz byłoby bardzo niebezpiecznie, bo nie wiadomo, czy oni mają jakie siły... Rozrzuceni wzdłuż całego frontu, a nie lubiani przez wojsko, sami są w trudnej pozycji... Gdybyśmy się nieostrożnie angażowali,

odwet mógłby być straszny... Początek konfliktu ma pan już dziś w awanturze przeciw tak zwany polskim „sztrajkbrecherom...”

— Nic nie wiem o tem. Cóż to takiego.

— W Rosji apteki są w rękach Polaków lub żydów. Bolszewicy kijowscy, do których w znacznej liczbie żydzi należą, postanowili domagać się umiastowienia aptek, przez co znikłaby konkurencja, a polskie apteki znalazłyby się w zarządzie aptekarzy żydowskich...

— Chytrze obinyślane!

— O, oni są niezmiernie chytry! Na tem tle wybuchł strejk, w którym jednakże farmaceuci polscy udziału nie wzięli, zaś ponieważ dwóch z nich należy do polskiej drużyny bojowej, żydzi podnieśli gwałt, iż ta drużyna osłania łamistrejków i zażądali jej rozwiązania.

— I udało im się to?

— Nie, ale równocześnie pokazało się, iż w Kijowie są ludzie, którym zależy na tem, aby Polacy nie mieli żadnej siły zbrojnej w czasach, kiedy nawet komitety domowe są uzbrojone.

— Więc to żydzi prowadzą z nami walkę o stanowiska, o wpływy?

— Takby z tego wynikało.

Jeszcze jedna noc minęła spokojnie, ale dzień nastął po niej chmurny, zapłakany, pełen złych przeczuć. Ulicami przewalały się tłumy ludzi, przeważnie żołnierzy, prócz tego czerń, wietrząca burdę i łup. Dużo było strasznych typów o przerażających twarzach, a zwłaszcza oczach okrutnych, dzikich, nieubłaganych. Kobiet z inteligencji nie widziało się prawie wcale. Ten ruch uliczny tłumny i gwarny, a nie wynikający z pracy, miał w sobie coś świątecznego, wyczekującego, uroczystego. Rzucano się na świeże dzienniki, które rozchwytywano

i czytano na głos w małych gromadkach — wiadomości jednak były niepewne, mętne. Technicznie zamach stanu w Piotrogradzie prawdopodobnie udał się. Bolszewicy przy pomocy dział krążownika „Aurory“ przy drugim szturmie opanowali Pałac Zimowy — ale na tym koniec. Cała demokracja odstrychnęła się od nich i Rosja nie wierzyła, aby mogli się ostać w olbrzymiej stolicy. Ministrów przewieziono do twierdzy św. Piotra i Pawła — rozumie się — bez Kiereńskiego, bo ten chytry mąż stanu wiedział, kiedy zwiać.

Do Kijowa przybyła dywizja kozaków, których patrole z lancami pojawiły się na ulicach.

A mimo to miasto było zdenerwowane, gorączkowo podniecone i wciąż zapowiadało wystąpienie bolszewików.

Ulicami przeciągał pułk ukraiński.

— Patrz pan — zwrócił Niwiński uwagę Szydłowskiemu. — Niektórzy już sobie zafundowali siwe czapy z niebieskimi wypustkami.

— Krzywonosowe wojsko! — skrzywił się Szydłowski. — Ani jeden nie ma butów wyczyszczonych.

Istotnie pułk wyglądał jak banda oberwańców.

— Coś knują — mówił Szydłowski. — Rozbrajają milicję, aresztują junkrów, to znowu wypuszczają... To niezdeterminowane postępowanie zdradza jakieś nieczyste zamiary...

Nad wieczorem Niwiński kupił kolację i wcześniej poszedł do domu, aby już nie potrzebować wychodzić.

Jak tylko dobrze zciemniało, a stało się to wcześniej, bo przez cały dzień była mgła, rozpoczęła się na ulicach gęsta strzelanina. Niwiński czytał — żona z dzieckiem spała. Młody człowiek czasami wstawał, otwierał pocichu okno i wsłuchiwał się w odgłosy miasta. Nie było

słyszeć nic, prócz licznych, nieustających wystrzałów. Patrole tak gęsto strzelać nie mogły. To była bitwa.

Niwiński wychylił się z okna.

Noc była ciemna, na ulicach światła mało.

— Jakież sens może mieć takie ostrzeliwanie się na oślep, bez pewności, kto do kogo strzela? Jakież to bohaterstwo? Na froncie tych bohaterów nie było tak dużo... Skądże tu bierze się ich tylu, skłonnych do narażania swego lub cudzego życia w kwestjach, które najspokojniej możnaby rozstrzygnąć przy kawiarnianym stoliku? To poprostu blażeństwo.

Innego zdania o tej strzelaninie był Ryszan, który przypadkowo znalazł się w ogniu. Dla „poprawienia smaku“ po „krasieńkim“ z poprzedniego dnia, spotkawszy się znów ze swym kozakiem i kilku jego towarzyszymi, wstąpił do jakiejś „szaszlycznej“ na wino. Tam urzędowało już kilku oficerów i podoficerów kozackich i towarzystwa oba połączyły się. Koło godziny dziesiątej uczta skończyła się i kozacy wraz z Ryszanem ruszyli ku Kreszczatykowi, kierując się na Plac Dumy.

Dumski Plac już wieczorem pełen był żołnierzy, robotników i innych ludzi, wiecujących pod pomnikiem Stolypina. Dyskutowano i kłócono się namiętnie, wybuchając pogroźkami i tłumioną wściekłością. Szczególnie denerwował wiecujących patrol junkrów, którzy się zabarykowali na rogu Kreszczatyku i jednej z przecznic. Około dziewiątej wieczorem przed tą barykadą zgromadził się tłum ludzi, którzy zarzucali junkrom kontrrewolucyjność i namawiali ich, aby zeszli z pozycji; junkrzy polemizowali z tłumem i korzystając ze sposobności agitowali przeciw bolszewikom. Wtem rozległ się okrzyk „kazaki,“ ktoś krzyknął „strzelają! strzelają! —

tłum się rozpieczęchnął, światła w sąsiednich domach pogasły.

W chwilę później przed barykadą pojawili się jacyś jeźdźcy, którzy zaczęli się domagać, aby ich przepuszczono. Junkrzy zażądali legitymacji — jeźdźcy legitymować się nie chcieli, posypali się wyzwiska, zbierało się na burdę, zleciał się znowu tłum i prąc wraz z jeźdźcami na barykadę, coraz groźniejszą postawę przybierał wobec junkrów. Naraz huknął strzał, w odpowiedzi junkrzy dali dwie salwy, dały się słyszeć krzyki, ktoś padł, tłum rozbiegł się. Co się właściwie działo, kto pierwszy strzelił, nikt nie wiedział, z powodu słabego oświetlenia ulic i gęstej mgły mało co było widać. Ale jakieś cienie czarne znowu zaczęły się gromadzić dookoła pomnika Stołypina.

Właśnie wtedy nadeszli kozacy, którzy, będąc w sile około dziesięciu ludzi i zbrojni, szli za odgłosem strzałów, nie wiedząc zresztą, kto z kim się bije. Bez żadnych ostrożności, w swych czarnych burkach podobni w mgle do stożkowatych ciemnych słupów ruchomych, gromadą weszli na plac. Nagle huknęła bomba — trzech kozaków padło, reszta w tej chwili rozbiegła się w tyraljerę i przypadłszy do bruku otworła żywy ogień w głąb placu i Kreszczańskiego zaułku. Ktoś się tam z początku zrzadka odstrzeliwał, po pewnym czasie ten ogień ustał. Wówczas i kozacy przestali strzelać i zajęli się swymi rannymi.

Oficer, przyjaciel Ryszana, nie żył. Dwóch kozaków ciężko rannych, plawiło się we krwi.

Rozdział XV.

ARMATY GRAJĄ.

Ledwo kawiarnię hotelową otwarto, już zjawił się w niej Szydłowski, Ziemba, Ryszan. Niwiński, oczywiście siedział tam od rana. Mieszkając w tym samym gmachu kawiarnię uważał za swój salon i gabinet.

Opowiadanie Ryszana o nocnych przygodach wywołało wielką sensację. Dziwiono się, dlaczego komenda stawia małe oddziały na pozycjach, zamiast przetrząsnąć i oczyścić miasto.

— Jeśli oni mają stać, to rozumie się, że nie zapobiegną strzałom z ciemnych zaułków! — rozumował Ziemba.

— Chcą się zamknąć, jak w twierdzy!

— To mi wygląda na słabość lub tchórzostwo! — mówił Szydłowski.

— Jest jedno i drugie prawdopodobnie — dodał Ryszan.

Z ożywieniem rozmawiano o nocnej strzelaninie, dociekając, ktoby mógł strzelać. Zdecydowane, otwarte wystąpienie bolszewików było mało prawdopodobne, jako że wieści mimo wszystko nie brzmiały dla nich zachęcająco. Według informacji dzienników Kierenskiej na czele wiernych rządowi wojsk zajął Carskie sioło i wśród

walk wkraczał do Piotrogradu. Czerwona gwardja ucieka, w Moskwie powstanie bolszewickie zostało stłumione...

— Jakżeby wobec tego bolszewicy ośmielili się wystąpić w Kijowie, gdzie znów tak bardzo mocni nie są! — rozumował Niwiński.

— Tacy to i bolszewicy! — uśmiechnął się z miną wszystko wiedzącego Ziemia. — Dlaczegoż to strzelają w nocy, kiedy nie widać, kto strzela... Najprawdopodobniej są to Ukraińcy...

— A mnie się zdaje, że i jedni i drudzy! — rzekł Ryszan. — Pamiętacie panowie wystąpienie Połubotkowców? Przecież to była najwyraźniej próba przewrotu na rzecz Centralnej Ukraińskiej Rady Narodowej, przeprowadzona przy pomocy podstawionych sił. Dziś zamiast Połubotkowców profesor Hruszewskij podstawia bolszewików... I nie wiadomo nawet, czy tymi bolszewikami nie są ciżsami dawni Połubotkowcy...

— O, oni mogą być czem zechcą! — roześmiał się Szydłowski. — Każdą rezolucję uchwalą!

— Jednakże jak to łatwo sterroryzować takiego olbrzyma jak Kijów! — dziwił się Niwiński. — A skoro tak łatwo, nie dziwię się, iż nęci to tych, którzy nie mają nic do stracenia.

— No, nie byleś widać na mieście, skoro tak mówisz. Tak bardzo łatwo to znowu nie pójdzie. Przeciw bolszewikom idą junkry — a tych jest w Kijowie parę tysięcy — kirasjerski pułk, kozacy...

— A istotnie, warto-by pójść zobaczyć, jak miasto wygląda! — zaproponował Szydłowski.

— To chodźmy. Przejdziemy się — pogoda piękna. Poszli gromadą.

Dzień był przecudowny, złoto-błękitny, słoneczny, ciepły.

— Panie poruczniku! — zagadnął naraz Szydłowski Ryszana. — A co tu robi Czeczek?...

— Czeczek? — zdziwił się Ryszan — Czeczek tu jest?

— Widziałem go rano...

— Może na urlop przyjechał! — odpowiedział Czech, ale zaniepokoił się.

— Ja słyszałem, że jakiś pułk czeski przyjechał...

— Nie może być! To chyba Kornilowcy, tak zwany pułk słowiański...

— Jeszcze o takim pułku nie słyszałem.

— Owszem jest, bardzo piękny pułk... Służą w nim Rosjanie, Serbowie, Chorwaci, Polacy, jest też trochę Czechów... Żołnierze o zupełnie różnych, nawet sprzecznych orjentacjach, ale żołnierze znakomici, którzy chcą jednego tylko — bić Niemców! Oni może przyjechali...

Szli Włodzimierską ulicą ku teatrowi. Na placu Teatralnym stał oddział Ukraińców, otoczony kupkami publiczności. Mówiono, że na Kreszczatyku strzelają.

Szydłowski, który miał wzrok doskonały, przystanął i wyciągnąwszy swą małą głowę na długiej, cienkiej szyji, „puścił zórawia“ idącą wdół ku Kreszczatykowi ulicą Funduklejewską.

— Nieprawda! — rzekł po chwili. — Tam strzelaniny żadnej niema. Ludzie chodzą spokojnie...

Zeszli Funduklejewską na Kreszczatyk.

Po drodze spotkali paru oficerów czeskich.

Ryszan zaczął ich i zaczął żywo rozmawiać, a potem zawolał:

— Idźcie, panowie, naprzód, nie czekajcie na mnie, spotkamy się w kawiarni.

Szli dalej. Rogi przecznic, wiodących na Kreszczatyk, oblepione były gapiami trwożliwie czającymi się za murami.

Kreszczatyk aż roił się od ludzi, którzy z trwogą i przerażeniem patrzyli w stronę placu Aleksandra. Ale i tam nic ciekawego nie było, a tylko od strony Peczerska dolatywały odgłosy ożywionej strzelaniny.

— Więc tam się biją! — domyślił się Szydłowski.
— Prawdopodobnie o arsenał idzie!

Prorezną ulicą wracali do domu.

Minał ich samochód, pełen junkrów, trzymających broń, gotową do strzału. Ledwo przejechali, przemęczeni, z wychudłymi twarzami, których bladość mizernie odbijała od złoto-czerwonych epoletów, przez Włodzimierską cwałem pognął pół-szwadron konnej milicji miejskiej na dobrych koniach, w czarnych płaszczach z białymi sznurami i w czarnych furażkach z czerwonymi „okołyszami.“ Ulica napelniła się tententem kopyt i brzękiem szabel.

— Dokąd oni znowu pędzą? — dziwił się Ziomba.

— Widać, coś się dzieje...

— Otóż macie rewolucję w wielkich miastach... Nic nie można wiedzieć...

Po obiedzie znów zeszli się w kawiarni.

Ryszan był zasępiony, zły, zgryziony.

Ale miał informacje.

Bolszewicy zajęli pałac cesarski i arsenał, co do którego jednak nie jest pewne, kto w nim siedzi, bo mówią — że Ukraińcy.

— Jakże to może być?

— Poprostu. Ukraińcy, jeśli nie idą razem z bolszewikami, idą za nimi, to jest, sami pchają ich naprzód, a zajęte przez nich pozycje obsadzają swojemi wojskami

i nie dopuszczają nikogo. Co do naszej interwencji to to jest fakt. Istotnie, przybył do Kijowa „udarny“ pułk słowiański i drugi pułk naszej pierwszej dywizji, ale nie z Czeczekiem lecz pod dowództwem kapitana Leontjewa.

— Więc widzisz, że wyszło na moje! — tryumfował Niwiński. — Wiedziałem, że tak się skończyć musi ta głupia historia! Niepodobieństwo przecie, aby garstka łotrów mogła robić, co chce.

— Wyszło na twoje, ale ja na tem źle wyszedłem. Napadnięto mnie na Kreszczatyku, tłum zdarł mi wstążeczkę z czapki, po mordzie dostałem...

— Jużci, przyjemne to nie jest ale trudno!... A gdzie wasz pułk stoi?...

— Na dworcu, w wagonach... Dworzec także nasi obsadzili. Powiadają, że wszystkie władze w Kijowie porozumiały się i postanowiły powstanie bolszewickie zdusić.

— Nie bardzo chce mi się w to wierzyć — pokiwał głową Szydłowski. — A czemuż to pierwszy pułk ukraiński popsuł telegraf i zakazał go naprawiać? Idzie o przerwanie komunikacji z frontem, to chyba jasne, nie?

— A czem oni tu rozporządzają?

— Cóż! Sił mają dość: Bogdanowców, Polubotkowców, wolne kozactwo ukraińskie...

— Ech, moi panowie! — odezwał się z nagłą otuchą Niwiński. — Rzecz w tem, aby potrafił kto stłumić powstanie bolszewickie, bo gdyby oni wygrali, to to byłoby straszne... A czy tymi poskromicielami będą Ukraińcy z Hruszewskim i Winniczenką, czy Czesi, czy my — bo podobno do Bychowa telegrafowano — bo wszystko jedno... Przecież wtenczas Ukraina będzie ostoją jakiegось ludzkiego życia...

— Zastanów się nad tem, co mówisz! — zirytował się Ryszan. — Przypuśćmy nawet, że istotnie my mamy dość sił, aby tu przywrócić porządek... Osiem pułków w dzisiejszych czasach coś znaczy... Możemy ich mieć dwanaście...

— Zwłaszcza, jeśli osiem na dwanaście przeformujecie — wtrącił złośliwie Ziemba. — Po trzy bataliony i batalion po trzy kompanie trzech-plutonowe...

— Poco? My materiału ludzkiego mamy jeszcze dość, a nasi ludzie są zorganizowani, zdyscyplinowani i pójdą na każde skinienie...

— A tymczasem już bolszewizm zaczyna ich podżerać!

— At'si! — spokojnie odpowiadał Ryszan. — Nie zależy wcale na formie. Czech może być bolszewikiem i forma rządu naszego może być bolszewicka, ale typ życia czeskiego przez to się nie zmieni, to znaczy: dusza zostanie tasama. Ale nawet gdybyśmy opanowali Ukrainę, to co? Księstwo tu założymy? A cóż cała Rosja na to powie? Czy my możemy opanować Rosję?

— Pomyśl, że jednak Trocki ją opanowuje...

— Otóż właśnie. Sowiety już są. Czy *my* im mamy stawiać w drodze?

— Możecie stworzyć teren pewny i spokojny, na którym prawdziwie rosyjskie żywioły zorganizują się i uwolnią Rosję od bolszewizmu. Choćby sama Ukraina.

— Ba, Ukraina! Ukraina pójdzie z Niemcami, a więc przeciw nam — nechapesz to?

— A bolszewicy idą nie tylko z Niemcami, ale i z żydami!

— Na jedno wyjdzie! My tu nie mamy nic do roboty!

— Widzisz? Przechodziliście na prawosławie na-

wet — a nie wierzycie w Rosję. Wierzyliście w carską Rosję, bo była silna...

— A carska Rosja szła też z Niemcami! — wtrącił Ziemba.

— Więc w cóżeście wierzyli?

— My zawsze wierzymy tylko w siebie i sobie — z dumą wyprostował się młody oficer. — Ty, Wojciechu, z pewnością znasz nasze hasło: Nie wierzme nikomu na świecie szirem!

— Na sobie też można się zawieść — rzekł Szydłowski. — Nikt nie jest nieomylny i nikt się sam na świecie nie osto!

— Zobaczymy! — wzruszył Czech ramionami.

W nocy, kiedy już wszystko spało, Niwiński czytał proklamację, jaką po mieście rozrzucał kijowski komitet rosyjskiej socjalistyczno-demokratycznej partji robotniczej.

Proklamacja ta brzmiała:

— Robotnicy i żołnierze w Piotrogradzie powstałi przeciw władzy burżuazji. W ciągu ośmiu miesięcy Rząd Tymczasowy oszukiwał naród. Osiem miesięcy minęło od chwili, gdy żołnierze i robotnicy zrzucili carat. Jednak po dawnemu na froncie przelewa się krew dla sławy grabieżców-kapitalistów, po dawnemu ziemia znajduje się w rękach obywateli, przywrócono ponownie karę śmierci i więzienia polityczne, kapitaliści rujnują przemysł, wzrasta drożyzna, bezrobocie, głód.

Tylko robotnicy i żołnierze, zszeregowani wokół swoich rad rewolucyjnych, ująwszy władzę w swoje ręce, zdołają obdarzyć masy, które już tyle zniosły, pokojem, chlebem i wolnością.

W Piotrogradzie robotnicy i żołnierze już w tej chwili rozpoczęli walkę z władzą burżuazyjną.

Rozległ się naraz huk działa, któremu zawtórował gęsty ogień karabinowy.

Niwiński przerwał lekturę i słuchał chwilę.

Huk powtórzył się.

Nie można było wątpić. To bila artylerja.

— Burżuazja gromadzi wszystkie posłuszne sobie siły — czytał dalej Niwiński — aby we krwi utopić powstanie i znów ujarzmić masy pracujące.

Robotnicy i żołnierze Kijowa, wszyscy ci, co cierpią wskutek wojny, drożyzny i bezrobocia, wszyscy ujarzmieni i wycieńczeni, głodni i zziębnięci, powinni obecnie zespolić swoje szeregi, aby poprzeć robotników i żołnierzy Piotrogradu, którzy powstałi przeciw burżuazji kontrrewolucyjnej.

Niech żyje powstańczy proletarijat i załoga Piotrogradu!

Niech żyje rewolucja proletariuszów! Precz z władzą burżuazji!

Niech żyje pokój!

Niech żyje Trzecia Międzynarodówka!

- Kijowski Komitet R. S. D. P. R.

Niwiński skończył, podniósł głowę i wpatrzywszy się w czarne okno, po którym ziekały krople dżdżu, zadumał się głęboko.

Przyszły mu na myśl młode lata, kiedy z pieśnią na ustach w demonstracjach stawał w pierwszym szeregu pod czerwonym sztandarem. Pojmował to uczucie, poprostu, czysto, bez kłamstw. Widział świat, podobny do wielkiego, zielonego ogrodu, słoneczny, jasny i uśmiechnięty — niby jeden wielki raj pracujących, gdzie nie potrzeba kłamać...

— W ciągu ośmiu miesięcy Rząd Tymczasowy oszukiwał naród...

Nie, Rząd Tymczasowy nie oszukiwał narodu, a tylko przedstawiciele masy pracującej paraliżowali go i nie dopuszczali do pracy, całej władzy pragnąc dla siebie...

— Żołnierze i robotnicy zrzucili carat...

Nieprawda! Szlachta, inteligencja i burżuazja zrzuciła carat, do czego nigdy odwagi nie mieli robotnicy, a już zwłaszcza żołnierze...

— Jednak po dawnemu na froncie przelewa się krew dla sławy grabieżców-kapitalistów...

Nieprawda! Rosja bije się o wolność swoją i zwycięstwo prawdy...

— Kapitaliści rujnują przemysł...

Strajki rujnują przemysł!

— wzrasta drożyzna.

Skutek to właśnie strajków i coraz mniejszej produkcji.

— bezrobocie

Strajki!

— głód —

Na dworcu kijowskim jest kilka tysięcy wagonów z żywnością, której robotnicy *nie chcą* wyladować. Chłop *nie chce* dostarczać zboża.

Tylko robotnicy i żołnierze zdolają obdarzyć masy, które już tyle zniosły, pokojem...

Już tyle zniosły!

A on, Niwiński, nic nie zniósł! Nie stracił swego warsztatu pracy, swego stanowiska, swych lat, nie tula się z żoną i dzieckiem? A jego dwaj bracia na froncie, a ojciec stary, który się rozplakał, kiedy się dowiedział, że wojna się tak prędko nie skończy...

Nie, nie! To kłamstwa! Nie prawda, aby „tylko robotnicy i żołnierze!“ To przecie na każdym kroku wi-
dać! Tak nie można, tak się to zrobić nie da!

Głośny huk przerwał znowu ciszę nocną. Szyby w oknie zaczęły dygotać i brzęczeć. Łyżeczka w szklance zadzwoniła z cicha.

Huk dział wzmagał się, rósł, wreszcie zmienił się w srogi, roszczekany ryk.

Helenka zbudziła się.

— Co to? Co to takiego?

Spojrzał na nią.

— Tylko spokojnie. Nie złękij się. To są działa.

— Kto strzela? Do kogo? — pytała z szeroko otwartymi oczami, wylękniona.

— Nie wiem. Pozwól — otworzę na chwilę okno.

— A jak nam tu jaka kula wleci?

— Jak ma wlecieć to i przez okno też wleci.

Przez miasto przewalał się brutalnie twardy, wielki loskot, hucząc gromem szerokim, potoczystym, głuchym. Każdy wystrzał taranem bił w ciszę i ciemność nocną, basowym, szyderskim śmiechem śmiejąc się z pozorów nocnego odpoczynku, jakie sobie miasto nadawało. A w krótkich odstępach między jednym wystrzałem a drugim słyhać było nieustające strzały karabinów ręcznych i indyche gulgotanie karabinów maszynowych z opancerzonych samochodów.

— Zamknij okno! Ja się boję! — prosiła Helenka.

Wojciech jeszcze raz spojrzał w twarz strasznej, ponurej nocy i zamknął okno.

— I cóż teraz będzie? — mówiła przerażona Helenka.

— Nic. Pomódl się i śpij. Nie my jedni jesteśmy w Kijowie, nie my jedni w tej chwili nie śpimy... **Bóg** łaskaw! Nie na to zesłał nam tę dziecinę, żeby nas miał wygubić... Śpij, kochanie!



Rozdział XVI.

KONWULSJE.

— Nie rzucaj tego wszystkiego do wiadra! Aparat cywilizowany dzisiejszego człowieka jest dosyć delikatny i łatwo ulega zepsuciu. Te wszystkie paskudztwa mogą zatarnować wodociąg i będzie awantura. Czy chcesz, żeby ci służąca uwagi robiła?

Zachnęła się i rzuciła:

— Ach, daj mi święty spokój!

Zirytował się.

— Co to znaczy — „daj mi święty spokój!“ Jak śmiesz w ten sposób odzywać się do mnie, kiedy grzecznie i po dobroci zwracam ci uwagę, zmuszony do uczenia cię rzeczy, których się kulturalnej kobiety uczyć nie powinno.

Zła, zadąsana, czerwona, zaczęła się kłócić.

— O, przepraszam bardzo! — przerwał jej. — W czasach, jakie obecnie przeżywamy, każdy człowiek uczuwa ogromną potrzebę komunikowania się z ludźmi, choć trochę zbliżonymi do siebie. Cóż dopiero mówić o człowieku, którego się kocha! Otóż jeżeli miłość tego kochanego człowieka w takiej chwili zawodzi, to boli — i tego się nie zapomina.

Mówił, starając się zapanować nad sobą.

— Bo ty zawsze zaczynasz! — sarknęła złym, gderliwym głosem.

— O, poczekasz ty teraz, zanim ja „zacznę!”

Kiedy zeszedł nadół, był jeszcze bardzo wczesny ranek. Biała mgła leżała w ulicy. Skoczył po mleko sterylizowane do mleczarni, a potem stanął w „ogonku” przy niedalekiej piekarni.

Rozumie się, ludzie byli źli, zniecierpliwieni, podrażnieni i wygadywali, co wlaźło. W „ogonku” stała przeważnie służba, kobiety z małej burżuazji, woźni, niscy urzędnicy, biedota. Właściwie sympatyzowali z bolszewikami, po których, zmęczeni drożyzną i biedą, spodziewali się ulg, wszyscy jednakże jednogłośnie odgrzali się żydom, obiecując sobie raz wreszcie zrobić z nimi ostateczny porządek i wyróżnić wszystkich.

Po jakiejś godzinie dreptania na miejscu Niwiński dotarł wreszcie do sklepu i po chwili wychodził, z dumą niosąc bochenek chleba.

Zrobiło się już jaśniej.

Wtem zgóry, gdzieś z dachu czy z okien, posypały się strzały karabinowe. Gwizdnęły kule, w „ogonku” rozległy się okrzyki. Ludzie rozbiegli się.

Niwiński, który do swego hotelu miał parę kroków, odwrócił się zdziwiony. Na pustej ulicy, na bruku leżał trup jakiejś biednej kobiety; kamienie dokoła jej głowy poczerwieniały. Drugą kobietę, slaniającą się na nogach, uprowadzono do bramy. Koło Niwińskiego przebiegł jakiś starszy pan ze skaleczoną ręką.

— Swołocz! Swołocz! — krzyczał raniony. — Do ludzi, czekających na chleb, strzelają...

— Tylko robotnicy i żołnierze mogą obdarzyć masy chlebem! — przyszły Niwińskiemu na myśl słowa odezwy.

W „hallu“ kazał chłopcu zawieźć chleb i mleko na górę, do „numeru,“ a sam poszedł do kawiarni.

Już tam siedział Ryszan z jakimiś znajomymi nieznajomymi.

— Jest co nowego?

— Aresztowano Piatakowa i cały sowiet bolszewicki.

— Co ty mówisz?

— O mało ich przytem nie zabito. Specjalna delegacja złożona z przedstawicieli wszystkich władz, kozaków i junkrów, udała się do Pałacu Zimowego, który był otoczony przez wojska rządowe. Sowiet zobaczył, że tu nic nie poradzi i postanowił się poddać. Zażądano wydania broni — jakąś tam broń wydali i powiedzieli, że to wszystko. Wtedy junkrzy zaczęli przetrząsać dom i znaleźli jeszcze całą masę broni, amunicji, karabinów maszynowych kilka, granaty ręczne, a prócz tego dwadzieścia pięć aresztanckich czapek, i dwadzieścia pięć par kajdan na ręce i nogi.

— Jakto? To były kajdany bolszewików?

— Nie, przygotowane jużci dla tych, których oni zamierzali aresztować.

— Kajdany!

— Toteż kozaków i junkrów na ten widok taka wściekłość ogarnęła, że bolszewicy, których po wydaniu broni, puszczono wolno, sami prosili, aby ich aresztowano, co też trzeba było zrobić. Cały sowiet zamknięto.

— Więc kto się bije? — pytał Niwiński. — Strzelają wciąż. Teraz w moich oczach zabili jakąś kobietę w „oczeredzi“ i parę osób poranili!

— Biję się właściwie trzeci awiacyjny park, bataljon saperów i jeszcze parę oddziałów. Te wojska bronią się w swoich koszarach i na Peczersku.

— A kto ma arsenał?

— W arsenale siedzą Ukraińcy, którzy dostarczają amunicji bolszewikom.

— Djabeł-by się w tem wyznał!

— Nie, to jest proste! — tłumaczył Ryszan. — Sztab kijowski reprezentuje dawny rząd centralny, właśnie zwalczany przez bolszewików, zaś Ukraińcy, jako decentraliści, nie mogą ich nie popierać...

— Jednakże w ten sposób zamiast jednego centralnego rządu przyjdzie drugi rząd centralny — bolszewicki.

— Ukraińcy liczą na to, że z bolszewikami potrafią się załatwić...

— To przyjdzie do wojny domowej!

— Bardzo możliwe.

— A któż strzela tu, na ulicach?

— To takie bolszewickie sposoby — strzelać to tu, to tam, aby wywoływać panikę, przynębienie... Ma to znaczenie agitacji nastrojowej. To też wciąż odbywają się w różnych klubach rewizję i konfiskaty broni. Wczoraj np. znaleziono kilkadziesiąt karabinów w związku woźniców transportowych, oczywiście stojących po stronie bolszewików.

— Wyobrażam sobie.

— A co w Pitrze słychać...

Ryszan podał mu gazetę.

— Masz, czytaj.

Zjazd sowietów. Niebolszewickie frakcje utworzyły Komitet zbawienia ojczyzny i rewolucji. Ambasadorowie oświadczyli, że rządowi bolszewików nie uznają, a w danym razie wyjadą. — Mianowanie bolszewickich komisarzy. Szykanowanie prasy.

— Do diabła! Tego się nie spodziewałem! — mruknął Niwiński. — Cóż za barbarzyńcy!

Czytał dalej:

— Dziś na poczcie spalono wszystkie pisma. Wojenno-rewolucyjny komitet zamknął „Dzień.“ „Riecz“ zdemolowano, kolporterom odbierano „Nowoje Wremia“ i palono na ulicy. Zamknięto wszystkie pisma burżuazyjne i niektóre socjalistyczne.

Wczoraj Lenin i jego poplecznicy mówili w Smolnym o rewolucji socjalnej. Niektórzy słuchacze wiedzieli, że to nonsensy, drudzy może uwierzyli, większość jednakże była przekonana, że rewolucja socjalna ma oznaczać tylko walkę o jeszcze większą wolność, niż dotychczasowa, co byłoby bądź co bądź dla myśli ludzkiej zdobyczą.

A tymczasem cóż robią ci twórcy socjalnej rewolucji? Pałac Zimowy ostrzeliwano z ciężkich dział. Jedną po drugiej z bezpośredniej bliskości rozstrzeliwano młode dziewczęta z legji kobiecej, wraz z junkrami broniące Pałacu Zimowego. Ludzi zciągano ze schodów i rzucono na bruk. Po aresztowaniu ministrów salwami strzelano do piwnic, w których znajdowali się jeszcze junkrzy. Uzbrojeni szermierze socjalizmu jeszcze na drugi dzień rozstrzeliwali junkrów spotykanych na ulicach. „Krasnogwardiejcy“ próbowali gwałcić kobiety.

— W swoim własnym mieście, w swym własnym kraju! Co za ludzie! — pomyślał Niwiński.

— Po aresztowaniu ministrów — czytał dalej — w Pałacu Zimowym postawiono żołnierzy na warcie. Niestety, żołnierze po barbarzyńsku obeszlą się z nagromadzonemi w Pałacu skarbami, uznanemi za majątek narodowy. Włamano się do wszystkich szaf, drogie zamki porozbijano, porozbijano też mozaikowe stoły

z syberyjskich kamieni szlachetnych. Z przecudnych, kosztownych portjer żołnierze robili sobie onuce i rabowali, co im w ręce wpadło.

Pomocnika ministra wojny, jen. Tumanowa, aresztowano i zabito samosądem.

Wojska komitetu ocalenia Ojczyzny i rewolucji oswobodziły osaczone przez bolszewików szkoły junkierskie i oddziały kozackie. Zajęto stację telefoniczną...

— Więc wciąż jeszcze biją się... A co u was sły-
chać? — zwrócił się Niwiński do Ryszana.

— Pułk stoi w korpusie kadeckim. Pierwszy baon wysłano na obronę sztabu... Tam nasi zajęli barykady. Strzelano do nich z jakiegoś domu w pobliżu, zabito dwóch ludzi, więc nasi otoczyli ten dom i spinając się po gzymsach zaczęli rzucać przez okna granaty ręczne. Dużo ludzi tam pozabijali i poranili. Oczyszczili ten dom i aresztowali kilku bolszewików, których oddali kozakom.

— A ci ich powiesili!

— A ci nie tylko że ich nie powiesili, ale nawet konwojować ich nie chcieli. Bali się. Wogóle — Kubańcy zachowują się nieszczerze, albo tchórzliwie. Miętko się biją, a jeden ich pułk w połowie oświadczył się przeciw interwencji zbrojnej...

Znowu zaryczały haubice. Zatrzęsły się mury.

Ryszan spojrział na zegarek.

— To słowiański pułk na Peczersku atakuje bataljon pontonowy... To nasze haubice... Straszne! Czeska artylerja ostrzeliwa Kijów! Ktoby to był przypuścił! Chodźcie, zobaczmy, co tam się dzieje...

Na rogach ulic brzęczały lotne mityngi. Chłopcom wrywano z rąk telegramy.

Niwiński przystawał czasem i przysłuchiwał się, co ludzie mówią.

— Było spokojno a wot prijechali z fronta; nacza-
łaś wajna! — narzekał saldat z ordynarną czerwoną
twarzą.

— Nieet, eto junkiera winawaty! — mówił drugi.
— Oni -- kontrrewolucjoniery. „Boże carja chrani“
pojut...

— Wriosz ty!

— Sam słyszał, jej Bohu!

— A ich na Wasilkowskoj abstrielali! 10 junkierow
ranieno, a oficer szedszij wa gławie, ubit!

— Łowko! — ucieszył się maroder.

Tłumy ludzi wałęsały się po Kreszczatyku.

W pewnem miejscu na balkonie trzeciego piętra po-
jawiała się kobieta z samowarem w rękach. Widocznie
nastawiała samowar. Skończywszy, skierowała się ku
drzwiom, widać jednak coś ją zaciekawilo, bo przechy-
liła się przez poręcz i spojrzała w ulicę.

W tej chwili trzasnął gdzieś wystrzał, kobieta za-
chwiała się, zwisła na balustradzie, a potem osunęła się
na ziemię.

Niwiński to widział.

— Bójcie się Boga! Tam kobietę zabili!

— Gdzie?

— Na balkonie; tam, na trzeciem piętrze. Widzia-
łem na własne oczy! Samowar nastawiała.

Wbiegli do kamienicy. Stróża nie było, musieli
sami iść na górę. Na drzwiach był bilet z nazwiskiem
Jana Tumlańskiego.

— Połak! — szepnął Niwiński.

Zadzwonił.

— Kto tam? — odezwał się spokojny, męski głos.

— Niech pan się nie obawia, swoi! Proszę się nie

łękać — jak najuprzejmiejszym tonem mówił Niwiński.
— Mamy panu coś bardzo ważnego powiedzieć...

Zaszczękały łańcuszki, zasuwki, klucze w zamkach. We drzwiach stanął nie stary jeszcze mężczyzna, ubrany po domowemu, łysawy, z dużymi czarnymi wąsami. Na rękę trzymał małe dziecko, które na widok obcych ludzi ukryła twarz na jego ramieniu.

— Pańska żona — na balkonie — zachorowała prawdopodobnie!

— Co? Gdzie? — zdziwił się, nie rozumiejąc, biedny człowiek. — Żona samowar nastawia.

Ale Ryszan odsunął go łagodnie i nie wdając się w rozmowy, wbiegł do pokoju — była to jadalnia — i skierował się ku drzwiom, wiodącym na balkon.

— Może pani słabo się zrobiło! — tłumaczył Niwiński. — Widziałem, jak padała. Zemdląła prawdopodobnie.

— O, mój Boże! — jęknął pan Tumlański.

Przeraził się. Chciał biedz — nie wiedział, co z dzieckiem począć. Wziął je, jakby je chciał oddać komuś, otworzył drzwi do drugiego pokoju, zawołał:

— Zosiu! Zosiu!

Wbiegła pięcioletnia dziewczynka, za nią wsunęła się druga, trzyletnia.

— Weź Maniusię, pobaw, ostrożnie, uważaj na nią.

Ryszan z Niwińskim dźwigali ciało. Kobieta, rosła i tęga, ciężyla bardzo. Ledwo im się udało wciągnąć ją do pokoju i złożyć na otomanie. Dzieci na widok jej zaczęły płakać, pan Tumlański dreptał nerwowo, jakby nieprzytomny. Niwiński zauważył krew na piersiach. Szarpnął szlafrok. W lewej piersi był mały, czarny otwór, broczący ciemno czerwoną, lepką cieczą...

Kobieta nie żyła.

— Zblakana kula! — mruknął Niwiński.

— Pan sądzi, że moja żona nie żyje? — skrzeczącym głosem zapytał pan Tumlański.

A potem usiadłszy na stolku i z oglupiałą miną patrząc na zwłoki, rzekł:

— A to ładny interes. Żonę mi zabili. Trzy córki...

Młodzi ludzie wysunęli się dyskretnie.

— I co na to powiedzieć! I co na to poradzić! — jeknął na schodach Niwiński. — Troje dzieci... Kobieta samowar nastawiała — i śmierć... Do rozpaczyny chcą ludzi doprowadzić...

Na dole pożegnał się z Ryszanem.

— Mam dość! — mówił. — To już drugi wypadek tego dnia. Boję się o żonę... Pójdę...

Wracał Bibikowskim bulwarem, gdzie miał w pewnym konsumie podjąć znaczniejszą kwotę. Nie bardzo wierzył, że w tych burzliwych czasach coś dostanie, ale chciał przynajmniej spróbować. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności konsum był otwarty i pieniądze — około trzech tysięcy rubli — wypłacono mu bez trudności. Koło cerkwi św. Włodzimierza chciał skręcić na prawo — nie puszczono go. Na barykadzie i za zasiekami stali tam żołnierze ukraińscy. Ich czapki ze zwisającymi błękitnymi wypustkami sterczały za zasiekami następnej ulicy. Trzeba było okrążyć...

Wszędzie chodziły patrole.

Ulice ciężko wzdychały echem armatnich wystrzałów.

W hotelu zastał Niwiński nastrój paniczny. Służbie kazano zastrajkować. Gryśza umył się, uczesał, ubrał się w czystą koszulę i położywszy się na swym tapczanie, zaczął chrapać. Po korytarzach biegały

przerażone kobiety. Mówiono o pogromach, rabunku, gwałtach. Kawiarnię zamknięto.

Helenka zdenerwowana, zaniepokojona, była bardzo rozdrażniona, zwłaszcza, że dziecko oczywiście wciąż płakało. Niwiński dał jej pakiet, w którym miał kupione jakieś wiktualie, a także ulubione jej ciasteczka z miodem, na orientalny sposób robione. Wiedział, że młodą kobietę tem trochę udobrucha. A potem wziął dziecko na ręce i chodząc z niem po pokoju, śpiewał mu tak długo, aż ucichło.

— Połóż ją! — szepnęła żona.

Potrząsnął przecząco głową i chodził dalej, śpiewając i tuląc dziecinę do siebie. Warczały karabiny maszynowe, grzmiały działa, a on nucił zcicha, przyglądał się czasem dziecku, ufnie i spokojnie zasypiającemu w jego ramionach i zapominał o całym świecie. Zaczynał rozumieć, że życie jego ogniskuje się tu, w tej bezbronnej okruszynie ludzkiej, którą trzeba ochraniać i ratować wszelkimi siłami.

Uspokoił się.

A równocześnie zcichła kanonada. Działa umilkły.

— Otwórz na chwilę okno! — szepnął.

— Dziecko się zaziębi — sprzeciwiała się żona.

— Nie, ja się z nią usunę. Chcę posłuchać.

— Czegóż się dowiesz? — wzruszyła ramionami.

Nie odpowiedział jej — bo i cóż mógłby odpowiedzieć? Ale tak często wsłuchując się w odgłosy życia miejskiego i walk ulicznych miał coś nieokreślonego, po czem poznawał, domyślał się, co się tam dzieje.

Więc i teraz, kiedy niechętnie otworzyła okno, stanął, podniósł głowę i nadśluchiwał. Sypały się tu i owdzie strzały, rzechotały czasem karabiny maszynowe, ale to było daleko. Z dział nie strzelano.

— Coś się stało — rzekl. — Możesz już zamknąć.

— Co się mogło stać?

— Zdaje mi się, że to już koniec... Albo bolszewicy się poddali, albo sztab. Czuję, spokój już jest.

Ułożył dziecko w kołysce, przykrył i zapalił światło. Ktoś zapukał.

— Wejdz — zawołał Niwiński zcicha.

Był to Ryszan.

— Ruku libam milostpani! — witał się. — Kawiarnia zamknięta, wstąpiłem na chwilę.

— Co słyhać? Siadaj.

— Pertraktacje są. Ukraińska Rada Narodowa wzięła wszystko w ręce i prowadzi rokowania z bolszewikami.

— A sztab? Poddal się?

— Niby nie, ale uznał Radę Narodową. To była nikczemna banda głupców, zdemoralizowanych oficerów i tchórzów. Oni tam plakali i mdleli ze strachu — nie uwierzyłbyś. Jeden kapitan sztabowy przebrał się po cywilnemu i uciekł. Swoich własnych sztabowych żołnierzy i podoficerów mieli przeciwko sobie. Kozacy się wycofali.

— Jakże to?

— Nie dowierzają Ukraińskiej Radzie Narodowej, podejrzewając ją o stosunki z Niemcami i nie chcąc jej pomagać... Mówią, że niezależna Ukraina zawrze z Niemcami pokój...

— Bardzo prawdopodobne...

— Chcą wracać. Prawdopodobnie w domu się organizują.

— No, a cóż wy?

— Masaryk kazał się nam wycofać. Cóż nas to właściwie obchodzi?

— Tak mówić nie można!

— Jakże? Myśmy tu szli na pomoc wojskom rządowym. Pokazało się, że niema ani tego rządu rosyjskiego, ani tych rządowych rosyjskich wojsk. Więc my, Cze-si, mamy być w Kijowie jedynymi Rosjanami? Nonsens.

— Cóż teraz będzie?

— Ukraińcy wezmą wszystko w ręce. Ale! Kornilow uciekł!

— Słyszałem, że go podobno Kierenski wypuścił...

— Ale skąd! Kornilow drapnął z trzystu Tekińcami... Reszta została... Poszedł komunikiem niewątpliwie na południe...

— Morowy chłop...

— A może pan zje razem z nami kolację? — zapraszała gościnnie Hienka — Wojciech nakupił różnego jedzenia, wystarczy na troje... O, tylko chleba trochę mało! W ostatnich czasach tak trudno o chleb, nie dają...

— Chleba nie macie, milostpani? Ja chleb mogę dać, mam kilka bochenków. Chodź do mnie, zabierzesz i... I wódkę weźmiemy...

— Masz?

— To se wi, jakżeżby! To wiesz — my zawsze wszystko mamy!

— A nie siedzicie długo!

W hotelu wciąż jeszcze panował nastrój paniczny.

— Pogromu się boją i rabunków! — uśmiechnął się Czech.

— Nie bez racji. Na ulicach posterunków niema, bandy żołnierzy włóczą się po mieście, policja nie funkcjonuje, ale ja mam wrażenie, że nic nie będzie. Ludzie są pomęczeni.

Na ulicy panował ruch nieledwie świąteczny.

Kupą walili dokądś kozacy, przeważnie Dońcy z czerwonymi lampasami u szarawarów. Mityngująca na rogu ulicy zbieranina odwróciła się od kozaków niechętnie.

— Z pozycji zchodzą — objaśnił Ryszan.

Tuż szedł oddział junkrów — bez broni. Mityngujący, śmiejąc się głośno, zaczęli szyderczo klaskać w dłonie na ich widok.

— Co z nimi będzie? Wojsko ich nienawidzi, ludność też...

— Wolno im wyjechać... na Don... I pojedą, a część przejdzie do wojsk ukraińskich, aby móc w Kijowie pozostać...

Dalej spotkali jakąś piechotę w szyku zabezpieczonym. Naprzód szła szpica, patrole po bokach, potem straż przednia, za nią dopiero „rota,” chroniona przez straż tylną.

— Kornilowcy! — pokazał Ryszan. — Patrz, jak nieufnie i ostrożnie idą.

„Rota” szła ponuro, w zupełnem, nieledwie tragicznem milczeniu. W mieście czuła się jak na terenie nieprzyjacielskim.

Czuć jednak było pewne uspokojenie. Miasto zcichło i widocznie cieszyło się tą ciszą, odpoczywało.

Po kolacji, która przeszła dość wesoło, Niwiński w nocy zeszedł wraz ze swym gościem do westybulu, zobaczyć, czy wartownicy komitetu hotelowego czuwają. Siedziało tam dwóch jakichś panów w towarzystwie starszego już oficera — pułkownika kawalerji — teraz oczywiście bez żadnych odznak. Niwiński wdał się w rozmowę z oficerem.

— Bunt bolszewicki będzie niewątpliwie stłumiony — zapewniał pułkownik. — Tak sobie życzy front, a front sił ma jeszcze dość.

Wtem zarządzający hotelem tracił Niwińskiego w łokieć.

— Popatrz pan!

Z bocznego, ciemnego korytarza wysunął się smukły mężczyzna o pociągłej, bardzo bladej, inteligentnej twarzy. Minawszy rozmawiających w wertybulu, wymknął się dyskretnie na ulicę.

— Kto to?

— Nie poznaje pan? Wszechwładny niedawno Szulgin, naczelný redaktor „Kiewlanina.“

— Ach, ten „czarnosotieniec!“ Haha! Fortuna kołem się toczy...

— Co noc w innem mieszkaniu sypia... W dzień się nie pokazuje...

W łóżku już czytał Niwiński gazetę:

W twierdzy św. Piotra i Pawła władze bolszewickie rozstrzelały trzech junkrów, wziętych do niewoli podczas kapitulacji. Na junkrów z pawłowskiej szkoły wojennej polują jak na dzikie zwierzęta. Pewien junkier wskutek tortur dostał pomieszania zmysłów.

Takie były wieści — ze stolicy!

— W chwili, kiedy to piszemy, trzeszczą u nas karabiny maszynowe. Junkrzy zdobyli stację telefoniczną — tam toczy się bój. Żołnierze wznoszą barykady na ulicach, w powietrzu jest nastrój nocy św. Bartłomieja. O szóstej wieczorem mają wejść do miasta wojska rządowe. Izmajłowcy już się gotują do walki z niemi. Piotrogrodzki telegraf wolny od bolszewików, komisarze ich uciekli. Cały nasz garnizon stoi w większej części po stronie bolszewików, a mała część żołnierzy, nie idących

z nimi, zachowuje neutralność. Przyzwoicie ubrany człowiek nie może pokazać się na ulicy — żołnierze mordują lub rzucają ludzi do kanałów, albo do Newy. Dzieją się sceny niesłychane. Dziś już nie było chleba. Żołnierze wpadają do domów, grabią, biją ludzi, marynarze wściekli się.

Przyszło Niwińskiemu na myśl proroctwo Mickiewicza. Nie groził — że on, nie przepowiedział północnej stolicy powodzi, która ją zaleje, jako kara za jej grzechy i zbrodnie? I otóż zalała miasto pyszne powódź czerwona... Granitowe schody pałaców ociekają krwią młodzieży rosyjskiej, kwiatu inteligencji... I ta młodzież wyginie w walce z własnymi parobkami, którzy polują na nią, jak na dzikiego zwierza i pastwią się nad nią, lub topią ją — niby szczenięta — w kanałach...

W ciszy nocnej huczały rzadkie wystrzały karabinowe.

Rozdział XVII.

W NIEZALEŻNEJ UKRAINIE.

— I jakże się panom żyje w niezależnej Ukrainie?
— pytał z uśmiechem Szydłowski.

— Mnie wszystko jedno! — odpowiedział Niwiński. Zaczynam teraz spostrzegać, że oprócz Polski, nic mnie nie obchodzi.

Po staremu siedzieli w kawiarni hotelowej, przy oknie, skąd widać było ulicę mokrą, zabloconą, przesłoniętą mgłą.

Był Ryszan, Ziembra, paru oficerów czeskich.

— Co to za smarkacze chodzą z karabinami po mieście?

— To „czerwona gwardja...”

— Terminatorzy szewscy, gimnazjaści... jedyna dziś obrona miasta.

— Mnie się to nie podoba! — mruknął Niwiński. — Gdzie tyle karabinów w głupich rękach, tam musi być strzelanina.

— A przecież nikt nie strzela. Patrzcie, jak ludzie się cieszą z tej chwili spokoju. Tyle kobiet na ulicy, wszystkie uśmiechnięte...

— Oho, szczury uciekają z okrętu!

Ulicą jechały wolno dwie dorożki, wysoko naładowane kuferkami i walizkami. Przy dorożkach szło dwóch żołnierzy angielskich.

— Anglicy wyjeżdżają!

— Nic dziwnego. Nie mają tu już co robić.

— Co za ohydny czas!

— Ukraińska gazeta „Narodnia wola!“ Ukrain-
ska gazeta „Narodnia Wola!“ — dały się słyszeć
krzyki chłopców na ulicy.

— Trzeba kupić!

Niwiński wybiegł na ulicę.

— Rozumie się — zamknięcie „Kiewlanina.“ To
przedewszystkiem... O, jak trudno to czytać...

— W poniedziałek wsi robotnicy arsenału jawyli się
jak zwyczajnie na robotę, ale tylko szczerze rozpoczęła robotę,
jak junkerzy szkół praporszczyków z czecho-słowakami
i udarnie robotę poczęły znowu nastąpiły na ar-
senal...

— Ależ lżą! — roześmiał się Ziemia. — Więc ro-
botnicy przyszedli do pracy, a wojska na nich napadły!

— U robotników było duże mało naboju i zowsim
ne było snarjadow — sylabizował z trudem Niwiński.
— Tylko potem było dostawiono pod obstrzał kilka snar-
jadow i chłeba żinkami w koszykach.

— O, jakie to poetyckie! — śmiał się Ryszan. —
Żonka niesie mężowi do fabryki w koszyku drugie śnia-
danie, dwa szrapnele, parę granatów ręcznych i garstkę
naboju... Rewolucyjny styl...

— A był kto z panów na pogrzebie poległych „arse-
nalców?“ — spytał któryś z oficerów czeskich.

— Skądże!

— Bardzo im uroczysty pogrzeb wyprawiono...
Mnóstwo wieńców, orkiestry, chóry, duchowieństwo, tłu-

my ludzi, oddziały robotników i żołnierzy... Oprócz tych oddziałów żołnierze i robotnicy byli też rozproszeni w tłumie, oczywiście z karabinami, jak to jest teraz modne. Otóż kiedy zaczęto dawać salwy nad mogiłą, kto żyw, zdejmował karabin z pleców i palił Panu Bogu w okna, bez najmniejszego porządku, każdy na własną rękę... Zrobiło się zamieszanie, ludzie rzucili się do bram, dusili się, wrzeszczeli, nie można ich było uspokoić. Wszyscy byli przekonani, że robotnicy i żołnierze, aby pomścić tych zabitych, będą strzelali do tłumu.

— Patrzcie! Jest odpowiedź Dowbora-Muśnickiego Piotrogradzkiemu komitetowi wojskowo-rewolucyjnemu. Komitet ten domagał się od korpusu polskiego oświadczenia się w sprawie przewrotu w Piotrogradzie przez głosowanie w komitetach pułkowych. Dowbor-Muśnicki tak im tu pali:

— Żądania waszego nie mogliśmy spełnić, gdyż w korpusie polskim nie posiadamy komitetów pułkowych, którym proponujecie omówienie przewrotu Piotrogradzkiego i zajęcia wobec nich stanowiska w formie rezolucji.

Wojska polskie mają w Piotrogradzie przy ulicy Gogoła 8 swój „Naczelny Komitet Wojskowy,” który baczny na nominacje w armji i nie dopuszcza do nominacji osób, niegodnych zaufania żołnierzy.

Dlatego, a także opierając się na uchwałach zjazdu wojskowych Polaków, ażeby formacje polskie nie mieszały się w sprawy wewnętrznej polityki rosyjskiej, dokonany zaś przewrót nosi charakter polityczny, czuję się w obowiązku w imieniu powierzonych mi wojsk oświadczyć, że wojskowi Polacy odnoszą się zupełnie spokojnie do przewrotu i nie wezmą w nim udziału.

W miejscowościach jednak, gdzie wojska polskie stoją załogą, nie dopuszczają absolutnie do rabunków i gwałtów nad ludnością cywilną, nie pragnąc widzieć powtórzenia zdarzeń takich, jak w Kałuszu i Stanisławowie.

W obronie ludności cywilnej, bez względu na jej przynależność narodową, wystąpimy z bronią przeciw rabusiom i gwałcicielom pokoju.

— Stanowczo!

— Nawet bardzo! Ale niezbyt dyplomatycznie. Wasz generał odpowiada pogrózkami.

— Widać, czuje się na siłach... Ufa sobie!

— No, ja nie wiem — odezwał się któryś z oficerów czeskich. — Jazdę ma ładną, ale piechota słaba i niepewna... W pierwszej dywizji ma coś pięć tysięcy ludzi... Co robi jak go nacisną bolszewicy razem z Niemcami?

— E, do tego nie dojdzie! Sami wiedzą, że zmarnowaliby sobie tylko korpus, który im może być bardzo potrzebny. Zresztą, dla nich teraz ważniejsza będzie sprawa z Ukrainą...

— Ukraińcy idą razem z bolszewikami...

— Teraz! Póki jeszcze nie mają dość wojsk... A przecie ciągle nowe wojska zciągają...

— To dla głosowania podczas wyborów...

— To się pan myli! — stanowczo upierał się przy swoim Ziemia.

I pokazało się że miał słusność.

Na mieście spotkał Niwiński wkraczający uroczyście do Kijowa pułk imienia hetmana Połubotka. Żołnierze byli obdarci, brudni, w nigdy nie czyszczonych butach, zdziczali; konni jechali na oklep, bez siodła ani strzemion. Ale uzbrojeni byli dobrze i prowadzili za sobą liczne karabiny maszynowe.

A naraz, we czwartek dziewiątego listopada 1918-go roku, uroczyście ogłoszono na placu św. Zofji uniwersał, ustanawiający Republikę ukraińską. Odbyło się to w asyście oddziałów wojskowych, robotniczej gwardji czerwonej, ukraińskiej szkoły podchorążych i, rozumie się, przedstawicieli rządu nowego państwa. Było tłumno, ale zupełnie nie uroczyście.

Uniwersał zawierał rzeczy niewspółmierne. Ustanawiał republikę i równocześnie ośmiogodzinny dzień roboczy, a wyrzucając od jednego zamachu z ziemi całą ludność polską, dawał jej zato nacjonalną autonomję osobistą, stawiając jednak Polaków na trzeciem miejscu, po Rosjanach i żydach. Dokument był nieszczerzy, niesolidny.

— To się nie utrzyma, zobaczysz pan! — prorokował Ziembra.

— To bardzo źle, bo ja potrzebuję spokoju — skrzywił się Niwiński.

— Spokoju! Tego nie doczekamy już — chyba po śmierci!

Zimno było i bardzo chmurno. Popołudniu zaczął padać śnieg.

W parę dni później Niwiński ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzał przeciągający ulicami silny oddział marynarzy floty czarnomorskiej. Czarna kolumna morderców i rabusiów równym, wojskowym krokiem podeszła ku Muzeum Pedagogicznemu, gdzie rezydowała Centralna Ukraińska Rada Narodowa i tam marynarzy powitał mową prof. Hruszewskij, prezydent republiki.

— Co on myśli, tak uroczyście witając łotrów z rękami zakrwawionemi krwią bezbronnych ludzi. Czy go nie wstyd? Jednakże — potrzebuje tych marynarzy, więc musi milczeć. Jakaż to haniebna rzecz ta polityka!

Przemawiał też Winniczenko:

— W tej groźnej chwili, kiedy się wszystko splątało, przypominam wam, iż wy, marynarze, zawsze broniliście wolności i porządku.

-- Strzelając z rewolwerów w uszy kilkunastoletnim uczniom szkół kadeckich! — przypomniawszy sobie Niwiński.

Tak, Winniczenko potrzebował marynarzy, więc musiał kłamać i schlebiać im, ale on, Niwiński, nie potrzebował ich, więc plunąwszy z pogardą w ich stronę, odszedł.

W westybulu opowiadał syn dyrektora hotelu, gimnazjasta:

— Było to zgromadzenie młodzieży szkół średnich, sympatyzującej z kadetami. Tymczasem pokazali się między nami także „ukraińcy“ i ci chcieli nam zgromadzenie rozbić. Między uczniami „ukraińcami“ a uczniami „kadetami“ wybuchł spór na gruncie różnic ideowych. O mało co nie przyszło do skandalu...

— Jacy mi drażliwi na skandale! — uśmiechnął się Niwiński.

Oto — głównodowodzącym armji rosyjskiej bolszewicy mianowali chorążego Krylenkę, znanego w partji pod nazwą „towarzysza Abrama.“

— Cóż za zawrotna karjera! — kpił Szydłowski. — Gdzież porównać z Napoleonem!

Wiadomości, jakie Czesi przywozili z frontu, były bardzo przykre. Front rosyjski poprostu zniknął, patrole austriackie swobodnie chodziły po okopach rosyjskich, docierając nieraz aż do komend korpuśnych. Siódma armja i „osobaja armja“ zeszły zupełnie z pozycji. Bolszewicy proponowali Niemcom pertraktacje pokojowe — na co Niemcy zażądali od nich cofnięcia się na sto

wiorst od dotychczas zajmowanej linii. Kiedy generał Duchonin odmówił prowadzenia pertraktacji pokojowych, bolszewicy, demoralizując wojsko przy pomocy iskrówek, kazali komitetom pułkowym, a nawet prostym żołnierzom prowadzić pertraktacje na własną rękę. Zaczynało się bratanie. Zapowiadano powszechną demobilizację armji i floty.

Czasami ktoś się odezwał.

I tak pewnego dnia dzienniki ogłosiły list otwarty do Krylenki:

— Ja, komisarz przy 13-ym korpusie, od samego początku biorący udział w wojnie jako ochotnik, obecnie porucznik w 56-ym pułku syberyjskim, mam oficerski georgiewski krzyż i należę do partji mieńszewików: Za hańbę, jakiej doznała Rosja-męczennica i nasza nieszczęsna armja przecz to, że was Krylenkę, chorążego, nikomu nigdy nie znanego mianowano na święty, wielki posterunek głównodowodzącego, zaocznie swą ranną ręką biję was w twarz i pytam: czy wobec tego przyjmiecie jeszcze stanowisko głównodowodzącego?

Taki sam telegram posyłam równocześnie szaleńcom, którzy was mianowali.

Syn włościanina wiatskiej gubernji, porucznik Marcewicz.

Rozumie się, na nowym głównodowodzącym takie demonstracje nie robiły najmniejszego wrażenia. Dowodził dalej dwudziestu miljonami żołnierzy rozlatujących się armji wszystkich frontów rosyjskich, a przede-wszystkiem gotował się do krwawej rozprawy z aresztowanymi generałami i z korpusem polskim.

— Tak, wszystko idzie po myśli i według komendy Niemców — mówili Czesi, którzy dobrze rozumieli tę grę.

— Trzeba się teraz wziąć w kupę, bo inaczej będzie źle. Jak was zjedzą to i na nas się rzucą.

Odbływały się różne narady polsko-czeskie, w których i Niwiński brał żywy i czynny udział. Ze strony polskiej postanowiono, wobec wzmagającej się wciąż w korpusie agitacji bolszewickiej, werbować ochotników z pośród inteligencji i jeńców, głównie Poznańczyków.

— Bo to najtwardsi żołnierze i najtwardsi Polacy! — mówił Ziemia, który teraz wraz z Niwińskim i przy pomocy Czechów organizował gwałtowną agitację w obozach.

Mówiono też o wielkim mityngu protestującym ludów austriackich a występujących przeciw Austrii. Był to pomysł Masaryka, który w ten sposób zamierzał zachować znajdujących się u steru rządów Ukraińców, demonstrując zarazem zgodny antyaustriacki front ideowy.

A tymczasem Kornilow istotnie uciekł — za co „ozdoba i pycha rewolucji rosyjskiej,” marynarze, bylego głównodowodzącego, generała Duchonina podnieśli na bagnietach a potem zastrzelili.

Zaczęła się jakaś awantura nad Donem. Kozacy pobili bolszewików.

Koło Charkowa pojawiły się naraz podążające na południe „niewiadomego pochodzenia” szturmowe bataljony. Zastąpiły im drogę wojska bolszewickie i zapasowy pułk polski, zbolszewiczały już za czasów Kiereńskiego i rozmyślnie przez niego przeciw dywizji polskiej hodowany. Ale Kornilowcy nie wiele sobie z tych wojsk robili i „zniknęli.”

Piotrogród się ruszył. Odbyła się olbrzymia demonstracja stutysięcznych tłumów, domagających się pełni władzy dla Konstytuanty.

Te drobne niepowodzenia bolszewików ośmieliły Ukraińców, którzy pewnej nocy otoczyli w Kijowie i rozbili pułki nieukraińskie czyli bolszewickie. Przyszło im to bez trudu. Żołnierze oświadczyli, że uważają się za Ukraińców i w dalszym ciągu handlowali papierosami i kradzionymi butami.

A drugiego dnia odbył się olbrzymi, demonstracyjny miting ludów austriackich przeciw Austrii.

Wielką widownię rzęsiście oświetlonego cyrku dosłownie wypełnili ludzie, przeważnie żołnierze, dawniej austriacy, dziś rumuńscy, serbscy, polscy, czescy i ukraińscy. Niewolnicy odnaleźli swą broń, swe barwy i swą narodową komendę. Nosili się butnie, bo tę wolność sami sobie zdobyli, wiedząc dobrze, iż wolnymi mogą być i są tylko jako żołnierze. Bez munduru, w swej dawnej ojczyźnie byli wyjętymi z pod prawa zdrajcami, tu — jeńcami. Mieszaly się różne mundury i z radością pozdrawiali się żołnierze, ciesząc się z odrodzenia swych barw.

W kilku łóżach parterowych zasiedli wojskowi przedstawiciele ententy. Spojrzenia żołnierzy biegły ku nim — a zwłaszcza ku Francuzom i Belgijczykom. Wszyscy wiedzieli, ile zawdzięczali Francuzom, którzy w poszczególnych formacjach pracowali jako instruktorowie, a prócz tego zaopatrywali wojska w artylerję. Belgijczyków kochano za automobile pancerne, które żołnierzom w bojach niesły czynną i cenną pomoc.

Środek sali zajął szary tłum „zorganizowanych jeńców,” zapatrujących się na całą tę akcję krytycznie. Dobrze ubrani, zaopatrywani przez różne „Czerwone Krzyże” w ubranie i zapomogi, prócz tego pracujący na własną rękę w różnych fabrykach i warsztatach, syci, z czerwonymi gębami, siedzieli wielkim blokiem, obojętni i jak-

by senni. Uwijało się wśród nich kilku żydów, ubranych po cywilnemu.

Wystąpili mówcy.

Serb opowiadał o tragicznych bojach serbskiego narodu z Austrią, Słowinec o tem, jak Niemcy Słowińców tępią, Chorwat pomstował na Węgrów i Niemców, mówił po rosyjsku oficer rumuński, zjawił się nareszcie gorąco oklaskiwany Czech. Ale gdy żołnierz polski stanął na estradzie i rzekł:

— Przynoszę wam pozdrowienie z pod biało-amarantowych znaków, z pod znaków Orła Białego —

wśród jeńców, zajmujących środek areny, powstał ruch. Odezwały się jakieś głosy, i nagle zahuczały tubalne ryki:

— Precz z wojną! Dość wojny! Chieba nam dajcie, chleba! Jeść co nie mamy! Precz z imperjalistyczną Polską! Dość krwi! Dość wojny!

Z nieopisaną pogardą i wstrętem przyglądał się Niwiński grubym, tępym, bezmyślnym twarzom polskich bolszewików. Poznawał tych ludzi! Oto majster mularski, w wiecznej znowie przeciw swym robotnikom szachrujący z żydem i okradający własnych ludzi. Oto szabes-goj, pijaczyna i złodziej, stróż, którego już w żadnej kamienicy trzymać nie chciano, aż go wreszcie wziął do siebie żyd — i ujarzmił. Oto ludzie tępi i głupi a nędznych dusz, którzy przywykli do tej niewoli, aibowiem sprzedawali się za kieliszek wódki i parę papierosów. Wałkonie, nieroby, oczajdusze, mytki ludzkie, spędzone w stado bezrozumne...

— Co za bydlę! — mruknął do Szydłowskiego, który siedział przy nim.

Gwar trwał. Niektórzy jeńcy powstawali i krzyczeli coś do prezydum, wygrażając pięściami. Ośmielali się.

Huczeli, gardłowali, pewni siebie, swej siły, rozzuchwaleni ciszą i pustką, jaka się koło nich robiła. Na czoło ich wysunął się czarno ubrany żyd z typowo semicką twarzą i głosem skrzeczącym jadownicie charkotał coś.

Ale pustkę dookoła siebie źle sobie ci ludzie tłomaczyli. Odsuwano się od nich — przez dobrze zrozumianą ostrożność. Mocne oczy żołnierskie wpijały się w twarze, notowały je sobie, szukały najenergiczniejszych — a potem nagle rozpoczął się szturm. Ktoś lunął żyda przez łeb, stracił mu z głowy kapelusz, padł drugi, trzeci cios — żyd padł na ziemię, na czworakach prawie dopadł drzwi, wstał i chciał się wymknąć, ale tu dryblaz jakiś płaską, otwartą lecz twardą dłońią tak go zniwelowił, że żyd siadł na ziemi. Tymczasem towarzyszków jego obrabiano pięściami. Zaskoczeni bolszewicy cudów zręczności dokazywali, aby się z matni wydobyć. Przeskakowali po kilka rzędów foteli, ale bito ich wciąż.

A balkony i galerje aż falowały ze wzruszenia i irytacji, jednym wielkim głosem huczac:

— Bij! Bij! Bij!

Bolszewicy umilkli, zgromadzenie mogło się spokojnie skończyć.

Ten zabawny epizod na parę dni ożywił Niwińskiego, naogół jednak sytuacja stawiała się coraz gorsza i przykrzejsza. W Brześciu Litewskim bolszewicy rokowali z Niemcami w sprawie pokoju. Jakie to musiało być podle, niskie, nikczemne, wynikało choćby z tego, że jen. Skallon, sam lichy bardzo człowiek, członek delegacji pokojowej w Brześciu, nie mogąc znieść ogromu hańby, strzelił sobie w łeb.

— Kto to wszystko robi? — pytał czasami Niwiński. — Kto wciągnął Rosję w tak straszną otchłań upodlenia i jakimże sposobem ona dała się w tę otchłań wcią-

gnąć? I państwo i naród wiele mają na sumieniu niegodziwości, zbrodni. — Kara za to przyszła, ale tu się ktoś mści potwornie, nieubłagane, okrutnie...

Wpadła mu w rękę jakaś gazeta:

Czytał:

— Coś niewiarygodnego, nieopisanego, niesłychanego dzieje się w szpitaliku dziecięcym, w „Żłóbk” ziemstwa gubernjalnego. Część matek, nianie i służby szpitala, dla uzyskania lepszych warunków materialnych, chwytą się takich środków, jakby miała do czynienia nie z wątlemi dziećmi, lecz z maszynami fabrycznymi. Oto mija już kilka miesięcy, jak część personelu znajduje się w stanie chronicznego strajku. Mamki i nianki nie chcą karmić ani przewijać dzieci, które skutkiem tego dosłownie umierają z głodu i gniją w nieczystościach. Strajkujące mamki i nianki nie pozwalają nawet wynieść zwłok umarłych dzieci z sal, tak że gnijące już trupy leżą wraz z żywymi dziećmi. Strajkujący nie dopuścili do pracy tych, którzy chcieli dzieciom przyjść z pomocą, skutkiem czego trzysta niemowląt i dwieście dwadzieścia dwoje dzieci starszych zostało zupełnie bez opieki...

— Trzysta niemowląt! Głodnych, biednych niemowląt! Jak one strasznie muszą płakać w tych wielkich salach, same, bezradne, konające z głodu dzieci proletariatu! O, wy, suki rewolucyjne, wy brzuchy nielitościwe!

Sila wroga wciąż szarpała społeczeństwo strajkami. Zastrajkował personal szpitala obłąkanych, żądając równych praw i wynagrodzeń z lekarzami; strajkujący zagrozili, że chorych wypuszczą na wolność. Trzeba było karabinami maszynowymi trzymać ich w posłu-

szeństwie. Służba w połowie obiadu odchodziła i porzucała robotę.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że źródłem tych cierpień i nieporządków był bolszewicki komitet rewolucyjny. Widać było, iż nie mogąc się na Ukraińców rzucić otwarcie, bolszewicy chcą ich rozsrubować i doprowadzić pomalu do przewrotu.

W Piotrogradzie chorąży Blagonrawow na rozkaz bolszewików wyrzucił za drzwi członków Konstytuanty.

W Kijowie aresztowano komitet bolszewicki z komisarzem Piatakowem; Piatakow zniknął. Mówiono, że Ukraińcy rozstrzelali go.

Bolszewicy zagrozili strajkiem powszechnym, który się nie udał.

Władze ukraińskie zabroniły strajków, a prof. Hruszewskij w czwartym uniwersale ogłosił zupełną niezależność republiki ukraińskiej.

— Ale, do choroby ciężkiej, lepsza już Ukraina niż takie strajki mamck w schroniskach dla dzieci! — wołał Niwiński. — Co mnie zresztą do Ukrainy?

— Owszem, owszem, zgodziłbym się z panem, tylko że teraz idziemy już do wojny Północy z Południem, Ukrainy z Bolszewją... Zobaczysz pan! — przepowiadał Szydłowski.

— A wie pan? Wątpię! Bolszewicy może i mieliby gust, ale zasłabi są jeszcze! Sami niepewnie w siodle siedzą. Niechże pan weźmie pod uwagę, że wszyscy się od nich odsunęli, nikt nie chce razem z nimi pracować... Sojusznicy nie uznali ich, naród nie uznał, inteligencja uprawia sabotaż, z golemi rękami pójdą na Ukraińców? Przecie tu jest jakiś rząd!

— Nie widzę wcale, aby ten rząd był lepszy od bolszewickiego! — wzruszył ramionami Szydłowski. —

Tożsamo niszczenie wielkich majątków i prześladowanie inteligencji, połączone równocześnie z nienawiścią nacjonalistyczną. Cóż pan tu masz lepszego? Jakiż dowód siły wewnętrznej? Kto się z tym rządem liczy? I czy on istotnie jest wyrazem woli całego narodu?

— Może pan ma słuszość, ale mnie się przecie zdaje, że oni się utrzymają... Mają wojsko...

— To wojsko jest tylko do głosowania. Bić się nie będzie. Jak przyjdą bolszewicy, wojsko ogłosi się neutralnem i co mu wtedy zrobią?

— Francuzi do tego nie mogą dopuścić, bo wtedy już mowy nie byłoby o jakimś froncie tutaj i Niemcy wszystkie siły rzuciliby na francuski front. Francja wszystko robi, aby do tego nie dopuścić. Pchnie Czechów, pchnie nasz korpus i tę hołotę bolszewicką rozbijemy... Przecież to bandy!...

— Nie gorsze od band ukraińskich. A czy my pójdziemy przeciw bolszewikom, to niewiadomo. Mamy bronić rządu, który chce z ziemi nas wyrzucić, który nam dwory i majątki niszczy, za nic nas ma, a jeśli się utrzyma, zacznie szachrować z Austrią, z Niemcami? Jakże wtenczas będzie się przedstawiała kwestja wschodniej Galicji, cóż Lwów?

— Zapomina pan, że bolszewicy na korpus z pewnością napadną! Trzeba będzie życia gołego bronić. Wspólne niebezpieczeństwo połączy nas a może też wówczas i Ukraińcy trochę spokojnieją...

— Wątpię.

Ale Niwiński wątpić nie chciał. Wierzył w trwałość spokoju i w to, że te jakieś wściekle bolszewiki z Piotrogradu się nie ruszą. Koniecznie mu był spokój potrzebny. Zonie należało coś sprawić, a właśnie miał widoki na okazalszy zarobek. Zima była na szczęście lek-

ka, jednakże potrzeb było dużo. Niwiński sam był nieledwie obdarty. Jakieś oporządzenie się wymagało sum niesłychanych, zaś zamieszki wywołałyby jeszcze większą drożyznę.

Więc wierzył, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział XVIII.

CZERWONA RAKIETA.

W parę dni po ogłoszeniu zupełnej niezależności Ukrainy, zaczęły się jakieś awantury. W nocy na Peczersku wybuchła strzelanina, która przeciągnęła się przez cały dzień. Opowiadano, że „Sahajdaczniki“ i „bolszewicy-arsenalcy“ napadli na Peczersku na „Bohdanowców“, rozprószyli ich i wdarli się do arsenału, który następnie ostrzeliwali kozacy „Wilnoy Ukrainy“ i automobil pancerny.

Wtajemniczeni twierdzili, że sprawa wygląda trochę inaczej. Oto w Kijowie stały dwa pulki — im. Tarasa Szewczenki i Sahajdacznego — które, „podzielając poglądy bolszewików ukraińskich“ nie uznawały Centralnej Rady narodowej, zaś kiedy je chciano rozbroić, stawily opór. Oba pulki, dobrze uzbrojone i zaopatrzone w amunicję połączyły się z robotnikami, a uderzywszy na „Bohdanowców“ i „wolnych kozaków“ odparły ich i zajęły górny rejon Peczerska, gdzie się usadowiły.

Rozumie się, natychmiast rozpoczęła się też skrytobójcza strzelanina na mieście. Pojawily się gęste patrole ukraińskie.

Popołudniu zaczęto strzelać z dział.

— No i cóż? — śmiał się Niwiński, schodząc wieczorem wraz z Szydłowskim Prorezną ku Kreszczatykowi. — Niech strzelają. Jużemy to „brali.“ Co nam szkodzi, że głupcy między sobą się biją? Niech oni się wzajemnie lupią, a my będziemy siedzieć cicho i pracować!

Był kontent. Zmobilizował kilka tysięcy rubli, miał w perspektywie nowe zarobki, zaczynało mu „iść.“

Szydłowski przystanął i wsluchiwał się przez chwilę w odgłosy strzelaniny.

— Słyszysz pan karabiny maszynowe? Zdrowo grzeją.

— Słyszę, że strzelają, ale daleki jestem od pesymistycznych obaw z tego powodu. Jeśli już co — to „ukrainizm“ w każdym razie jest mniejszą niedorzecznością od „bolszewizmu.“

— Ach, pan wierzy w zdrowy rozum? Panie, masy pójdą nie za mniejszą, lecz za większą niedorzecznością...

Naraz chichot wściekły rozległ się nad ich głowami, coś mlasnęło żelazną szczęką i wysoko temperowany szrapnel wybuchł nad miastem.

Posypały się na ulicę odłamki.

— Do miasta strzelają! — zdziwił się Szydłowski.
— Wracajmy lepiej. Poco ryzykować!

— Nie, mój panie, ja w to wszystko nie wierzę. Te szrapnele nie dla nas przeznaczone, nic nam nie robią. Właśnie na złość pójde kupić wina i coś porządnego na kolację — póki jeszcze jest.

„Pasztetne“ były jeszcze wcale nieźle zaopatrzone. Niwiński z rozmachem i apetytem człowieka wierzącego w swą szczęśliwą gwiazdę, nakupił różnych smakołyków

i dumny z siebie, wrócił do hotelu, śmiejąc się z kano-
nady.

Podobny pomysł miał Ryszan.

Obladowany paczkami zjawił się wieczorem u Ni-
wińskich, proponując im wspólną kolację.

Helenkę wprowadziło to w doskonały humor. Oży-
wiona i rozbawiona nakrywała do stołu, podczas gdy
młodzi ludzie pili wino „na apetyt.”

— Więc wy teraz zachowacie bezwzględną neutral-
ność? — pytał Niwiński. — Słowo ci daję, że nie wiem,
czy robicie dobrze i czy nie macie prawa, poprostu ze
względu na siebie, wmięszać się w to wszystko...

— Wojsko czeskie wystąpi czynnie tylko w tym wy-
padku, jeśli Niemcy ruszą naprzód! Sparzyliśmy się już
raz, mamy dość.

— A zresztą, zdaje mi się, niczyjej interwencji nie
będzie trzeba. To się skończy na niczem. Bolszewicy
tu sił nie mają, a do Kijowa z Pitra daleko...

— No, ja nie wiem — zaczął coś mówić Ryszan, ale
nie skończył.

— Co sobie będziecie psuli apetyt! — odezwała się
Helenka. — Siadajcie lepiej do stołu i jedzcie, bo już bar-
dzo głodna jestem. Jakoś to będzie! Przeżyliśmy jedną
awanturę, przeżyjemy i drugą.

Po kolacji Niwiński, rozgrzany winem i rozbawiony,
otworzył okno. Pokój wnet wypełnił się mocnym, tęgim
hukiem dział i drobną trzaskaniną karabinów maszyno-
wych.

— Ależ się biją! — zaniepokoila się Helenka.

— Noc ciepła! — mówił Niwiński. — Przykryj dzie-
cko, niech okno będzie przez chwilę otwarte. Duszo tu
— i chciałbym posłuchać, co rewolucja gada. No, Ry-
szan, pij bracie...



Ze szklankami czerwonego wina w rękach wsluchiwali się w rytm bitwy.

— Tak to na świecie! — roześmiał się Czech. — Jedni się mordują a drudzy, za ścianą, wino piją... Ma to wszystko sens!

— Patrzcie-no! Co to takiego? — wykrzyknęła Helenka, wskazując na okno.

Rozsypując się w krwawe iskry z białej wieży soboru św. Zofji wleciała czerwona rakietą.

— Haha! — zaśmiał się Niwiński. — Masz swoją czerwoną raketę, Ryszanie! Przyszła już i do nas! Ciekawym, co nam ta gwiazda czerwona przyniesie! Do czekaliśmy się!

I przypił do światła krwawego.

— Ja już od tego blasku ośleplem i nie widzę nic — rzekł Ryszan — zgasła... I noc stała się jeszcze czarniejsza... Coś sygnalizowano... O, szrapnele... Widzi pani... Te światełka... Biją się nie na żarty...

— Zamknijcie już okno. Nieprzyjemny widok...

— Cóż! Burza! To przejdzie.

Nie przechodziło.

Strzelano całą noc.

Miasto było zaniepokojone. Ludzie zrywali się, zapalali światła, wyglądali z okien na ulicę, a przekonawszy się, że im nic nie grozi, kładli się znów spać. Lecz można było przysiądz, że nie spali.

Na drugi dzień wybuchnął powszechny strajk. Służba opuściła hotel. W kawiarni hotelowej goście sami się obsługiwali.

Niwiński uganiał po mieście, likwidując swe interesy. Był spłoszony. Golem okiem widziało się szrapnele, pękające nad miastem w ciężkich, skłębionych, szarych chmurach. Inteligencja prawie zupełnie zni-

knęła z ulic, wałęsała się po nich głównie miejska czerń. Sklepy pozamykano. Tylko „pasztetne“ były gdzieniegdzie otwarte.

Ziamba, którego Niwiński spotkał na ulicy, powiedział mu, iż są pogłoski, jakoby Dowbór-Muśnicki się ruszył i wziął Orszę.

— Nie bardzo temu wierzę — mówił skrzywiony i zmartwiony — ale wykluczone to nie jest. Może go Krylenko sprowokował. Byłby to jednak krok bardzo nierozważny.

Ale Niwiński się ucieszył.

— Panu to byle tylko stać na miejscu i nic nie robić! I to u pana nazywa się polityką!

Na Kreszczatyku stały gromady oberwańców i czerni, wpatrzonej w gromy, huczące nad Peczerskiem. Krążyły patrole i oddziały „wolnych kozaków“, którzy wyłapywali agitatorów. Cicho huśtając się i grożąc żelaznymi mankietami przemknął pancerny automobil.

Niwiński na wszelki wypadek nakupił szynki, wędlin, chleba, masła, miodu — i uciekł do domu.

Pod wieczór kanonada wzrosła. Gdzieś niedaleko gulgotał karabin maszynowy pancernika.

Całą noc strzelano z dział.

Rano Niwiński wstał, sam zapalił w piecu i przygrzał trochę kielbasy na śniadanie. Żona zrobiła herbatę i, choć strzały na ulicy stawały się coraz bliższe i głośniejsze, śniadanie zjedli w dziwnie spokojnem usposobieniu, tak dobrze na nerwy robiła im nieobecność nieżyczliwej służby i cisza w hotelu. Po śniadaniu Niwiński zszedł na dół, gdzie w drzwiach zastał gromadkę ludzi, wyglądających na ulicę.

— Gdzie się biją? — zapytał.

— Zdaje się, na placu św. Zofji. Bolszewicy prą

naprzód. Kule gwizdzą.

Mieszkańcy hotelu nie wychodzili na miasto. Bali się. Opowiadali sobie straszne historie o jakiejś rzezi „burżujów“ w Odessie, patrzyli na siebie wylęknięci.

Niwiński pokręcił głową.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie koło serca.

— Więc... być może... nadchodziło najgorsze. Trudno. Właśnie teraz nie trzeba tracić serca.

Wyszedł „na patrol.“

Dzień był szary, chłodny.

Dość dużo ludzi chodziło po ulicy, przemykając się pod ścianami domów. Inni zbierali się za węglami i wyglądali ciekawie. Był strach, ale zarazem i lekceważenie śmierci.

Przed bramą hotelu leżał na bruku zabity kary koń z rozkrwawionym łbem.

— Czy to zła wróżba? — pytał w duchu Niwiński.

Ciągnęło go iść dalej, bał się jednak, że może zostać odcięty. Żona umarłaby ze strachu.

Z niedalekiej redakcji czeskiego pisma wyszedł Ryżan, zielonawy i bez humoru.

— Masz jakie wiadomości? — pytał Niwiński.

— Murawiew ciągnie na Kijów z dywizją piechoty i z artylerją.

— Skąd wiesz?

— Z misji francuskiej.

Wrócili do hotelu, a ponieważ kawiarnia była otwarta, weszli.

Przy oknie na zwykłym swoim miejscu siedział, ciekawie wpatrzony w ulicę, Szydłowski. Jego mała twarz z śpiczastą bródką pobladła, ale oczy inteligentnie patrzyły prawie z uśmiechem czy też radosnym ożywieniem.

— Młodzi ludzie wdzierają się już do środka miasta!

— Ha! — odpowiedział lakonicznie Szydłowski. Siedzieli i patrzyli.

Ludzie kręcili się dokoła zaniepokojeni. Mówiono, że ktoś strzelił z hotelu, że to prowokacja służby, która chce wywołać rzeź. Pod przeciwległą ścianą pojawiło się na ulicy kilku zbrojnych drabów, z zadartymi głowami wpatrujących się w okna hotelu. Przez ulicę, dywiąc z rękawa, przeleciał parę razy samochód pancerny.

— Wiecie panowie co? — odezwał się Niwiński. — Wy tu sobie siedzicie, a ja skoczę naprzeciw po obiad. Boję się, że potem nie zdążę.

Przyniósł obiad, który zjadł z żoną spokojnie, starając się nie myśleć o strzelaninie. Wtem — jak gdyby ktoś kijem uderzył kilka razy w ścianę — coś trzasnęło. Zdziwił się, bo okno było na wysokości czwartego piętra.

— Ach, kule! Nie przysuwaj-że się do okna, Heja! Wstał i ostrożnie zaglądnął w okno.

Na długi balkon czarnego gmachu „Uprawy Ziemskiej“ wyskakiwali przez okna żołnierze i przyklękając strzelali w ulicę. Na placyku przed cerkiewką odbywał się regularny atak. Strzelając w stronę Rejtarskiej ulicy grupami przebiegali jacyś ludzie z karabinami, chowając się, za co było można.

Wtem w samym hotelu dały się słyszeć krzyki i wystrzały. Niwiński zaniepokojony wyskoczył z pokoju. Na korytarzu wśród gości hotelowych hałasowały jakieś młodziki z bronią w rękach. Ktoś wołał: — Atkrojtie syczas a to bombu broszu! — Żydziak w czarnym palto- cie, odbierając temu panu rewolwer, wykrzykiwał: — Czestnoje słowo, sam zawtra priniesu! — Zamęt był nie do opisania. Kobiety krzyczały.

— Wy gdzie żiwiotie? — zagadnął Niwińskiego zdyszany żołnierz. — U was byli uże?

— Byli! Byli!

— Gdzie żiwiotie?

Trzeba było zaprowadzić. Mieszkanie Niwińskiego w korytarzykach za bufetem, miało tę dobrą stronę, że trudno do niego było trafić, z drugiej strony jednak, gdy ludzi nie było w pobliżu, napastnik stawał się panem położenia.

W bufecie nawinął się jakiś „dieńszczyk.“

— Chodźcie z nami! — rzekł mu Niwiński. — Na świadka.

Tak weszli do pokoju.

Nie wypuszczając karabinu z rąk, ospowate soldacisko obszukało Niwińskiego, a potem zabrało się do „szukania broni“ w koszach i szufladach. Snać jednak i świadek „krasnogwardiejca“ krępował i wogóle niepewność położenia nie pozwalała mu na śmielsze kroki, bo wyniósł się, nic nie wziąwszy.

— Kto to jest? Co to za rewizja? — pytała Hela.

— Bolszewicy są w hotelu — odpowiedział jej mąż. Zbladła.

— Nie bój się. Zamkniemy się teraz i będziemy siedzieli cicho. Nie znajdą nas.

Ktoś zapukał.

— Kto tam?

— To ja! — zawołał Szydlowski.

Niwiński wpuścił go.

— Przyszedłem do państwa, bo nie mam się gdzie podziać. Na ulicy pod hotelem łańcuch tyraljerski, biją się. W kawiarni leżą ranni, dwóch ciężko rannych...

— Niech pan siada. I nam przyjemniej będzie. Obiad pan jadł?

— Nie, zasiedzialem się w kawiarni, a potem nie można już było wyjść.

— Cóż bolszewicy?

— Widzialem ich atak. Szli naprzód dość odważnie, ale nie mają zbyt pewnych siebie min, a wyglądają, jak ostainia holota. Strzelają z pod pachy, nie umieją strzelać, krzyki wyrabiają, ale rannych wciąż ze zmięszaniem oglądają i, widać, krew robi na nich przygnębiające wrażenie.

— Gości nie rabowali?

— Nie, zachowali się poprawnie... Czasu nie mieli... Znowu ktoś zapukał.

To Ryszan z kilku Czechami prosił o przytułek.

— Ci głupcy na dachu ustawili karabin maszynowy! — śmiał się Ryszan. — Miasto ostrzeliwują.

Istotnie, huk zrobił się straszny.

Siedzieli tak ze dwie godziny, rozmawiając półgłosem.

Naraz znowu odezwały się w hotelu krzyki, hałasy, wystrzały.

Ryszan nie wytrzymał i wyskoczył na zwiady. Po jakimś czasie wrócił, donosząc, iż hotel jest znów w rękach Ukraińców.

Niwiński wyprowadził gości. Na schodach między drugim a trzeciem piętrem leżał trup, nad którym kilku „wolnych kozaków“ świeciło zapalkami. Bolszewik otrzymał strzał z rewolweru prosto w głowę. W ciemnym kurytarzyku na drugim piętrze było kilka trupów, na schodach wszędzie krew, w kącie westybulu jeżył się stos zdobytej broni, podłoga kawiarni zbryzgana była krwią, za słupkiem na podłodze trup, dalej znów kilka trupów. W szeroko otwartej bramie hotelowej

z rozbitymi szybami, z bronią głową do strzału stał posterunek ukraiński. Po ciemnych korytarzach biegali wylężnięci, podnieceni ludzie.

— Jakież to straszne! — szepnął Niwiński. — W parę chwil z hotelu zrobiła się rzeźnia zakrwawiona i pełna trupów.

Zciemniało się.

Na ulicy gwizdały kule karabinowe.

— Ponuro i nieprzyjemnie to wygląda — zauważył Szydłowski, spoglądając to na zwłoki końskie, leżące przed hotelem, to na zamknięte okna milczących domów, to w posępną perspektywę ulicy.

— Może pan zanocuje w hotelu? — proponował Niwiński. — Sądzę, że dziś miejsca nie braknie. Dużo ludzi uciekło...

— E, nie, pójdę do domu — rzekł, podając mu rękę.

— Z Panem Bogiem, kochany Szydło.

Niwiński stał chwilę przed bramą.

Szło ulicą w stronę placu św. Zofji trzech wyrostków w wieku około piętnastu lat, obłożonych, oberwanych, z karabinami na ramionach. Jeden z nich miał długą kawaleryjską szablę, sięgającą do pięt.

— Stoj! — krzyknął posterunek. — Wy kto bu-dietie?

— Siczowyki! — odpowiedzieli malcy.

— Tu wy „Siczowyki“ a dalej za „krasnogwardiej-ców“ podacie się, swolocz... Czego się wałęsacie...

— My „Siczowyki...“ Towariszcz, daj patronów...

— Durak! Nie widzisz, że u mnie japoński karabin? Japońskie patrony nie do ruskich...

— A kakie-ż japońskie? — z ciekawością spytał malec.

Nadziwiwszy się ostro zakończonym nabojom w lśniącej łusce, malcy odeszli, obojętni na kule, poważnie gwizdzące dokoła nich.

— Ej, a jak was kto postrzeli! — wołał Ukraińiec.

— Niczewo, ja krasnawo kwasu nie ispużajuś! Nie małosolnyj uże!

Od strony placu Teatralnego pokazał się wolno pod ścianami domów jadący samochód ciężarowy Czerwonego Krzyża. Z drugiej strony od placu św. Zofji kilku ludzi niosło ciężko rannego człowieka. Stojący na warcie przed hotelem posterunek krzyknął na Czerwony Krzyż, prosząc, żeby i z jego domu naprzeciw ciężko rannego zabrano. Ale szoferzy przecząco potrząsnęli głowami.

— My tylko amunicję wieziemy! — wołali.

Od strony św. Zofji biegł jakiś pan. Koło hotelu przystanął i, ciężko dysząc, odpoczywał przez chwilę. Potem pobiegł dalej.

Korzystając z zapadającego zmierzchu z sieni domów powychodziły kryjące się w bramach dziewczęta. Biegały po ulicy lub plotkowały, pokrzykując za każdym strzałem. Jakiś malec, skacząc jak wróbel, podrzeźniał się kulom — a potem naraz upadł, udając zabitego. Posterunek, widząc to, złożył się do niego z karabinu i krzyknął:

— Wstawał a to strielat' budu!

Smarkacz zerwał się i uciekł z głośnym śmiechem.

Z Małej Podwalnej wynurzył się na koniu chłop. Nie zważając na kule środkiem drogi jechał ku placowi św. Zofji. Po jakimś czasie zsiadł z konia, a potem za-

wrócił i szedł pod domami chodnikiem, prowadząc konia za sobą. Kopyta końskie człapały głośno.

Kiedy przechodził koło posterunku, rzekł:

— Preżdzie pany tudy chodyły, teper loszad' idiot!

Ulica była zupełnie pusta.

Dwa psy zlizywały z bruku krew zabitego konia.

Rozdział XIV.

WOJNA DOMOWA.

Sytuacja była wciąż niewyraźna.

Jedni mówili, że siły bolszewików wzrastają, że lud z nimi się łączy, że nawet kobiety stoją w szeregach i biją się, drudzy twierdzili, iż do Kijowa nadciągnęły dwa najlepsze pułki ukraińskie i że z pomocą idzie dziesięć tysięcy wojska polskiego. Opowiadano też, jakoby korpus polski zajął Orszę i Mohylew i przerwał gdzieś linię kolejową. Z powodu śmiertelnego zranienia przez bolszewików francuskiego majora Jourdan spodziewano się również interwencji wojsk czeskich.

Walki nie ustawały.

Nie było światła a nawet świec nie można było palić bez narażenia się na niebezpieczeństwo, bo do okna oświetlonego natychmiast strzelano. Nie było też wody, nad czem bolała bardzo pani Niwińska ze względu na dziecko. Na szczęście w łazience hotelowej był pełny rezerwoar, z którego klucznica, chuda Czeszka, chętnie jej wodę w tajemnicy przed gośćmi dawała. Jakiś czas jeszcze z ostatnich zapasów Czeszka, mająca naprzeciw hotelu małą jadłodajnię, gotowała obiady, które Niwiński nosił w menażkach na górę. Ale raz półtóry godziny musiał

czekać, zanim się mógł z obiadem przedostać z jednej strony ulicy na drugą — tak gęsto strzelano.

Zwykle rano wybiegał na miasto po żywność. Ulice pełne były ludzi taksamo, jak on, poszukujących wiktualów. Każdy wracał obładowany i ucieszony tem, że coś dostał. Ale chleba już nie było, kupowało się szynkę, miód, sucharki. Zapasy wyczerpywały się.

Ulice wyglądały strasznie. Szyby wystrzelone salwami z pancerników, szkło zgrzytało pod nogami, dokoła drzew bruk zasypany był pościnanemi gałęzmi, druty telefoniczne zerwane, do starganych strun harf olbrzymich podobne, zwisały, zwijając się w powietrzu, nawet tramwajowe przewody elektryczne były podarte. Wszędzie widziało się gęste ślady kul.

A potem znowu zaczynała się bitwa i połączone z nią „propagandystyczne strzelanie“ bolszewików do niewinnych ludzi. Więc wszyscy umykali do domów i tak spędzali dnie w przygnębieniu, nie wiedząc właściwie co się dzieje.

Hotel wciąż rewidowano. Kto miał w mieście znajomych, przeprowadzał się do nich. Frontowe pokoje stały prawie wszystkie pustką. Opowiadano sobie, że „Praga“ jest siedzibą monarchistów i „czarnej sotni“, że bolszewicy w danym razie zechcą hotel zniszczyć. Czy tak było, Niwiński nie wiedział, wiedział jednak, że w „Pradze“ mieszkał oficer, który komenderował pancernikami ukraińskimi; znał go osobiście i widywał się z nim często. Był to młody człowiek, smukły, o smagłej, pociągłej twarzy, zgrabny w ciemno-granatowym mundurze. Ten szczerze i otwarcie informował ciekawych o położeniu.

Jego zdaniem Ukraińcy bili się bardzo dobrze, ale bolszewicy wciąż otrzymywali posiłki. Chociaż ode-

pchnięto ich głęboko na Padoł i zdobyto sztab z miljonem rubli, z drugiej strony bolszewicki bataljon kolejowy przy pomocy pociągu pancernego bije się o główny dworzec kolejowy.

Zapas wody w hotelu wyczerpał się. Niwiński, jak szalony, rozbijał się za piwem lub za „sitro.“ Zona karmiła, miała wciąż pragnienie, potrzebowała płynów. Butelkę piwa — ostatnią — i dwie butelki „sitro“ dał mu poczciwy ochotnik czeski, w dodatku „bolszewik“ z przekonania. Pani Niwińska zdenerwowana zaczynała tracić panowanie nad sobą. Dziecko niezdrowe skutkiem jej irytacji, płakało przez cały dzień. Pieniądze szły, jak woda, a walkom ulicznym końca nie było widać.

Coraz większa troska, coraz większe znużenie ogarniało Niwińskiego.

Raz wieczorem znajomy Czech przybiegł do niego na górę z poleceniem, aby zgasił światło, bo pancernik nieprzyjacielski przedarł się do miasta, a bolszewicy idą naprzód. Na szczęście wiadomość była fałszywa, zato pokazała się woda i światło elektryczne. Wszyscy, którzy jeszcze mieszkali w hotelu, z konewkami i dzbankami zbiegli nadół, do rezerwoarów, które otworzono.

— I tak zaczyna się demokratyzacja. Sami już sobie wodę nosimy! — mówił Niwiński.

— A czyż to nam nowina? — odpowiedziała żona.

A wprowadzona w dobry humor tem, że woda jest, uśmiechnęła się:

— Nie pamiętasz? Przy studni pierwszy raz mnie pocałowałeś! Bogu dzięki! Pięć dni nie było wody ani światła...

— Już pięć dni? — zdziwił się Niwiński. — W takim życiu zupełnie się traci rachubę czasu...

Zastanowił się.

— Toby znaczyło jednak, moja droga, że żyjemy bardzo intensywnie...

— Daj mi spokój z tą intensywnością. Tak mnie już zmęczyła, że ledwo żywa chodzę...

— Będziesz dobrze spała.

— Tak, pójdziemy spać w nadziei, że się choć wyśpiemy do jutra spokojnie. A jutro — zobaczymy!

Nadspodziewanie na drugi dzień przyszło jakieś uspokojenie.

Na mieście opowiadano sobie, iż wojska polskie zajęły dworzec. Porozlepiano też afisze, donoszące o zwycięstwach wojsk ukraińskich nad bolszewikami, ale niewiadomo gdzie.

Niwiński, jak zwykle, furazował przed południem. Kiedy wracał do hotelu, nad miastem, w okolicy „Pragi“ trzasnęły dwa szrapnele — jak gdyby wystrzelone z dworca. Ale taka jest siła wiary ludzkiej, że Niwiński, mimo ten dziwny znak, uwierzył w poprawienie się sytuacji.

Ku wielkiej radości zauważył, iż kawiarnia hotelowa była otwarta i że siedzi w niej na zwykłym swoim miejscu Szydłowski ze znajomymi nieznajomymi. Osobno, spokojny jak zwykle, siedział ów oficer, komendant pancerników.

— Co z wami słyhać, Szydło? — pytał uradowany Niwiński.

— Ano, nic. Dwa dni już nic właściwie nie jadłem. Żyję sucharkami, serem i herbatą. W żaden sposób nie mogę się dostać na Mikołajewską, gdzie jest pensjonat, w którym mam obiady.

— Słyszałeś pan, że podobno nasi opanowali dworzec?

— Nie wierzę. A to co, znowu pancernik?

Istotnie, w ulicy pokazał się samochód pancerny. Za nim w pewnej odległości straż przednia, potem w ogromnej, czarnej „papasze“ zadzierzysto maszerujący oficer ze śniadą, mongolską twarzą, za nim z muzyką około trzystu dobrze ubranych i uzbrojonych żołnierzy w czapkach z czerwonymi i niebieskimi fontaziami, wreszcie dwa karabiny maszynowe i dwa działa polowe z artylerzystami w wspaniałych, czarnych, kudłatych czapkach.

— Dobrze wygląda to wojsko! — zdziwił się Szydłowski.

— Bojowy „Kuriń“ atamana Petlury — rzekł oficer pancerników, który również z zaciekawieniem przyglądał się wojsku. — Dobry oddział, ale cóż? To garstka.

— A jakież położenie?

— Nieważno. Ukraińców mało. Arsenal jeszcze nie zdobyty. Bolszewicy wciąż dostają posiłki.

— Polacy są?

— Niet.

A mimo to wierzono w zwycięstwo Ukraińców.

W nocy Niwiński, szarpany sprzecznymi uczuciami i niespokojny, otworzył okno i jakby chcąc miastu wykraść we śnie jego tajemnicę, długo zwyczajem swoim wsłuchiwał się w odgłosy nocne.

We mgle smutno plonęły latarnie elektryczne, zresztą rzadkie. Miasto było kirem zasnutę. Kontury domów majaczyły ponuro. Psy ujadły niespokojnie. Daleko huczał salwami samochód pancerny, jakby kto werbel bił w bęben, w tympan. Od czasu do czasu gromowem echem grzmiały działa. W ulicach dudniało gęste echo wystrzałów karabinowych.

Następnego dnia wyszły niektóre pisma.

Podczas strzelaniny było przeszło tysiąc niewinnych ofiar!

Dalej:

— Jeśli wierzyć informacjom bolszewickim, większość miast w kraju przeszła już w ich ręce.

Znowu:

Sukcesy drużyn polskich!

— Jak to 21-go stycznia raportowano Centralnej Radzie, polskie drużyny bojowe stanęły w walce z bolszewikami po stronie ukraińskiej. Drużyny polskie wraz z Ukraińcami czuwają nad porządkiem w mieście i pomagają w oczyszczaniu miasta od oddziałów bolszewickich.

Według otrzymanych wczoraj w Kijowie wiadomości wojska polskie zajęły stację Żłobin. Z tegoż źródła donoszą, iż przy zdobywaniu Orszy Polakom wpadło w ręce trzysta dział bolszewickich.

Wojskim polskim, bijącym się z bolszewikami, przyszła z pomocą w rejonie Rohaczewa druga dywizja, znajdująca się dotychczas w twerskiej gubernji.

Z Witebska telegrafują, iż znajdujące się tam eszelony polskie wystąpiły przeciw bolszewikom i ruszyły na mińską gubernję.

Jak donoszą z wiarygodnego źródła, Polacy wystawili przeciw bolszewikom dużą, karną armję.

— I cóż pan na to, Szydło? — pytał z niedowierzaniem Niwiński.

— Niby na co? — sarknął Szydłowski.

— Na to, co panu przeczytałem. Bo tu istotnie drużyna polska jest, liczy paręset ludzi. Tylko, że my dotychczas z przyczyn politycznych nie mogliśmy jej poprzeć...

— A te przyczyny polityczne nie zmieniły się. Rząd ukraiński chce zupełnie znieść nasz stan posiadania. Z jakiejś racji mielibyśmy mu pomagać?

— No, a bolszewicy naszego stanu posiadania nie zniosą?

— E, co pan wiesz o bolszewikach! Widziałeś ich pan kiedy?

Mimo zwycięstw bolszewickich wciąż strzelano z dział, a popołudniu zrobił się taki rumor, że Niwiński, który nic podobnego w życiu swem nie słyszał, uciekł do niedalekiej redakcji czeskiej, aby się trochę rozerwać.

Siedzieli i palili papierosy.

— Sakra! — zaklął jeden z dziennikarzy czeskich. — Mam ideę! Możebyśmy założyli coś w rodzaju wszechsłowiańskiej Armji Zbawienia, któraby przeciwdziałała rozwijającym się krwiożerczym instynktom i zdziczeniu Słowiańszczyzny...

— Jaka tu Słowiańszczyzna! — roześmiał się Niwiński. — To przecież Tatarzy i Finowie biją się z Chazarami i Peczeniegami... Różnica w tem, że jedni i drudzy mówią ruskiem narzeczem... Ale wojna jest mongolska...

Zaczął się tak straszny ogień działowy, że nawet Czechom, którzy niejedno na froncie widzieli, zrobiło się nieswojo.

— Trommelfeuer! — mruknął jeden z nich.

Niwiński wrócił do hotelu, zaniepokojony o żonę, która ujrzawszy go, krzyknęła na niego. Ale już nie reagował na to, nie dziwił się.

Nad wieczorem ogień trochę zcichł. Niwińskiego zawołano na posiedzenie komitetu domowego.

Kawiarnię w mig zmieniono w salę obrad. Kolumnami ustawiono krzesła, dla prezydum znalazł się stół, przykryty zielonem suknem, dwie szklanki wody. Zeszli się mieszkańcy hotelu, zaś przy stole prezydjalnym zasiadł między innymi przedstawiciel służby — lo-

kaj w ciemnym sweaterze, z równiuseńkim przedziałem na głowie, z miną krytyczną, nieufną i nadętą, jak gdyby już naprzód pokrzywdzony.

Przewodniczył jakiś adwokat, człowiek z suchym, drewnianym głosem i który natychmiast rozpoczął kłótliwą polemikę z dyrektorem hotelu: o wodę, o chleb, o dyżury nocne, o obsługę.

— Tak być nie może. Jeśli „służaszczyje“ chcą strajkować, niech strajkują, ale to jest gorzej — bo nie strajkują, nic nie robią, a procenty biorą.

Wstał przedstawiciel służby i kiwając się automatycznie, z miną uciśnionego patetycznym głosem zaczął dochodzić krzywd, jakich służba w hotelu doznaje.

— Placą nam wszystkiego sześć do siedmiu rubli dziennie w dzisiejszych czasach — wołał.

— Nieprawda! — krzyczał dyrektor. — Książkami dowiodę, że każdy z nich za sześć miesięcy zarobił dwa tysiące trzysta rubli!

— Czort waźmi! — zaklął któryś z oficerów. — Ja nie jestem służącym, tylko oficerem a zarabiam wszystkiego sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie! Dawolno naszej krowuszki pili!

— Od trzech dni obiadu nie jadłem! — krzyczał przedstawiciel służby.

— Bo nigdzie obiadu nie było z waszej winy! — odpowiedziały mu okrzyki. — Kto z nas jadł obiad? Mierzawcy! Głodzą nas a potem mówią, że to my ich głodzimy!

Wreszcie komendantem hotelu obrano rotmistrza Obuchowa — zachryplego pijaczynę, olbrzymą, który mimo swego narodowego nalogu, miał dużo spokoju, rozwagi i taktu. Zastępcą jego został jakiś Polak, również energiczny i stanowczy człowiek, choć bardziej ner-

wowy. Mieszkańcy hotelu ustanowili kolej dyżurów nocnych; te ich tylko obowiązywały. Za to służba miała dać dyżurnych do łapania wody, która wyłącznie w nocy się pokazywała. Przedstawiciel służby teoretycznie zgodził się na ten dyżur, zażądał jednak za te świadczenia osobnej dopłaty dla służby.

— Przecież my bierzemy na siebie obowiązek czuwania nad waszem bezpieczeństwem! — wołali „burżuje.“ — A wy za to nie chcecie dbać o wodę, która jest taksamo potrzebna wam, jak i nam?

— Więc nie czuwajcie nad naszym bezpieczeństwem! — odezwał się przedstawiciel służby. — My się rabunku nie boimy.

— Bo jesteście z rabusiami w zmowie!

— Być może. Zaś bez dopłaty dyżurować nie będziemy.

Skorzystał ze sposobności przewodniczący i w złośliwej mowie potępił dyrektora hotelu za to, że nie umiał utrzymać dobrych stosunków ze służbą.

— Szanowni państwo! — wołał dyrektor z goryczą. — Rzecz w tem, że gdybym ja każdemu z nich dał i po pół miljona miesięcznie, oni i tak zadowoleni nie będą. Oni chcą rządzić, chcą być czemś!

— Zupełnie słusznie! — oświadczył przedstawiciel służby. — Tak jest, my chcemy być czemś, chcemy rządzić.

— To trzeba umieć!

— A naszym zdaniem — nie potrzeba. Tak głupio rządzić, jak rządziła burżuazja, my też potrafimy. A dlaczegoż my nie mamy rządzić, skoro mamy potemu siłę? A czyż nie siłą wy doszliście do rządów?

Z wielkiem i szczerem zajęciem przysłuchiwał się tej dyskusji Niwiński. Rozumie się, źle rządzić potrafi

każdy, więc czemuż miałby z całą świadomością nie rządzić źle, skoro znajdzie siłę, aby rządzić? Czy którykolwiek z Romanowów, Hohenzollernów lub Habsburgów nad tem się kiedy zastanawiał? Czy zastanawiał się nad tem ambitny głupiec lub pyszałek, któremu środki i stosunki pozwalały na to, aby był posłem, prezesem czegoś lub ministrem? Czy on sam, Niwiński, ludzi takich mało znał?

Wieczorem niespodziewanie w pokoju Niwińskich zjawił się Ryszan z bochenkiem chleba i porządnym kęsem małosyjskiej kielbasy.

— Gdzieżeś ty się, chłopie, podziewał! — wołał uradowany Niwiński. — Kilka dni cię nie widziałem.

— Wysłano mnie z instrukcjami do Darnicy, do rezerwowego bataljonu naszego, który tam stoi. Tysiąc dwieście „kluków...“ Straciliśmy z nimi kontakt i baliśmy się, żeby jakiego głupstwa nie zrobili, tem bardziej, że... że ta swolocz nam na Słobódce kilkunastu chłopców haniebnie zamordowała i trupy zbeszczyła. — O, tego nie darujemy, za to nam Murawiew musi dać zadośćuczynienie.

— Jaki Murawiew?

— Bolszewicki głównodowodzący. Przecie to on ostrzeliwuje Kijów. Stoi już na Peczersku z całą dywizją piechoty i z artylerją, a na dworcu, raczej koło mostu kolejowego są dwa bolszewickie pociągi pancerne. -- Dostałem się do Darnicy łatwo, ale przez trzy dni wędrowałem z powrotem...

— Cóżżeś widział?

— Niema co gadać. Bolszewicy — maładcy! Widziałem, jak „następowali“ na jednym placu. W mig ich padło ze dwudziestu ludzi, a wciąż szli naprzód... Ludność przedmiejska pomaga im. Kobiety, dzieci

w ogniu zbierają rannych, przynoszą wodę, jedzenie... Tam entuzjazm... Tu grupki tchórzów lęklawie wyglądają z za rogów ulic... Ale biją się jedni i drudzy — strasznie. Na Szczekawińskim cmentarzu strzelcy ukraińscy poszli na bolszewików na bagnety i do trzystu ludzi zakłuli. W jednym miejscu pod jakąś cerkwią sześć godzin stałem i nie mogłem przejść na drugą stronę ulicy, tak do siebie walili z karabinów maszynowych... i to kulami „dum-dum...” Wszystko dokoła ciebie w powietrzu trzaska, w górze, po lewej stronie, po prawej. — W pewnej chwili w tem piekle pojawił się roznosiciel gazet... Miał pisma moskiewskie i piotrogrodzkie i ta rosyjska publika taka ciekawa, że wprost pod ogniem karabinów maszynowych wydierała chłopcu gazety z rąk... Ciekawa historia! Przez cały czas bitwy u wrót cerkwi siedział ten ślepy w brunatnym płaszczu, co to z wielkiej książki dla niewidomych odczytuje modlitwy. Cerkiew była pod ogniem pancernika ukraińskiego. „Samowar“ wystrzeliwał całe „wstęgi,” salwy trwały czasami nieprzerwanie po kilka minut... A ten nic, tylko nieprzerwanie klepał swoje „Sachrani od smuty, od krowopralitija... Wadwari Boże mił na Ukrainie...” Dopiero kiedy pancernik się cofnął i ogień ustał, żebrak wstał, zwinął wojłok, na którym siedział i odszedł... Ja w niektórych miejscach przekradałem się na czworakach... Straszne rzeczy, mówię państwu... Bolszewicy powypuszczali z więzień skazańców, wszędzie w „uczastkach“ niszczą archiwa...

— Oczywiście, najważniejsza rzecz...

— Tu, u nas, wśród zabitych w hotelu — odezwała się pani Niwińska — znaleziono przy jednym z zabitych cały pęk wytrychów...

— Ale, co ty mówisz?

— A drugi, ten rzekomy Orłow, kozak, co to padł na schodach, był hersztem bandy rabusiów... Ten, co dostał kulą w czoło...

Niwiński zmartwił się.

— Taak... Wszystko to jest bardzo zajmujące, ale mało pocieszające... To niby perspektywa miła — obstrzał z ciężkich dział, taki solidny, regularny obstrzał...

Następnego dnia ogień działowy wzmógł się jeszcze bardziej. Ukraińcy ustawili dwa działa na placu św. Zofii, a dwa działa na placu Teatralnym, skutkiem czego cały znajdujący się między temi placami odcinek Włodzimierskiej i widny na nim zdaleka wysoki gmach hotelowy znalazł się w ogniu dział bolszewickich, bijących ze wzgórza Batu-chana. Grzmiot był taki, że pani Niwińska zupełnie już panować nad sobą nie mogła i bała się wyjść na środek pokoju.

Popołudniu Niwiński od kogoś przypadkiem się dowiedział, iż w jednym z pobliskich sklepów mają sprzedawać chleb. Dostał był wprawdzie bochenek chleba od Ryszana, ponieważ jednak nikt nie mógł wiedzieć, jak długo jeszcze ta cała historia potrwa, należało korzystać ze sposobności. Nauczony doświadczeniem nie zraził się odmową, lecz warując na ulicy, czekał na chleb, co do którego wiedział, iż go przywiozą niezawodnie.

Nad wieczorem na Prorocznej ulicy pokazała się jakaś jazda, za nią bataljony piechoty ukraińskiej, na końcu każdej „roty“ siostry „Czerwonego Krzyża“ w białych „kosynkach“, szynelach żołdackich i w butach z cholewami. Wojsko najwyraźniej szło na pozycję.

Niwiński długo chodził po ulicy, czekając na chleb. Pewien znajomy spotkawszy go, opowiedział mu, iż właśnie przed paru godzinami przybył do Kijowa prze-

brany za prostego żołnierza lekarz z Odessy, który był świadkiem zdobycia tego miasta przez bolszewików. Podobno bolszewicy rozstrzelali dwustu siedemdziesięciu oficerów, a hajdamaków odeskich wieszali na latarniach. Wzamian za tę przyjemną wiadomość Niwiński poinformował go o przybyciu pułkownika Murawiewa, jego ciężkich dział i o jego wobec Kijowa zamiarach. Spłoszony znajomy natychmiast pobiegł do hotelu.

Zmierzchało się już, kiedy Niwiński usłyszał w ulicy turkot, wesole śmiechy i krzyki. Oto dwóch małych chłopczków ciągnęło wózek ręczny, pełen rumianych bochenków chleba, a takie było dziwne to rewolucyjne miasto, że choć głód nie na żarty już dokuczał, nie znalazł się nikt, któryby śmiał sięgnąć choćby po jeden bochenek. Na pustych ulicach milicji nie było, zaś wózek, pełen skarbów nieocenionych, pełen chleba, był pod opieką dwóch małych chłopców.

Wyrwawszy swój bochenek chleba, Niwiński wrócił do hotelu. Tam mieszkańcy hotelu na wieść o grożącym bombardowaniu miasta, z wielkim zainteresowaniem oglądali leżące w suterrenach sale bilardowe.

Prócz tego jednak czekał na niego jeszcze ktoś, zupełnie niespodziewany. Był to niejaki Lewitner, oficer czeski, żyd.

O tym Lewitnerze, którego często w kawiarni widywał, zdarzało się Niwińskiemu słyszeć różne, niebardzo pochlebne rzeczy: że jest szpiegiem, że, jako oficer, zajmuje się handlem, że sprzedaje wino, kradzione z piwnic cesarskich, co wszystko, ostatecznie, mogło być prawdą. Tenże człowiek przyszedł teraz do Niwińskiego i zrobił mu taką propozycję:

— Hotel „Praga“ nie jest bezpiecznym pomieszczeniem dla wielu przyczyn, a przede wszystkim dla wiel-

kiej wysokości gmachu, który znakomicie może służyć za „prciel.“ Państwo mieszkacie dość wysoko, huk tam musi być straszny, nieprzyjemnie, zwłaszcza dla pani, którą to z pewnością bardzo denerwuje. Ja mam pokój „opancerzony“, od podwórza dość ciasnego, a bardzo wysokimi murami okolonego, na pierwszym piętrze, tuż naprzeciw „Pragi.“ Ma się rozpocząć ostrzał miasta z sześciocalowych dział... To już dość dużo. Niechże pan pamięta, gdyby państwu tam na górze było już nieprzyjemnie, macie państwo do rozporządzenia mój pokój... Jest łóżko, na którem pani może spać, i duża, długa skrzynia, na której może spać pan...

— A gdzież pan będzie spał?

— Wszystko jedno. Znajdę miejsce. Choćby na płaszczu w przedpokoju. Niech pan nie robi ceremonji, niech pan nie krępuje się głupstwami, to nie jest odpowiednia chwila. O życie idzie. Ja mogę spać na ziemi. Na tem nic nie zależy. Mnie to zupełnie wszystko jedno. Niwiński zmieszał się.

— Ale skądże ja... Nie, bo pan nie rozumie... Ja już dawno o tem myślałem, wielu znajomych prosiłem, aby bodaj żonę z dzieckiem na ten czas przyjęli... Nikt nie znalazł miejsca... A pan przychodzi i oddaje mi pan jedyny pokój, jakim pan rozporządza...

— Ależ pomyślcie sobie, panie Niwiński, że ja po prostu ten wasz kłopot odgadłem. Boże mój! Przecież jestem inteligientnym człowiekiem!

— Dziękuję wam! — rzekł poprostu Niwiński, podając mu rękę. — Jeśli zajdzie potrzeba, skorzystam z waszej propozycji.

— A nie krępujcie się. Pokój gotów jest każdej chwili.

Kiedy, ujęty dobrym postępkim obcego człowieka, przyszedł do domu, lampa paliła się, ale żona drzemała. Czując potrzebę podzielenia się z kimś swem wzruszeniem, Niwiński pochylił się nad kołyską. Có-ruchna nie spała. Leżała cicho, a spojrzawszy nań swemi ufnemi, pocziwemi oczętami, uśmiechnęła się do ojca, jako do najweselszej, zawsze ją bawiącej figury.

— A ty, złodzieju jeden, ty córuś! — szeptał pochylony nad nią Niwiński. — Jakież to ty kawał „staremu“ zrobiłaś, że się tak śmiejesz, ty, czarownico, ty, có-ruchno tatusiowa! A kto będzie aj-luli, pies czy kot?

I usiadłszy przy kołysce, długo opowiadał coś dziecince w dziwnym futurystycznym djalekcie.

Rozdział XV.

OBLĘŻENIE.

— Ostatecznie dotychczas nic nam się w hotelu nie stało!

— Czy mamy czekać, aż nam się co stanie?

— Taki wielki dom, cóżby się mogło stać?

— Idź, przekonaj się na własne oczy. Ludzie z hotelu wynoszą łóżka, materace i pościel do sal bilardowych, do piwnic. Czy chcesz sprowadzić się do sali bilardowej na dole?

— Z dzieckiem? Za nic w świecie. Karmić przy nich, huścić małą...

— Nielegancko się wygląda, co? — warknął Niwiński.

— Bóg wie co jeszcze pomyśla, że nas na niańkę nie stać....

— A może nas stać, co? Więc tu zostać? A jeśli hotel zapala, jeśli pożar wybuchnie, jeśli atak w nocy! W ubogiem, prywatnem mieszkaniu nawet 'szukać nie będą, lecz tu mogą wpaść! Cóż wtedy? Krzyknę, i owszem. „Chyba po moim trupie,“ a oni się na moją propozycję zgodzą, przejdą „po trupie,“ i co wtedy z tobą, co z dzieckiem?

Patrzyła na niego skrzywiona, rozkapryszona. Uznała za stosowne być niezadowoloną, dać się prosić. Takie to wszystko nieprzyjemne! Tyle dni nawet na spacer nie wyjść. Była pewna, że właściwie, cokolwiek tam sobie-by kto myślał, winien był temu wszystkiemu mąż, nie wiedziała tylko, w czym ta wina leży...

— W każdym razie mogłeś być to wszystko jakoś inaczej urządzić — odezwiała się po jakimś czasie niechętnie. — Pewna jestem, że są dziś w Kijowie ludzie, którzy się niczego nie boją, którym nic nie grozi i niczego nie brakuje.

— Nie znam ich. Jakże się decydujem?

Nie chciała opuszczać pokoju, z drugiej zaś strony bała się.

— Ja nie wiem. To już jak ty chcesz. Tylko pamiętaj, żebyś potem nie narzekał.

— Przygotuj-że zawiniątko z najniezbędniejszymi rzeczami dla siebie i dla dziecka, a jak się zacznie robić źle, przeniesiemy się do Lewitnera.

Niwiński powiedział to dość miękko, ponieważ właśnie była cisza zupełna; nie strzelano. Nieustanne spory z żoną zaczynały go męczyć więcej może, niż samo oblężenie. Czasami wszystko mu już obojętniało, ale łapał się na tem i znów pobudzał w sobie energję, pewny, iż takie stany półsnu i apatji są najniezbędniejsze.

Byli po śniadaniu, kiedy do ich drzwi zapukał Ryszard. Zapowiedział, iż o pół do dziesiątej zacznie się bombardowanie miasta.

— Co robić — pytał go Niwiński. — Czy nam tu grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Nie wiem, czy grozi, ale może grozić. Gdyby się było dokąd przeprowadzić, sądzę, że trzeba-by tak zrobić...

— Lewitner ofiarował nam swój pokój...

— Lewitner? Jego pokój jest dobry... Przenieście się państwo zaraz.

— Kiedy nie strzelają...

— Jak zaczną strzelać, będzie zapóźno...

— To ja lecę Lewitnera uprzedzić...

— Ja muszę iść...

Niwiński zbiegł nadół, odszukał Lewitnera i obejrzał pokój, który istotnie wydał się mu bezpiecznym. Był jakby na dnie studni. Tylko w jednym miejscu między wysokimi szaremi ścianami domów widać było może dwumetrową szparę.

— Chodźcie ze mną, ja wezmę dziecko, a wy pomożecie zejść żonie, bo na schodach bardzo ciemno...

Już wychodzili, gdy naraz odezwały się pierwsze w tym dniu strzały działowe.

— Śpieszmy się! — zawołał Lewitner.

Pędem wbiegli po schodach na czwarte piętro.

Huk dział potężniał.

— Prędko, Heluniu... Dawaj kołdrę i koc, zawinę dziecko... Ja wezmę małą, ty idź z porucznikiem...

— Prędzej, miłostpani...

— Nie uduś dziecka...

Niwiński omatulił maleństwo kocami, wziął je na ręce, przebiegł przez korytarz i na oślep skoczył nadół po schodach. W ciemnościach nie widział nic, ale był pewny, że nie upadnie... Miał przecie dziecko na rękach!...

W westybulu stali strwożeni i wybladli ludzie.

Gmach trząsł się od huku dział.

— Otwórzcie drzwi! — zawołał Niwiński i pędem wybiegł przez hotel.

Na mgnienie oka zatrzymał się.

W ulicy było białe od dymu, nad dachami domów pękały szrapnele.

— Cofnąć się czy iść naprzód? — błyskawicznie leciało przez głowę Niwińskiemu. — Może naumyślnie los wyciągnął nas tak na ulicę, aby właśnie zniszczyć wszystko troje... A może właśnie wtedy przejdę bezpiecznie, a zginę w domu, dlatego że-m się nie zawierzył losowi... Nie... Naprzód iść!

Nawskos z dzieckiem na rękach przebiegł przez ulicę, a stanawszy w bramie domu Lewitnera, oparł się o nią tak, że sobą zaslonił dziecko i sięgnął ręką po klamkę.

Brama była zamknięta.

Nad dachem po drugiej stronie trzasnął szrapnel. Niwiński oczami poszukał żony.

Biedna, nieprzytomna prawie ze strachu, szła, słaniając się, pod ścianami domów, już po tej stronie ulicy. Porucznik szedł przy niej.

Dopadli bramy.

— Będzie co ma być! — myślał zrezygnowany już Niwiński i odwróciwszy głowę, patrzył co się dzieje w ulicy.

Naprzeciwko, na rogu, o jakie piędziesiąt kroków dalej, stała wysoka kamienica, z trzypiętrowym, murowanym narożnikiem. Nagle chlapnęło coś, pękło, pokazał się czarny dym i cały ogromny narożnik, jak nożem odcięty, runął na ziemię. W chwilę później drugi granat wywalił w domu potężny wylom. Cztery granaty, jeden po drugim, padły na dom, rwąc go i krusząc.

Otwarto bramę. Wpadli do sieni, a potem przez czyjś przedpokój do pokoju Lewitnera.

Niwiński pośpiesznie wypłatał dziecko z koców. Było oszolomione, trochę zaczerwienione, ale zdrowe i całe.

— Ha, aleśmy się zgrzali! — wykrzykiwał uradowany ze szczęśliwego ocalenia Lewitner. — Biją z dział, jak na froncie! Co za chamy! Własne miasto tak niszczyć, „macierz grodów ruskich“ tak poniewierać! Takowe szilenstwi! To sou blbouny, blbouny!

Zachichotał szrapnel nad podwórzem, pękł ze zgrzytem, strącił gzyms z czwartego piętra, zrzucił na podwórze masę szkła.

— I tu trafili!

— Ale, at' nam wleżą na zada! Tu nam nic nie zrobią. Fuchs, pod'sem! To jest mój kolega — przedstawiał jakiegoś drugiego oficera. — Ty umiesz gotować, zrobimy obiad. Musimy wszyscy obierać ziemniaki, żeby było prędej. Mamy trochę wędzonki, zupa będzie „fajn.“

W mieszkaniu, z którem łączył się pokój Lewitnera, było tłumno. Z wyższych pięter zlecieli się tu przerażeni ludzie i po pokojach i sionkach kryli się teraz, biedacy, z dziećmi, walśającemi się po kątach. Była jakaś rodzina polska — ona wciąż w kącie z dwojgiem dzieci, drżąca ze strachu, on wysoki, chudy, łysawy blondyn, wykrzywiony i wzdychający. Gospodarzem domu był żyd, Koerber z żoną i małym dzieckiem. Było jeszcze jakieś małżeństwo, młody oficer z żoną, kobietą drobną, niebrzydką, ale bardzo zalęknioną. Prócz tego wałśało się też po mieszkaniu aż pięciu oficerów rosyjskich.

Kiedy kanonada przeniosła się na inną dzielnicę, Niwiński wyszedł wraz z Lewitnerem odetchnąć trochę świeżem powietrzem i obejrzeć szkody, jakie pociski wyrządziły.

Dom na rogu Włodzimierskiej i placu dookoła Złotej Bramy był zupełnie rozbity. Pięć wielkich dziur odsłaniało jego wnętrze i przez te nieforemne, wyszarpnięte wybuchem granatu otwory, widać było wiszące krzywo na ścianach obrazy. Naprzeciw tego domu od strony ulicy Proreznej gęsto podrapana była druga kamienica narożna. Zleciał z niej wielki gzyms, który rozbił się na bruku i zatarasował z jednej strony ulicę szeroką kupą gruzów.

— Żeby to kto widział, żeby to kto zrozumiał! — dziwował się Lewitner.

Wrażenie było przygnębiające, tragiczne. Jakież okropne formy przybierała klasowa nienawiść, z jakże dziką wściekłością starała się wyrządzić szkód jak najwięcej, okazać się jak najsroższą!

A potem zaczęło się okropne życie „w podziemiach.”

Obiad, bardzo skromny, podano późno, o zmierzchu. Ponieważ światła elektrycznego nie było, świecono świeczkami. Ludzie zupełnie sobie nieznani, zamknięci w paru małych i ciemnawych pokojach, wspólnie przeżywali te straszne chwile, starając się jednakże nie przeszkadzać sobie wzajemnie, nie zwracać na siebie uwagi — więc w tłumie, pod nieustanną, ukradkową obserwacją, było się zupełnie samotnym.

Pani Niwińska kręciła nosem.

— Strasznie tu niewygodnie! — skarżyła się, trzymając dziecko przy rozchelstanej piersi i z grymasem patrząc na męża. — Tak tłumno!

— Przecież nas, jak widzisz, zostawiają samych...

— Ale wciąż ktoś wchodzi, to Fuchs, to Lewitner...

Owszem, poczciwi chłopcy, ale to okropnie krępujące. Spać na cudzym łóżku... Nie będę się mogła rozebrać... A gdzie ty będziesz spał...

— Na tej skrzyni.

— Na skrzyni? Twardo ci będzie.

— Wszystko jedno.

— Jakże ty będziesz spał na skrzyni... A może tu pluskwy są?

— Kobieto, nie wiemy, czy ranka doczekamy, a ty takimi głupstwami głowę sobie nabijasz!

— Tobie wszystko głupstwo!

— Jakże możesz tak mówić? Czy nie rozumiesz, że cała rzecz w tem, że tu o ciebie jestem spokojniejszy!

— Żebyś tylko ty był spokojny. Zawsze o sobie myślisz!

— Ja — o sobie?

Obraził się i wyszedł do frontowego pokoju; oficer, który go zajmował, nie siedział w nim, bojąc się zblakanych kul. Przechadzając się tam i nazad Niwiński od czasu do czasu podchodził do okna i wyglądał na ulicę. Ani jedno okno przeciwległej kamienicy nie było oświetlone, dom był jakby martwy.

— A przecież tam z pewnością siedzą ludzie! — pomyślał Niwiński.

A, ba, nie tylko siedzą! Rozbiegli się i niewątpliwie — po swojemu korzystają z zamieszania. Ktoś dzięki niemu dostał się do cudzej żony, która, może długo przed tem się wahając, teraz, wzburzona tem wszystkim, oddaje się pierwszy raz widzianemu człowiekowi i oboje, choć zresztą obcy sobie, we wspólnym rytmie swych serc i w splocie swych ciał znaleźli ulgę i zapomnienie. Gdzieindziej żona, w tajemnicy zdradzająca niekochanego męża, w swej trwodze nie znajdując przy nim uspokojenia, zbuntowała się i jawnie pobiegła do kochanka. Tam znów skromna panienka zapomniała

o wstydzie i — opinii — i wpuszcivszy do swego pokoju chlopca, obsypala go piezczolami dojrzalej i doswiadczonej w miłości kobiety. Gdzieindziej ktoś się upił, ktoś się modli, ktoś śpi, ktoś zastrzykuje sobie morfinę, a z pewnością są i tacy, którzy potrafiili dobrze zaslonić okna, a mając bogato zaopatrzone piwnice i spiżarnie, jedzą, piją, palą, grają w karty i opowiadają sobie anegdoty.

Odezwała się trąbka pędzącej cwałem straży ogniowej. Od czasu do czasu pustą ulicą przelatywał samochód z oficerami lub żołnierzami, ze zdziwieniem pokazującymi sobie kupę gruzów na rogu Włodzimierskiej.

To znów szedł Niwiński do przedpokoju, który, jako najbezpieczniejszy niby kąt, obsiedli dokoła znudzeni i zdenerwowani ludzie. Patrząc na nich, na ich zbolale, znużone i cierpiące twarze, miało się wrażenie, że się siedzi w poczekalni dentysty.

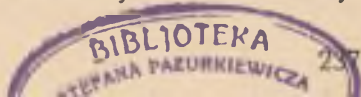
Z nudów rozmawiano czasem o Rosji i rewolucji rosyjskiej. Z nudów, bo Rosja w tem stadjum, jako temat, nikogo nie interesowała, a rewolucja rosyjska przybrała takie formy, iż jedynie zajmująca o niej rozmowa mogła być prowadzona tylko z punktu widzenia bezpieczeństwa osobistego — zaś tych tematów nikt nie chciał poruszać.

— Uznaliście nas, żydów, za ludzi, ale żyć nam nie dajecie! — wątrobił się Koeber. — Z głodu umrzemy. Nie nużno nam wasze blagorodstwo!

— Eto wy iz swojej jewrejskoj toczki zrienja! — pogardliwie bąknął któryś z oficerów.

— My wam nie dajemy żyć? A czy mało jest między bolszewikami żydów, którzy dziś mszczą się za dawny ucisk?

— Czemuz wy, inteligencja, nie zrobicie porządku? — irytował się Lewitner. — Tylu was siedzi ukry-



tych po domach. Na co czekać? Widzicie przecie sami, że tak żyć nie można.

— Jakież mamy robić porządek? Jesteśmy przedstawicielami ustroju i porządku, który się przeżył. Wiemy o tem, bośmy sami ten porządek raz na zawsze obalili. Nic nowego my stworzyć nie możemy i nie potrafimy, ale to dawne wrócić już nie śmie. Więc — co robić? Mamy iść z profesorem Hruszewskym? Nie. Nie on jest przedstawicielem nowego życia, ten intrygant austriacki!

— Więc czemuż nie idziecie do bolszewików?

— Nie jesteśmy bolszewikami!

— To was wymordują!

— Słuszajcie, paruczyk! Przecież my wszyscy, inteligencja rosyjska — burżuji — kak oni gawarjat — nie raz myśleliśmy o rewolucji i o tem, co po niej nastąpić może. Wiedzieliśmy, że po obaleniu dawnego reżimu, Rosja dostanie konwulsji, krwawych potów — a że to wielkie ciało, więc i cierpienie musi być wielkie. Nie o nas idzie, ale o nową Rosję... Bolszewicy to tylko przejście do nowej fazy... To wszystko musi wymateryzować, musi się wyjątrzyć... Dopiero wtenczas, może być, urodzi się coś nowego...

— I cóż to takiego może się urodzić? — wesóło roześmiał się Lewitner.

— Któż to przepowie?

Ale Lewitner śmiał się dalej.

— A ja wiem! Wy myślicie, że ja zwykły oficer, więcej nic, napół Austriak, duraczko z jakiejś tam Czechji! Że u nas — Marksa nie zna się, nie czyta, nie wie się nic, bo tylko wy — najmądrzejsi na świecie! A ja jestem doktorem praw, a choć dziś prawosławny, pochodzę z żydów, zaś żydzi mają dobrą głowę do spekulacji.

Wy myślicie o socjalizmie — bo na horyzoncie nic innego nowego niema.

— Może być...

— Ale wy socjalizm znacie z paru głupich broszur, a to trzeba bardzo dużo umieć... I powiem wam tyle tylko — ciesznoje słowo: Wasz Lenin i Trockij, choć także żyd, są głupszy odemnie, paruczika Lewitnera, bo ja napewne wiem, że ani socjalizm, ani komunizm w życie wejść nie może i nie wejdzie. Może być dużo zmian, może nastąpić pewna reorganizacja, lecz o usunięciu nierówności społecznych ani mowy...

— Zobaczymy. Popróbujemy parę lat...

— Panowie! — szydził z nich Lewitner. — Nie sądzicie chyba, że dzisiejszy świat jest znów zupełnie już głupi! Że wam pozwoli eksperymentować a nie pracować, a Rosja jest światu potrzebna i nie może iść na spacer, kiedy się jej podoba! Rosja należy do świata, a nie świat do Rosji! Za takie nagłe zrywania umów ciężko się płaci!

— Wam się zdaje, że wy nas wiecznie uczyć będziecie!

— Może nie? Co umiecie, tegoście się nauczyli od Europy! A czegoż my mamy się od was uczyć? Jak się własne miasta rozbija? Jużeśmy z tego wyrosli!

Nad wieczorem działa zaczęły grzmieć strasznie.

— Ukraińcy biją „biegłym agniom“ — mruknął Lewitner.

Zaś bolszewicy odpowiadali. Wciąż słyszano się eksplozje, zrobiło się piekło. Wieczorem w którymś domu wybuchł pożar. Naprzód po niebie rozlała się luna, potem przez szczelinę między domami widać było jasno palącą się kamienicę. Tam też musiała stać bateria.

Z pokoju, który zajmowali Niwińscy, widziało się czerwone ognie wystrzałów.

Wkońcu ludzie zaczęli tracić panowanie nad sobą. Ktoś wpadł z wiadomością, iż w kamienicy widziano marynarza — serca w ludziach zamarły ze strachu.

— Jezus Marja! Jezus Marja! — miotła się po pokoju pani Niwińska. Ja już nie wytrzymam! Tu pożar, tu te armaty, dziecko wciąż krzyczy...

— Nic dziwnego, że krzyczy... Daj, ja ją ponoszę...

Wyszła do przedpokoju odpocząć trochę od widoku wciąż wybuchających ogni.

Niwiński chodził po pokoju i śpiewał, kołysząc dziecko na ramionach.

Tak to trwało do pierwszej w nocy, poczem kanonada ustała. Ułożono się do snu, gdy wtem znów woda zaczęła śpiewać w wodociągu. Zrobił się gwałt, wypuszczano nieświeżą wodę, napełniano naczynia świeżą. W waterklozecie woda buchnęła nagle i wyrzuciła na ziemię nieczystości, które ludzie na podszewkach roznieśli po domu. Dziecko obudzone zaczęło płakać.

— Boże! Kiedy się to raz skończy! Raczej śmierć odrazu, niż taka męka! — westchnęła pani Niwińska.

Zaś Niwińskiemu przyszło na myśl, iż oto jest stróżem kamienicznym. Nie takie pokoje mieli nieraz ci biedni ludzie, nie takie, choć również, jak on teraz, przy wychodku. Smród, wilgoć, ciemność panowała tam cały dzień, okna nie można było otworzyć, bo pierwszy lepszy przechodzień przypadkiem mógł przez nie plunąć na talerz, a trzeba to było znosić — latami! Dziecko chorowało i płakało wciąż, i umierało, nie jedno... Te działa? To niepewność jutra, to to, że właściciel kamienicy z dnia na dzień wyrzucić mógł, na śmierć głodową skazać wraz z rodziną. Oto są te działa, oto co one znaczą.

Mówią, że „matros“ pokazał się w podwórzu, i dusze ludziom wnet uciekły w pięty... Bo on dziś pan, może zrobić, co chce... A dawniej kto inny był panem i gdy stróż zasnął, nie słyszał dzwonka albo nie dość prędko otworzył bramę, to co? Pan też robił, co chciał. Bił w pysk, nie raz, nie dwa... I stróż ni stąd ni zowąd ze stłuczoną mordą szedł spać... Przełękliście się o swoje żony... Co „matros“ z niemi robi? A jakże wy, kiedyście, wracając pijani do domu, ujrzeli otwierającą wam bramę młodą, ciepłą ze snu, nieubraną kobietę? Albo kiedy wani pranie zaniósł do domu, nie wywracaliście jej na łóżko? I tak było przez wieki i tak mogło być, i świat się z tego powodu nie rozleciał, ludzkość nie wyginęła, owszem, mówiliście, że dobrze było? No, to teraz może być inaczej i także źle nie będzie.

Usiadł Niwiński na swojej skrzyni i zadumał się.

— Bezwątpienia — ogromnie było wiele krzywdy społecznej — niepotrzebnej. Bo jest taka, bez której obejść się nie może. Naprzykład talent, wielki rozum, piękność — te zalety muszą człowieka zawsze robić uprzywilejowanym. Ale mnóstwo jest krzywdy zbytecznej, niepotrzebnej, krzywdy, której bardzo łatwo dałoby się uniknąć, a gdyby choć odrobina serca dla drugich... Cóż takiemu bydlakowi podlemu stałoby się, gdyby istotnie o tego swego stróża dbał... Tymczasem nagromadziło się w masach ogromnie wiele mściwości, poczucia krzywdy doznanej i poczucia mocy... Kultura? Tak, Mickiewicz jest dobry, ale ten Mickiewicz nie żyje w społeczeństwie, skazującym człowieka na gnicie życiem... O, nie...

Ale, do pioruna, cóż ja jestem winien temu wszystkiemu, za cóż cierpię ja, moja żona, moje dziecko? Czyż mnie, proletariusza inteligentnego, nie wyzyskiwano

i nie oszukiwano na każdym kroku? Czyż ja nie byłem taksamo ofiarą łajdactwa i wyzysku, jak pierwsza lepsza prostytutka w domu publicznym? Gorzej, bo jej zatrutowano ciało, mnie zaś duszę...

— A nie broniłeś tych złych rządów? Nie pomagałeś bezprawiu? — odezwał się daleki głos w głębi duszy. — Co zrobiłeś, aby gwałt ustał? Czy nie korzystałeś z łupu złodziejskiego? Czy nie brałeś pieniędzy, wydartych słabym?

Wszedł w siebie Niwiński i otwarcie przyznał się: — Może.

— A zatem jesteś współwinny zbrodni, bo z niej korzystałeś — wydał wyrok głos w głębi duszy.

— Ale czyż ci inni, ci pokrzywdzeni, te miliony uciskniętych nie pomagały w zbrodni nad samymi sobą? Nie brały części łupu?

— Były do tego zmuszone.

— A ja nie? Dlaczego? Ale ktoś to pierwszy właśnie powstał przeciw złym rządóm, bezprawiu i uciskowi, jak nie my?

— Więc będzie z wami jak z Rosjanami. Wywołaliście rewolucję. Jeśli teraz nie potraficie stworzyć nowego życia, ona was zmiecie...

W dwa dni później, jak zwykle, wczesnym rankiem Niwiński poszedł do niedalekiej mleczarni po mleko. Strzelano wciąż, ale już trochę rzadziej. Na rogu ulicy Proreznej stał stróż i odmiatał śnieg.

— Można iść bezpiecznie dalej? — zapytała go przechodząca obok niego dziewczyna.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa! — odpowiedział. — Robota prawie skończona.

Niwiński odetchnął z ulgą.

— Więc Ukraińcy przecie wygrali! — pomyślał i kupiwszy mleko wrócił dobrej myśli do domu.

Wtem wpadł Lewitner.

— Bolszewicy są w mieście! — zawołał z progu.

— Nie może być.

— Dokumenty sprawdzają. Poszedłem kupić papierosów, dostałem trzydzieści osiem sztuk, wychodzę na ulicę, patrzę — bolszewiccy żołnierze. Jeszcze mi się pytali: Papirosami targujesz, tawariszcz?

— A któż to strzela?

— Ukraińcy — za miastem. Chodźcie popatrzeć na bolszewików.

— Nie chodź, jeszcze cię zastrzelą! — wołała za Niwińskim żona.

— W bramie tylko stanę!

Na ulicy dwóch żołnierzy sprawdzało dokumenty rzadkich przechodniów. Niedaleko bramy stało dwóch jakichś ludzi w mundurach, ale bez broni. W bramie i przed bramą skupiła się gromadka co ciekawszych mieszkańców domu.

— Wiecie? — ktoś się odezwał. — Tych, którzy mają czerwone legitymacje ¹⁾, rozstrzelują.

Jeden ze stojących niedaleko nieznajomych natychmiast odwrócił się.

— Nie wierzcie temu, towarzysze! — rzekł. — Tak postępowali Ukraińcy. Teraz wszystko będzie dobrze.

— Ich „ochranniki!“ — zaczęło szeptać w gromadce.

— Lepiej nie gadać za dużo!

— Pewnie, że lepiej nie gadać! Oni — nie żartują, wiadomo.

¹⁾ Czerwone legitymacje żołnierzom i „wilnym“ kozakom wydawały władze ukraińskie. — Przyp. Autora.

Rozdział XVI.

CZEKAJ!

I znowu zeszli się przyjaciele przy kawiarnianym stoliku. Był Ryszan, Szydłowski, Ziemba, Niwiński. Szydłowski zlekka kulął, bo, przyciśnięty głodem, starając się dostać do swego pensjonatu, został na Kreszczatyku lekko ranny w nogę odłamkiem szrapnela. Opowiadali sobie swoje przygody i najnowsze wiadomości.

Pokazało się, że korpus polski, choć wciąż miał utarczki z bolszewikami, nie tylko nie przyszedł z pomocą Ukraińcom, ale oświadczył nawet, że nie wie, dlaczego miałby to zrobić wobec stanowiska, jakie Centralna Rada zajęła wobec Polaków.

— Ale wojsko robimy w dalszym ciągu, co? — pytał Niwiński Ziemby.

— Naturalnie. Może być, że Francja dojdzie z bolszewikami do iadu. A wy co robicie? — zwrócił się Ziemba do Ryszana.

— Zachowujemy jak najściślejszą neutralność. Nawiasem mówiąc pułkownik Murawiew, jak dotąd, bardzo się przyzwoicie wobec nas zachowuje. Delegacja nasza była u niego w sprawie pomordowanych okrutnie naszych żołnierzy i zażądała zadość uczynienia. Mura-

wiew kazał zwołki uroczyście pogrzebać, a w nagrodę za ściśle przestrzeganie neutralności całemu bataljonowi zapasowemu polecił wydać buty.

— Gdzie profesor Masaryk?

— W Kijowie. Przyjechał z Piotrogradu na początku rozruchów.

— Co to za nadzwyczajnie pracowity, ruchliwy i nieznużony starzec!

— Tak, pracowity. Urządza teraz specjalne konferencje polityczne dla nas, członków i urzędników naszej Rady Narodowej. Chodzę na te konferencje z najwyższą przyjemnością. On wprost urabia ludzi.

— Zawsze miał dziwną umiejętność zajmowania się młodzieżą.

— Kształtując młodzież, kształtuje przyszłość! — rzekł Ryszan. — Ale też on, jak mało kto, może powiedzieć, że ma swoich ludzi i ma się na kim oprzeć.

— Ze strachem myślę o tem, co teraz będzie...

Na ulicy pokazał się samochód z czerwonym plakatem, opatrzonym złotym napisem: „Śmierć burżuazji, przelewającej krew bratnią.“

--- No i patrz pan! My jesteśmy bezbronni, zdani na ich łaskę i nienadziej, prześladowają nas i dręczą w dzień i w nocy nieustannymi rewizjami, a tu naraz takie hasła, rzucane w tłum dziki, rozwydrzony a uzbrojony. Nie jest to zachęcające do życia i dodające odwagi.

— A ja jestem innego zdania! — odpowiedział Szydłowski... Ja sądzę, że to wpłynie raczej uspokajająco. Walka, jeśli będzie, to narazie tylko jednostronna, a zatem i łagodniejsza; proletarijat ma wszystkie środki walki, burżuazja jest zupełnie bezbronna.

— Ale kto tu ma robić, rządzić? Gdzież odpowiednie głowy?

— Co znowu? Jegorow, Polupanow i choćby Murawiew nie są w niczem gorsi od Napoleona, Murata, Ney'a i Bernadotte'a. Bolszewicy są w Rosji jedynie konsekwentni, odważni, stanowczy. Kaledin nigdy nie byłby się zdobył na bombardowanie Kijowa, on zdobywałby Kijów karabinami maszynowymi, łaskotałby go!

— Dobrze my na tem wyjdziemy!

— Dla nas to wszystko — temci lepiej, bo pokój teraz zawarty nie będzie, a jeśli Niemcy na zachodnim froncie zostaną rozbici, w co niezłomnie wierzę, to tu i bolszewickich wojsk dosyć na nich będzie.

Istotnie, miał Szydłowski słuszną, mówiąc, że walka będzie jednostronna.

Coś w dwa dni po wejściu wojsk bolszewickich do miasta, gdy ludność, z właściwym sobie oportunizmem, zaczęła już, nie wiadomo dlaczego, rządy nowych panów wysławiać, zupełnie niespodziewanie znowu zahuczały karabiny maszynowe na ulicach, znowu zaczęły się wyścigi dorożek i przebiegania trwożne z jednej strony ulicy na drugą. Nikomu nie było tajem, iż to brutalna i cyniczna prowokacja, mająca na celu sterroryzowanie wymęczonej ludności i przypomnienie jej, iż ona najzupełniej jest na łasce i niełasce zwycięzców. Zdawano sobie z tego sprawę, nikt jednak nie wiedział, jaką formę przybiorą represje. Strzelanina trwała dwie godziny, nawet z dział bito. Do kogo? Jedni bolszewicy chyba wiedzieli.

Odezwy głównodowodzącego bolszewickiego pułkownika Murawiewa, nie przyczyniały się też do uspokojenia ludności. Pułkownik otwarcie oświadczał, iż wobec krwiożerczości, jaką okazała burżuazja, przy najlepszych chęciach nie jest w stanie powstrzymać wojska od „słuszných ekscesów,” i nie starał się o to. Władze

bolszewickie wystawiały strażę tylko przed swemi instytucjami, o bezpieczeństwo miasta nie dbały zupełnie. Od bandytów, wierzących niezłomnie, iż teraz nadszedł czas ich panowania, mieszkańcy mieli się bronić strażami, wysławianemi przez komitety domowe, ale bezbronniemi. Z trudem broniono się napadom nocnym. Dzienniki zwolna konfiskowano i zamykano jeden po drugim. Drożyzna wzrastała szalenie, chleba prawie zupełnie nie było. Banki zamknięto.

Nagle wszystkich mieszkańców „Pragi“ wyrzucono na bruk. O jedynastej godzinie przed południem przyszedł rozkaz, aby do godziny siódmej wieczorem hotel był zupełnie opróżniony. Niwiński, wytłomaczywszy to żonie, poleciwszy jej spakować rzeczy, poleciał na miasto, i jęcząc, napół płacząc z irytacji i niepokoju, biegał od domu do domu, prosząc o pomoc. Miał już resztki pieniędzy i to w „karbowanicach“, których władze bolszewickie nie uznały.

Znalazł wreszcie coś — na dwa trzy dni — mieszkanie kątem w suterenie, u pewnej poczciwej Polki, staruszki, która całe swoje życie poświęciła tajnemu nauczaniu dzieci polskich. Ale żona jego wierzyć nie chciała, że podobna klęska jest możliwa, więc gdy wrócił wreszcie do domu, zastał rzeczy niespakowane, a żonę, prasującą bluzki. Nie było sposobu. Niedoświadczona, młoda, naiwna kobieta zupełnie nie zdawała sobie sprawy z warunków, w jakich żyje.

Goście wyprowadzali się. Oczywiście wszyscy płacili niebiesko-pomarańczowemi „oberwanicami“, twierdząc, że innych pieniędzy nie mają. Zarządzającemu hotelem było już wszystko jedno, czem kto płaci i czy wogóle płaci, ale tu znów zabrał głos ów przedstawiciel służby w sweaterze i z rozdziałem na głowie.

— Wy nie macie prawa dyktować mi, co ja mam robić! — wykrzykiwał dyrektor. — Wy tu nie macie nic do gadania.

— Owszem, teraz my tu mamy do gadania — z wyniosłą, zimną pogardą odpowiedział lokaj. — Pan stąd idzie, a my tu zostajemy. Czy goście płacą za hotel, to nam jest obojętne, ale dziesięć procent służbie zapłacić muszą. Proszę mi pokazać książki.

I służący z całą bezwzględnością skrupulatnie kontrolował rachunki.

Mało tego. W westybulu stali „krasnogwardiejcy“, którzy dokładnie, bezwzględnie, złośliwie rewidowali kuferki gości. Niektórzy wstydzili się tego i puszczali gości po powierzchownej rewizji, ale dowódca ich miał na nich oko i zatrzymywał wówczas rzeczy i rewidował po swojemu, cynicznie wywlekając kobietom brudne kawalki bielizny i wyśmiewając się z nich.

— Tak — to — przypomina sobie Niwiński — kiedyś rewidowano kuferki wydalonym służącym.

Wszystko działo się na odwrót. Wyrzucano z hotelu gości, zato służbie pozwolono pozostać.

W ostatniej chwili jednak pokazało się, iż władzom bolszewickim więcej spodobał się hotel „Metropol.“ Z niego tedy „odkomenderowano“ gości do „Pragi.“

Po dwóch dniach spania na gołej ziemi pod piecem w suterenie, Niwińskim udało się wrócić do hotelu. Więc Helenka wzięła dziecko na rękę, a zaś jej mąż pchał przed sobą dziecinny wózek z rzeczami.

Był, biedak, zrozpaczony. Zmordowany i sponiewierany przejściami, z wielką trwogą patrzył w przyszłość. Pieniędzy, jakie tu i owdzie jeszcze mu się należały, wydostać nie mógł, bo wszystkie banki były zamknięte. W ten sposób osaczono kapitały burżuazji,

a równocześnie masom wypłacano wielkie sumy. Wzrastała drożyzna. Żołnierz i robotnik, mając pieniądze, mógł się zaopatrzyć we wszystko — burżuazja głodowała albo też zaczynała się wysprzedawać. Bez pieniędzy Niwiński nie mógł rozpocząć żadnego interesu. Kredyt nie istniał.

Zaniedbany, nieogolony, biegł po sklepach, skupując krupy i kaszę. Nie było zupełnie chleba — a żona musiała przecie coś jeść. Karmita. On sam jadł na śniadanie surową kapustę, ale żonie musiał dać coś posilniejszego. Z głuchą nienawiścią i zazdrością patrzył na puculowatych, rumianych żołnierzy, niosących pod pachami po parę wielkich bochnów białego chleba.

— A czy nie pamiętasz oczu nienawistnych i zazdrosnych, wpatrzonych w pięknie lukrowane ciastka, leżące przed tobą w cukierni?

O, ten głos, wiecznie coś wypominający!

— Czy do mnie należało rozdawnictwo dóbr ziemskich? — bronił się Niwiński.

— Nie. Rozdawnictwo to należało do silnych. Cóż więc dziwnego w tem, że silni dnia dzisiejszego odmierzają taką miarką, jaką im mierzono. Kto nie miał chleba — zebrał.

I do tego przyszło. Pewnego poranku nic nie było na śniadanie. Żona płakała z głodu. Więc Niwiński zerwał się i pobiegł do pobliskiej zecerni, gdzie go znał, bo przecie od czasu do czasu drukował jakiś artykuł. Chciał pożyczyć od którego z zecerów trochę chleba dla żony, ale takie proszenie ze łzami w oczach a żebranie — na jedno wychodzi.

Odbył się uroczysty pogrzeb poległych w walkach o Kijów. Pisma podawały liczbę ofiar na trzy tysiące i z pewnością dużo pochowano ludzi bez żadnej pompy.

Ukraińcy bez ceremonji rozstrzeliwali swego czasu cale kluby bolszewickie lub anarchistyczne, teraz znów bolszewicy setkami rozstrzeliwali oficerów — i o tych zwłoki trudno się było nawet dopytać. Teraz jednak bolszewicy odszukali jakieś osiemdziesiąt trzy trupy, których identyczność udało się sprawdzić i postanowili z pompą je pogrzebać.

Był słoneczny, ale zimny, twardy poranek. Wszystko lśniło mocno, oślepiająco, rażąco. Na Kreszczatyku, gdzie Niwiński wraz z Ryszanem stał, czekając na orszak żałobny, kancjastemi, niebieskimi płaszczynami kładły się wielkie cienie. Zimny wiatr dmuchał ze spadzistej ulicy Proreznej. Widzowie dość rzadkimi szeregi ustawili się po obu stronach na chodnikach.

Po długiem czekaniu pojawili się na Kreszczatyku huzarzy, którzy mieli torować drogę orszakowi. Za nimi po obu stronach szpalerem stanęła piechota. Aczkolwiek huzarzy przywdziali stare dołmany paradne z carskich jeszcze czasów, zielone, białe szamerowane, nie wyglądali zbyt wspaniale. Konie ich zaniedbane prezentowały się marnie, a kiedy poskoczyli naprzód galopem, jeden koń zgubił podkowę.

— Dawniej oficer wizytował szwadron — objaśniał Ryszan. — Dziś niema oficerów i konie podkowy gubią. Wyobraźże sobie, w jakim stanie muszą być karabiny, nieczyszczone, zardzewiałe...

Szły oddziały robotników, oddziały ukraińskich do niedawna pułków. Komisarz Piatakow — cudem odnaleziony — w popiełatym paltocie i kapeluszu, z rewolucyjnym szykiem przewiesiwszy karabin przez plecy, ugaśniał na koniu, aranżując pochód.

Otoczone ruchomym szpalerem trzymających się za ręce ludzi, pokazały się trójkątne, czarne sylwety tru-

mien, po cztery ułożonych na rozwalniach. Były to proste trumny, pomalowane na czarno. Z pod wiek wystawały frendzle ozdobnie wyciętego, zwykłego, niebieskiego papieru, którym brzegi trumien przybrano. Za wozami szły rodziny wiezionych.

— Patrz, jak promienie słońca łamią się w tych trumnach — mówił do Niwińskiego Ryszan. — Blask od nich idzie, glorja nad nimi przez powietrze płynić...

— Cześć wszystkim umarłym! — odpowiedział Niwiński. — Ale przyjrzyj się żywym. Widzisz — tu żołnierz prosty, kwadratowy, posiniały od zimna, trzymający za rękę szwaczkę wata, drobną i drżącą z chłodu w swej sukieneczynie, a tu chłop stary, poważny, z siwą brodą i napół przymkniętymi oczami, zamyślony, z nim elegancki subjekt sklepowy ze złoconymi zębami, tuż znów wyrostek, prawdopodobnie handlujący papierosami, z chudą szyją, owiniętą szalem, a tu praczka... Gdybym miał komponować fryz na jaki dom ludowy, skomponowałbym go z tych twarzy i tych ludzi, jak się trzymają za ręce...

Ryszan spojrzał na Niwińskiego z pewnem zdziwieniem.

— Słuchaj, ty nie masz złości do tych ludzi?

— Ja? Dlaczego?

— Wkońcu — jesteś szlachcic!

— A ty jesteś głupi! — roześmiał się serdecznie Niwiński. — Kościuszkę też był szlachciem. Co znów za szlachectwo jakieś! Antyk — rozumiesz? Nie, ja niczyjej krzywdy nie chcę, pragnę szczęścia dla wszystkich i rozumiem, że każdy ma prawo do życia... Tylko, że ci, którzy są u władzy, nigdy tego prawa nie chcą przyznać tym, którzy władzy nie mają. Patrz! Za carskich czasów ja tu pisać nie mogłem, za bolszewickich

też mi nie wolno... Tamci prześladowali i ci prześladowają... jeszcze gorzej...

— Stop! Stop! — zaczęto wołać w pochodzie.

— Masz nowy język — język fabryczny. Znudziła im się mowa ojców, niepotrzebne im „stoj,” woła „stop.” Widzisz? Słowo jak słowo, każde może być dobre, czy istotnie jednak tak wiele zależy na słowach? Przyjdą nowe formuły na szczęśliwość ludzką, ale szczęścia nie dadzą, jak go i stare nie dały...

Umilkł, bo właśnie nadciągała orkiestra, za nią tłum ludu, śpiewającego rzewną, poważną pieśń za umarłych.

Wszystko było proletarjackie, twarze muzykantów, twarze ludzi idących w orszaku, twarze tych, którzy szli za trumną, same trumny liche i przystrojone bibułką, jaką kucharki wylepiają kuferki, samo wojsko nieporządnie ubrane i nieoczyszczone, wreszcie komiczne figury „łamawików,” popędzających swe konie z tak obojętnymi minami, jakby wieźli nie trumny, lecz siano. Utworzył się Niwińskiemu z tego obraz, podobny do średnio-wiecznych obrazów benedyktyńskich, a na którym były same twarze z otwartymi ustami i zapatrzonemi w dal oczami, twarze czerwone, żółte a w cieniu sine, pospolite twarze miliona ludzi. Nic się tu nie odcinało, nic się nie wybijało na pierwszy plan. Nie widziało się uroczystych figur duchownych, lśniących epoletów oficerów, ani bodaj tego komicznego a przecie uroczystego jakiegoś siwego dostojnika w cylindrze. Ulicą toczyła się spiętrzona lawina głów, poruszających ustami i nie patrzących pod nogi, lecz w jakąś nieznana niewiadomą, lawina głów jedzących bezustannie, smok, jakiego jeszcze świat nie widział, a który, zdawało się, zeżreć mógłby wszystko.

— Słuchaj, Mirosławie! — odezwał się znów Niwiński. — Wiesz o tem, że półtora roku przeżyłem w mansardzie, a dwa i pół w suterenie. Uczylem się, żyjąc jak nędzarz ostatni. Lata mijaly, a ja ledwie raz na trzy dni jadalem obiad, zresztą żyjąc chlebem, wędlinami i herbatą. Młodzi czeladnicy, nauczywszy się znacznie łatwiejszego rzemiosła, jako dwudziestoletni chłopcy mieli się znacznie lepiej odenienie, który umialem już wówczas pięć języków żywych a dwa klasyczne... Mimo to, choć przecie głodowałem, jak pies bezpański, a mieszkałem razem z proletarjatem i — znasz mnie — nigdy ludzi nie lekceważyłem — czułem, że między mną a nimi jest przepaść, jest niechęć — która wychodzi od nich, nie odemnie.

— Więc cóż?

— Dziś oni zaczęli robić rewolucję. Jestem tej rewolucji neutralnym widzem, poniekąd nawet neutralnym-sprzyjającym. Niczem wobec tego narodu ani ludu nie zawiniłem, raczej przeciwnie, on mnie mógłby prosić o przebaczenie... A teraz stałem na ulicy i patrzyłem w oczy tym ludziom... Patrz, jak wyglądam! Jestem obdarty, biedny, upokorzony i głodny! Zwywożono mnie po więzieniach, musiałem uciekać, tułałem się, cały rok prawie spędziłem w nędzy gminy wygnańczej, nareszcie wyzwoliła mnie rewolucja, w którą tak wierzyłem całym sercem... I cóż? Brałem się do roboty — za naszą i waszą wołność — a oni to urządzili inaczej. Zwolna, zwołna z motoru szlachetnego i precyzyjnego zacząłem się zmieniać w kogoś tam... Mój zapal nikomu się na nic nie przydał. Zdziadziałem, zmarnowałem siły i zmieniłem się w żerujące zwierzę... Tak właśnie jaskółka wędrowna z błota gniazdko lepi i z błota żywność chwyta dla piskląt... Wszystko ludzkie zdeptano we mnie...

— No, nie bierz-że sobie tak do serca swoich niepowodzeń osobistych... Przyjdą lepsze czasy!

— Nie przyjdą. Szydłowski myli się, jest optymistą. Będzie gorzej. Bolszewicy uderzą na nasz korpus. Ale mniejsza już z tem! Oni wszystko polskie tu zniszczą! Myśmy otwarli tyle szkół, tyleśmy organizacji stworzyli, tyle książek, tyleśmy włożyli w to pracy — a oni zniszczą wszystko. Żydzi będą chcieli zgnieść konkurencję polską, zniszczyć naszą zamożność, chłop weźmie ziemię, zniszczy dwory i pamiątki, biblioteki, a bolszewik tępić nas będzie za naszą wiarę, patriotyzm i wyższą kulturę. Ta rewolucja nie da nam nic prócz strasznego cierpienia i prześladowania... A potem znowu wszystko zamrze...

— Dlaczego tak czarno patrzysz na rzeczy?

— Bo patrzyłem w oczy tym ludziom, którzy przechodzili koło mnie i widziałem: To były oczy, pełne nienawiści. Gdy tylko zetknęły się z moimi, odwracały się lub gasły, jakby błyskiem najmniejszym nie chcąc się zdradzić... Były to oczy zimne, złe, pogardliwe i wrogie nieskończenie...

— Sądzisz, że poznawano w tobie Polaka i dlatego?

— O nie, jeszcze nie! Poznawano we mnie — inteligenta, a to wystarcza. A kiedy tu rozplomieni się ta nienawiść, to pocieknie takie morze krwi, że wszystko w niem utonie. Walka klasowa? Mirosławie, posłuchaj mnie, to jest absolutnie zdziczenie.

— Jak wszelka walka!

— Nieprawda! Lepsze, to znaczy, dzielniejsze jednostki z proletariatu zawsze się wybijają. Oczywiście, dużo słabszych ginie, ale tak zawsze było we wszystkich klasach. Te lepsze, dzielniejsze jednostki nigdy nie miały skłonności do bandytyzmu — i dlatego wybijały się. Inteligencji zarzuca się zwyrodnienie — w proletariacie

go niema, co? Proletariat jest zdrowy, co? Degeneracja, prostytutka, pijaństwo, perswesje wszelkie, morderstwo, kazirodztwo — no, Mirosław, przecie i ty jesteś z inteligencji, powiedzże, dużo-ś tego w swem otoczeniu widział? Widział-żeś kiedy, aby dziesięciu hrabiów czy doktorów zgwałciło stadowo którą hrabinę lub doktorową? Ale że szesnastu parobków lub koźlarzy zgwałciło jakąś tam biedną, równą sobie służącą, to-ś słyszał! Nie! Widziałeś gdzie kiedy bezpieczną w nocy dzielnicę fabryczną? Nie wątpię, nie wątpię, że wśród nas, inteligencji, grzechu jest dużo. Zwłaszcza grzeszymy obojętnością, która jest potworna, egoizmem, który jest nikczemny, nieuczciwością, która jest podła, ale rozpętaj ty tylko złe, a tak silne ciemne instynkty mas — a zobaczysz piekło! Oni — sponiewierają wszystko, zniszczą wszystko, a jeśli co stworzą, to to będą tylko śmiesznie pokraczne historie.

— Oni! — zaśmiał się Ryszan. — Więc jednak mimo wszystko jesteś po jednej stronie ty, a po drugiej — „oni?”

— Ja mówiłem i myślałem zawsze „my!” Oni mnie nawet oczami od siebie odpychają, bo ja umiem przebaczać, zaś oni umieją tylko nienawidzić. Jeśli zatem sprawę stawia się tak, że albo „my” albo „oni” — to zobaczmy!

— Niby kto „my?” — spytał Ryszan.

— Ludzie, którzy wychodzą nie z nienawiści lecz z miłości.

— E, bracie, miłość bywa różna!

— Jeśli tak mówisz, to powiem ci, że nie rozumiesz miłości. Bo, widzisz, miłość jest jedynie i prawdziwie twórcza... Tworzy! Zapamiętaj sobie, pozytywwisto czeski, a jeśli nie tworzy, to nie jest miłością lecz oblędem.

Pani Niwińska uspokoiła się trochę i przycichła. Coś zaczęła rozumieć. Kiedy zcichł huk wystrzałów i walk ulicznych, zdawało się jej, że powróciły stosunki normalne. Zostawiwszy dziecko na opiece męża, wychodziła czasami na przechadzkę i prawie nie dostrzegała zmian. Uderzyło ją jednak, że mąż jej, zamiast przyjść do siebie, zaczął blednąć, szarzeć, starzeć się. Spostrzegła naraz, że schudł i że skóra obciągnęła mu się na kościach. Włosy dziwnie długie sięgały mu karku, a twarz zafrasowana była, znięczona. Trzewiki jego wyglądały fatalnie, ubranie wytarło się. Do niedawna jeszcze nieledwie imponujący olbrzym, pełen fantazji i energji, mąż jej zmienił się w hakowatą, zaniedbaną figurę.

Kiedy po pogrzebie wrócił przemarznięty do domu, podała mu szklankę herbaty i kromkę chleba, ostatnią, jaka jej została. Zamyślony pił herbatę i jadł chleb łapczywie. A potem, jakby po namyśle, spytał nieśmiało:

— Nie masz przypadkiem kawałeczka chleba? Malusieńki kawałeczek.

— Więcej już nie mam. Dałam ci to, co miałam!

• Złękła się.

Poczerwieniał z gniewu.

— Jak mogłaś, jak śmiałaś! I co ja teraz pocznę! Taki zmęczony jestem! Wszystko wyczerpane!

Zirytowała się.

— Domyślałam się, że jesteś głodny i dałam ci to, co miałam, a ty się o to rzucasz...

Uderzył pięścią w stół.

— Ach ty, głupia, głupia! Wszakże ja jestem mężczyzna i mogę wytrzymać, ale ty, matka, musisz coś mieć... Czy kiedy mówiłem ci, że jestem głodny? Mogę nie jeść dziesięć dni, sto dni, ale jakże — ty karmisz przecie! I dziecko ma być głodne...

— Przecież ten kawałek chleba będzie gdzieś można dostać!

Zerwał się z krzesła i przyskoczył do niej z roziskrzonymi oczyma.

— Idiotka! Głupia! Gęś! Gości mnie! Ona mnie częstuje! Słyszysz: Niema chleba! Słyszysz? Niema chleba!

— Gdzieś przecie będzie można dostać!

— Gdzie? Skąd? Zaco?

Wyjął z kieszeni portfel i wyrzucił z niego banknot dziesięcio-rublowy.

— Ostatnie! Więcej nie mam! Rozumiesz?

— Ależ tyle ci winni!

— Kobieto, kto ma dziś pieniądze! Banki zamknięte! O, Boże, Boże! Myślałem, że bodaj jeszcze na dziś choćby od biedy wystarczy ci, można było do tego chleba coś dokupić, a teraz co ja pocznę, co pocznę! Przecież nic nie mam!

Z kurczowo zaciśniętymi dłońmi przyskoczył do niej.

— Słuchaj mnie! Słuchaj! Nie mam ci co dać jeść! Dziecko będzie głodne! A ty dałaś mi — swój chleb! Psiakrew! Zawsze musi na złość zrobić, zawsze jakiś idjotyzm ze starych czasów! Nie rozumiesz, że to wszystko stare zdechło? Niema chleba, niema ciastek, niema sprawiedliwości, niema prawa, niema nic!

— Pan Bóg jest jeszcze nad nami! — rozplakała mu się żona.

Splakali się oboje.

— Tak. Pan Bóg jest! — mówił Niwiński, kiedy wreszcie przyszli do siebie oboje — Pan Bóg jest, czuje to dziś więcej niż kiedykolwiek. Nie wiem, co z nami będzie, moje drogie, złote dziecko, które nie rozumiesz nic,

ale wierzę... Wierzę i rozumiem obrazy, przedstawiające Przenajświętszą Rodzinę... Wiem dziś, co znaczy święty Józef z tą swoją trzecioplanową twarzą. — Co jemu lilje, co jemu zaszczyty!... Byle mógł wreszcie wyprowadzić swoich do ziemi spokojnej...

Była znów dobra i piękna. Obudzonemi, niespokojnemi lecz słodkimi oczami zaglądała mu w duszę:

— A więc cóż będzie dalej?

— Co będzie dalej, dziecinko? Cóż ja mogę wiedzieć? Wiem jedno tylko: że przetrząsnąłem do głębi całą swoją duszę i stając wobec tych czasów i ludzi z tobą i dzieckiem naszym, szczerze mogę powiedzieć, iż sprawiedliwość jest po naszej stronie! Krzywdzą nas, gdy my nie chcieliśmy nigdy niczyjej krzywdy! Ktoś tam gdzieś musiał napisać złe książki — bo między dzisiejszymi ludźmi mało dzieje się według serca — wszystko według przepisu! Nie trzeba o tem zbyt dużo myśleć i zbyt dużo mówić. Powiadają, że wszystko jasne i uczciwe, czem żyliśmy, miłość, honor, piękno, wierność, że to są wszystko marne słowa! A my odpowiedzmy im: — I nie wódź nas na pokuszenie! — A tak ja, jak ty, w tem dziecku malutkiem mamy zbawienie swoje! Człowieka dobrego mamy wychować i zrobimy to tak, jak nas uczono. Czas jest zły, lecz człowiek przemoże wszystko.

Tegoż samego dnia rozeszły się naraz głuche pogłoski o rozpoczętym przez wojska niemiecko-austrjackie marszu na Ukrainę i Kijów. Jaką drogą wieści te nadchodziły, nie wiedział nikt, szerzyły się jednak z błyskawiczną szybkością i przynosiły nawet szczegóły.

W redakcjach polskich nie wiedziano nic, nie wierzono pogłoskom.

Skoczył Niwiński do Czechów.

Też nic nie wiedzieli.

W pismach bolszewickich nie było o ruchach na froncie najmniejszej wzmianki. Rozpisywano się za to o Odesie, o Taganrogu czy o Rostowie nad Donem, o wielkich zwycięstwach bolszewickich nad Kaledinem i Kornilowem, który gdzieś tam na południu formował armję.

Przez parę dni nie było żadnych wiadomości.

A naraz znów ze wszystkich stron zaczęły sypać się wieści, donoszące, iż wojska austro-niemiecko posuwają się naprzód. Austriacy zajęli podobno Łuck, Równo, Dubno, mówiono, że do Równa przyjechał niemiecki pociąg pancerny, zaś podjazdy zapędzają się już pod Berdyczów. Opowiadano sobie to w cztery oczy, szeptem, bojąc się szpiegów bolszewickich. Twarze uśmiechały się mściwie, oczy świeciły.

— Niemcy tu zaraz zrobią porządek z bolszewikami.

— Jej Bohu! Jak tylko wejdą, toż ja swojemu szwajcarowi-kanalji po mordzie dam za te wszystkie „zabastowki!“

— Ja całą służbę wyrzucę! Pomyślcie sobie panowie, ta swołocz zażądała odemnie, aaby raz na tydzień całe moje mieszkanie do nich należało. Żurfiksy dla swoich przyjaciół chcieli urządzać!

Niewątpliwie, biedni ludzie znuzeni byli przejściami i bali się terroru bolszewickiego, od którego nadejście wojsk austriackich mogło ich wyzwolić. Dzięki temu jednak niesłychanie wzrastały sympatje dla Austrii, a to oburzało Niwińskiego, który właśnie tego państwa z żywiołową nienawiścią nie znośli.

— Łajdackie państwo, łajdacki rząd, a tak przewrotny i podły, jak żaden na świecie! — wybuchnął przed Szydłowskim. — Samo istnienie tego zlepku jest

niesprawiedliwością i nieustającą krzywdą. Mówi się o Rosji, że bagnetami i żandarmerją ślala! To właśnie Austria jest żoldackiem państwem, tak żoldackiem i policyjnym, jak żadne inne na świecie! Ten potwór ma prosto diabelskie szczęście! Głupie narody same leżą mu w paszczę. Dobrowolnie wleźli w nią Czesi, nas niektórzy już ciągną jak i przed wiekami ciągnęli, a teraz i Moskale się pchają...

— Żeby tylko te narody tej paszczy nie rozsadzily, mój panie! — odpowiedział z uśmiechem Szydłowski. — Cały świat trąbi wciąż o rozumie niemieckim. Znam Niemców i w rozum ich nigdy nie wierzyłem i — jak się pokazało — miałem słuszność. Żeby jednak byli zdolni do popelnienia tak kapitalnego głupstwa, jak wkroczenie na Ukrainę, tego nigdy nie przypuszczałem. To ich zgubi.

— Ja tu na nich czekać nie będę! — uderzył pięścią w stół Niwiński. Nie po to przed laty uciekałem z legji, aby mnie potem za uszy z Rosji wyciągano. A kto wie, a może przecie po tej stronie da się jeszcze co zrobić. Zaś jeśli nie — to do Francji.

— Którędy?

— Choćby piechotą przez Chiny — wszystko jedno! Francuzi, broni nie złożą, bić się będą do ostatniego. Tam jest nadzieja zwycięstwa!

— A żona i dziecko?

Zasępił się Niwiński.

— Tak. To straszne. Istotnie — niema wyjścia. Bezemnie zginą. Chociaż — mój panie, co ja im pomogę, jeśli mnie Austriacy powieszą, wsadzą do dziury lub pošlą na włoski front? Na to, żeby się ukrywać — nie mam pieniędzy, muszę zarabiać. Więc co? Więc Hela i tak musiałaby wrócić do domu, do rodziców, a potem

sama na siebie pracować. Na jedno jej wyjdzie, czy zostanie, czy pojedę — zaś mnie to nie jest wszystko jedno! Absolutnie tu nie zostanę. Teraz trzeba się postarać o jak najwięcej pieniędzy — i czekać.

Wieczorem, szukając w kawiarni Ryszana, Niwiński spostrzegł siedzącego samotnie za filarkiem rotmistrza Obuchowa. Coś go tknęło. Pomyślał sobie, że ten milczący, tylko ze swym adjutantem przestający oficer, może nie nadarmo siedzi wciąż w Kijowie i nawet mogąc jak tylu innych — uciec na Don, do Aleksiejewa, jednak nie ucieka.

— A może on wie co pewnego? — pomyślał.

Przystąpił do niego i spytał poprostu:

— Gaspadin Obuchow, wy słyszeli, że Austriacy idą?

Obuchow podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

Niwiński domyślił się, że Obuchow rozumie go.

— Da, da, idut.

— To znaczy — mnie czas uciekać?

— Niewątpliwie. Skoro budut, skoro budut! — podkreślił.

— Jak nysłicie? Za dwa trzy tygodnie?

— Jaki dzień mamy dzisiaj?

— Dwudziestego pierwszego marca...

— Nie, jaki dzień, środa, czwartek?

— Czwartek.

Obuchow podniósł głowę i zamknął oczy, jakby coś liczył.

— W poniedziałek będą.

— A dokąd-że mi jechać?

— Wam? W Maskwu, w Maskwu!

— Cóż tam?

— Archangielsk ili Władywastok. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Tegoż jeszcze dnia przyszła urzędowa wiadomość o zajęciu Łucka. Na drugi dzień rano połączenie telegraficzne z Żytomierzem było przerwane. Pułki bolszewickie znów się uznały ukraińskimi, czerwoną gwardją rozpuszczano, mówiono o ewakuacji miasta przez bolszewików; rozumie się, prasa bolszewicka nie pisała o tem wszystkim zupełnie.

Trzeba było jechać.

Nadeszła chwila rozstania.

Załatwiwszy wszystkie swoje interesy Niwiński wpadł do domu pożegnać się z żoną. Naprzód stanął nad dzieckiem, które, świeżo przewinięte, leżało na łóżku. Córka, ujrawszy go, zaśmiała się głośno i zaczęła podrygiwać nóżkami, tak że wyglądała, jak ryba, bijąca ogonem. Ucałował ją ojciec i krzyż nad jej główką nakreślił.

Placząc, położyła mu głowę na piersiach żona.

— Dziękuję ci za wszystko! — mówiła.

Uściskał ją z całej duszy.

— Miej wiarę i czekaj. Ja przyjadę.

— Kiedy-ż ty, biedaku, przyjedziesz! — szlochała.

— Jak Polska będzie wolna.

— A jeśli nie będzie wolna?

— Polska musi być wolna, dziecińko! To już nie-
długo, wierz mi, to już wnet...

Oderwał się od niej siłą, odsunął ją od siebie, a potem wziął małą walizkę i skierował się ku drzwiom.

Tu jednakże usiadł na stolku.

— O, jaki-ż ja jestem zmęczony! — jęknął.

— I jakże ty taki zmęczony pojedziesz?

— To nie to. Bronilem was. Bronilem z takim trudem — i obronilem. Ciężko było, lecz nie zaznałaś głodu ani nędzy. Ludzi mordowano — a tobie włosy na głowie nikt nie skrzywił. A jednak dziś ja sam muszę was porzucić. Wiecznie te siły, które odrywają ludzi od siebie!

Aż się skrzywił na stolku. Cierpiał fizycznie.

— Nie, ja się nie poddam, nie upokorzę się, nie, właśnie teraz nie... Muszę wygrać i wygram! Nie bój się. Wstał.

— No, już. Bóg z wami. Zostań tu, nie wychodź za mną. Pamiętaj — czekaj! Przyjadę!

Wyszedł, nie oglądając się.

K O N I E C.

K i j ó w l u t y 1918 — P o z n a ń l i s t o p a d 1920.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 314524



000-314524-00-0